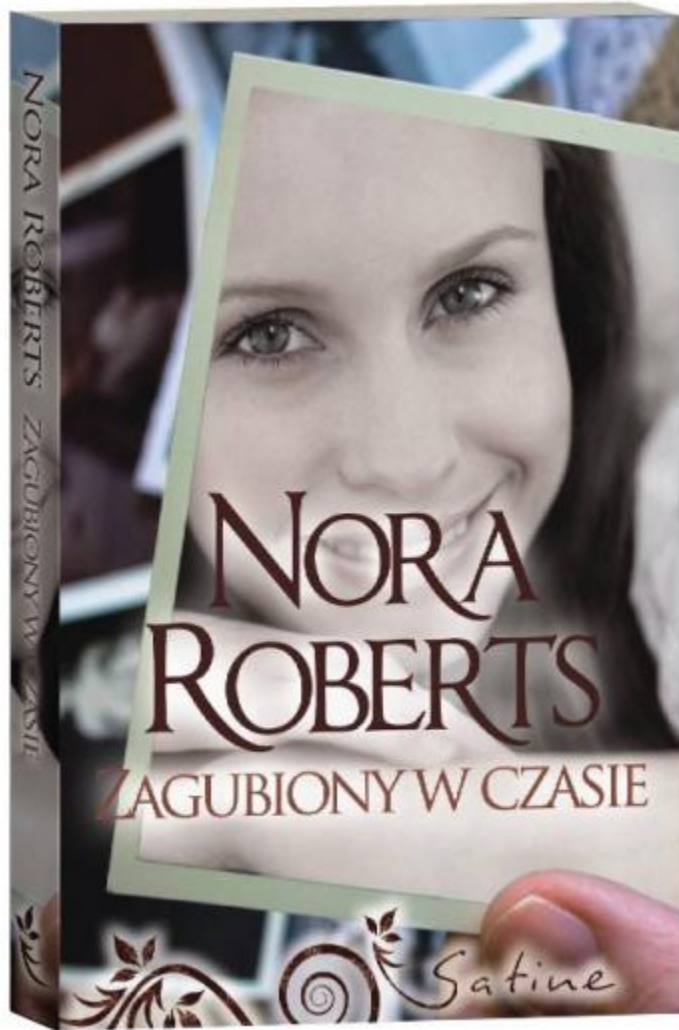


**NORA ROBERTS**

**ZAGUBIONY W CZASIE**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Schodził w dół. Wskaźniki instrumentów pokładowych błyskały i w szalonym tempie wyświetlały liczby, kokpit wirował jak zwariowana karuzela. Nie potrzebował dzwonka alarmowego, żeby wiedzieć, że znalazł się w kłopotach. Nie musiał widzieć czerwonego znaku ostrzegawczego na ekranie komputera, by się zorientować, że kłopoty te są naprawdę poważne. Wiedział to wszystko już w chwili, gdy zobaczył pustkę.

Klnąc i starając się zachować resztki spokoju, przesunął dźwignię do przodu. Może uda się osiągnąć pełną moc. Pojazd zadygotał, walcząc z przeciążeniem. Grawitacja uderzyła w niego jak taran. Metal tarł zgrzytliwie o metal.

- Wytrzymaj, kochanie - zdołał szepnąć, gdy w podłodze pojawiła się dziesięciocentymetrowa szczelina o poszarpanych krawędziach. - Trzymaj się, ty cholerna...

Starał się utrzymywać kurs na wschód. Znów zaklął. Na nic wszelkie manewry, za chwilę czarna dziura pochłonie statek...

Światła w kokpicie zgasły. Pozostały tylko kolorowe lampki na pulpicie sterowniczym. Statek przekoziółkował jak kamień wystrzelony z procy. Pilot zobaczył białe światło, mimo swej chłodnej barwy gorące i piękne. Instynktownie osłonił ręką oczy. Po chwili nagły, miazdzący nacisk na klatkę piersiową sprawił, że mógł już tylko walczyć o oddech.

Zanim stracił przytomność, przypomniał sobie niespodziewanie marzenie matki: chciała, żeby został prawnikiem. On jednak po prostu musiał latać.

Gdy odzyskał świadomość, statek już nie dygotał i nie koziółkował. Szybko, swobodnie spadał. Rzut oka na wskaźniki wystarczył, by się przekonać, że instrumenty pokładowe uległy uszkodzeniu. Pilot czuł, że grawitacja wciska go w fotel. Już widział krzywiznę Ziemi.

Wiedział, że w każdej chwili może znów stracić przytomność. Nachylił się, by zamknąć przepustnicę i włączyć sterowanie komputerowe. Instrumenty automatycznie wyszukiwały najbliższy nie zamieszkaną obszar i uruchamiały osłony antyzderzeniowe.

Może, ale tylko może, zobaczy jeszcze kolejny wschód słońca. No i co u diabła jest złego w zawodzie prawnika?

Patrzył, jak świat pędzi na niego, niebieskozielony i piękny. Do cholery z prawem, pomyślał w końcu. Jaką przygodę można przeżyć przy biurku?

Libby stała na ganku i patrzyła na nocne niebo. Błyskawice i deszcz potrafiły wyczarować prawdziwie fascynujący spektakl. Choć chronił ją okap, miała mokre włosy i twarz. Okna domku rozświetlało ciepłe, żółte światło. Kolejna błyskawica upewniła Libby, że postąpiła słusznie, rezygnując z elektryczności na rzecz świec i lamp naftowych.

Światło i ciepło nie zwabiły jej jednak do wnętrza. Tego wieczoru wołała chłód i potężne wyładowania atmosferyczne, których tętniące echo nadchodziło od strony górskich szczytów.

Jeśli burza potrwa dłużej, północna przełęcz będzie nie do przebycia przez całe tygodnie. Nieważne, pomyślała Libby, gdy następna błyskawica przecięła nieboskłon. W gruncie rzeczy, uznała w duchu, obejmując się ramionami, mam przecież mnóstwo czasu.

Najlepszą decyzją, jaką kiedykolwiek podjęła, było spakowanie manatków i zakopanie się w rodzinnym domku na odludziu. Zawsze lubiła góry. Klamath w południowo - zachodnim Oregonie oferowało wszystko, o czym marzyła. Przepiękne widoki, urwiste skały, czyste powietrze i spokój. Jeśli napisanie pracy o wpływie cywilizacji na życie mieszkańców wyspy Kolbari zajmie jej sześć miesięcy, to trudno. Przez pięć lat studiowała etnografię i antropologię, z czego trzy zajęły jej badania w terenie. Od ukończenia osiemnastego roku życia nigdy nie leniuchowała, a już na pewno nie miała okazji pobyć trochę sama. Praca dyplomowa była dla niej ważna, może nawet zbyt ważna, jak to niekiedy w duchu przyznawała. Teraz zapragnęła zwolnić nieco tempo, nie rezygnując jednak całkowicie z pracy.

Urodziła się w tym właśnie przysadzistym, piętrowym domku. Spędziła w nim pierwsze pięć lat życia. Wolna jak ptak, ograniczona jedynie przez widniejące na horyzoncie góry. Uśmiechnęła się, wspominając, jak wraz z młodszą siostrą biegały na bosaka i myślały, że świat zaczyna się i kończy na nich.

No i byli jeszcze ich niekonwencjonalni, skłócenie z cywilizacją i głoszący potrzebę powrotu do natury rodzice. Matka wyplatała maty i dywaniki, ojciec pracował z zapalem w ogrodzie. Wieczorami słuchali muzyki i snuli długie, fascynujące opowieści. Cała czwórka nie potrzebowała towarzystwa innych ludzi. Kontaktowali się ze światem zewnętrznym tylko raz w miesiącu, gdy wyprawiali się do Brookings, żeby sprzedać rodzinne wyroby i zrobić zakupy.

Żyliby tak dalej, lecz lata sześćdziesiąte minęły, zaczęły się siedemdziesiąte. Właściciel pewnej galerii zachwyił się kilimami matki Libby. Niemal w tym samym czasie ojciec osiągnął mistrzostwo w sporządzaniu herbat ziołowych. Nim Libby ukończyła osiemnaście lat, jej matka

stała się cenioną artystką, ojciec zaś prężnym i odnoszącym sukcesy biznesmenem. Rodzina przeprowadziła się do Portlandu, a chatka zaczęła pełnić rolę domku letniskowego.

To właśnie te przeżycia sprawiły, że Libby wybrała etnografię i antropologię. Studia pochłonęły ją bez reszty, stały się treścią jej istnienia.

Zacznę pisać jutro, postanowiła. Będę mogła włączyć komputer, gdy minie burza, ale co najwyżej na cztery godziny. Przez ostatnie półtora roku pracowałam po dwanaście...

Wszystko w swoim czasie, mawiała jej matka. Tak, teraz pora zapomnieć o licznych obowiązkach i skorzystać z wolności.

Libby czuła podmuchy wiatru, słuchała dudnienia ulewy. Mimo szalejących wokół żywiołów w jej duszy zagościł spokój.

Zobaczyła na niebie światło. Przez chwilę myślała, że to piorun kulisty albo może meteor. Gdy jednak niebo pojaśniało, dojrzała niewyraźny kształt i błysk metalu. Postąpiła krok do przodu, w deszcz, zmrużyła oczy. Gdy obiekt się przybliżył, przerażona przyłożyła dłoń do krtani.

Samolot? - Zdawał się muskać czubki jodeł na zachód od domku. Huk odbił się echem od ściany lasu i sprawił, że Libby zamarła. Potem pobiegła po płaszcz i apteczkę.

Gdy wsiadała do landrowera, po niebie przetaczał się grzmot. Zapamiętała miejsce, w którym samolot musiał uderzyć w ziemię. Na szczęście zawsze miała dobrą orientację w terenie.

Jazda w strugach deszczu wyboistą drogą zabrała jej prawie trzydzieści minut. Przygryzła wargę, gdy samochód wjechał w wezbrany strumień. Dzięki Bogu знаła drogę prawie na pamięć.

Wdepnęła mocno pedał hamulca, gdy reflektory landrowera wydobyły z ciemności jakąś postać. Samochodem zarzuciło, w górę poszybowały grudki błota. Libby chwyciła latarkę i koc, wyskoczyła i uklękła przy leżącym człowieku.

Żyje. Poczowała ulgę, wyczuwając dłonią puls na jego szyi. Był ubrany na czarno, przemoknięty do suchej nitki. Narzuciła na niego koc i zaczęła szukać ewentualnych obrażeń.

Był młody i szczupły, lecz muskularny. Gdy go ostrożnie badała, modliła się, by nieznajomy przeżył. Nie stwierdziła złamań. Oświetliła latarką twarz rannego.

Zaniepokoił ją siniak na czole i wypływająca z niego krew. Możliwe, że mężczyzna miał uszkodzony kręgosłup, dlatego Libby nie próbowała go podnosić. Wróciła szybko do samochodu po apteczkę. Gdy przykładała do rany na czole opatrunek, ranny otworzył oczy.

Dzięki Bogu, pomyślała i ujęła dłoń mężczyzny, by go uspokoić.

- Wszystko będzie dobrze, nie martw się. Jesteś sam? Patrzył na nią, lecz widział tylko niewyraźny zarys postaci.

- Co?

- Czy ktoś z tobą był? Czy jeszcze ktoś jest ranny?

- Nie. - Chciał usiąść. Świat zawirował. Chciał się jej przytrzymać, lecz dłoń ześlizgnęła się po mokrym płaszczu. - Jestem sam - zdołał szepnąć, zanim znów stracił przytomność.

Nawet nie miał pojęcia, jak bardzo sam.

Libby tej nocy właściwie nie spała. Udało się jej wtaszczyć ofiarę wypadku do samochodu, potem z pojazdu do domku, i wreszcie na kanapę. Rozebrała go, wytarła do sucha i opatrzyła rany. Potem usiadła w dużym fotelu przy kominku i zapadła w niespokojną drzemkę. Co jakiś czas wstawiała, żeby sprawdzić stan rannego.

Mężczyzna był w szoku, lecz obrażenia nie wyglądały na poważne. Siniaki na żebrach, kilka brzydkich zadrapań. Miał szczęście, uznała, popijając herbatę i przyglądając się mu w świetle płonącego na kominku ognia. Mówi się, że głupi ma zawsze szczęście. Tylko człowiek niespełna rozumu zaryzykowałby przelot przez góry podczas burzy.

Na zewnątrz wciąż szalały żywioły. Libby odstawiła kubek i dołożyła grube polano do ognia. Płomień oświetlił twarz nieznajomego. To bardzo atrakcyjny głupiec, pomyślała z uśmiechem. Wysoki i dobrze zbudowany. Wygięła w łuk bolące plecy. Miał szczęście, że trafił na silną kobietę, przyzwyczajoną do dźwigania ciężkich ładunków. Oparła się o kominek i znów spojrzała na mężczyznę.

Tak, bardzo atrakcyjny, uznała ponownie. Mocno zarysowane kości policzkowe i pełne usta. Celtycka twarz, pomyślała. Przystojny, choć teraz blady jak ściana. Miał chyba dwudniowy zarost, co w połączeniu z bandażem na głowie nadawało mu zawadiacki wygląd. No i te ciemnoniebieskie, niemal granatowe oczy.

To potwierdzało jej teorię o celtyckim pochodzeniu nieznajomego. Miał też kruczoczarne włosy. Teraz, gdy wyschły, lekko pofalowane. Zbyt długie jak na wojskowego, pomyślała. Jednak jego czarny skafander miał zdecydowanie wojskowy krój. Zresztą, nad kieszenią na piersi dostrzegła jakby wojskowe insygnia. Może jest członkiem jakiegoś elitarnego oddziału.

Nieprzytomny mężczyzna miał dziwny, chyba bardzo kosztowny zegarek z maleńkimi przyciskami. Tyle że ta droga zabawka pokazywała błędny czas.

- Nie wiem, czy uda się zreperować zegarek - stwierdziła na głos, ziewając - ale jego właściciel wyjdzie z tej katastrofy bez szwanku.

Zapadła w drzemkę.

Obudził się z silnym bólem głowy. Widział wszystko jak przez mgłę. Zobaczył odbłask płonącego ognia albo jego doskonałą symulację. Czuł zapach lasu i deszczu. Pamiętał, jak przedzierał się przez ścianę deszczu. Najważniejsze, że przeżył i wreszcie było mu ciepło. Przypomniawszy sobie, jak przemarznął, przemókł i stracił orientację. Chwilami nawet nawiedzało go wrażenie, że statek spadł do oceanu. A potem pojawiła się jakaś postać... Kobieta? - Cichy, miły głos, delikatne dłonie... Próbował się skupić, lecz ból głowy mu to uniemożliwiał.

Zobaczył ją. Siedziała w starym fotelu, kolana miała przykryte kolorowym pledem. Halucynacja? Może i tak, lecz jakże miła. Na ciemnych włosach nieznajomej igrały odbłaski płonących bierwion. Spała, widział jej pierś unoszącą się w spokojnym oddechu. Skóra kobiety zdawała się być w świetle ognia złocista. Ostre rysy twarzy, niemal egzotyczne, do tego wydatne, zmysłowe usta. Trudno o bardziej sympatyczną halucynację.

Zamknął oczy i spał aż do wschodu słońca.

Gdy się ponownie obudził, znikła. Ogień na palenisku nadal płonął, przez okna sączyło się rozmyte deszczem światło dnia. Ból głowy właściwie nie zelżał, lecz przestał być tak nieznosnie dokuczliwy. Ostrożnie dotknął bandaża na czole. Wiedział, że mógł być nieprzytomny przez kilka godzin albo dni. Gdy spróbował unieść się na łokciach, zakręciło mu się w głowie.

Zebrał wszystkie siły, by przyjrzeć się otoczeniu. Ściany małego, tonącego jeszcze w półmroku pokoju wydawały się zrobione z drewna i kamienia. Widział kiedyś w skansenie bardzo podobne, równie prymitywne budowle. Udało mu się przekręcić głowę. Dojrzał płomienie liżące kłodę drewna. Powietrze było suche i ciepłe; czuł zapach dymu. Trudno jednak przypuszczać, by znalazł schronienie w muzeum.

Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

- O, obudziłeś się.

Libby przystanąła w drzwiach z filiżanką herbaty w ręku. Jej podopieczny wpatrywał się w nią bez słowa. Uśmiechnęła się i podeszła do kanapy. Wyglądał tak bezradnie, że nieśmiałość, z którą walczyła przez całe życie, zupełnie ją opuściła. Usiadła na skraju kanapy i zbadała mężczyźnie puls.

Teraz widział ją wyraźniej. Włosy miały ciepły odcień brązu. Słowo „egzotyczna” rzeczywiście wydało mu się najwłaściwsze. Duże, leciutko skośne oczy, wąski nos i pełne usta. Przypomnił sobie malowidło przedstawiające egipską królową Kleopatę. Na nadgarstku czuł dotyk chłodnych palców nieznajomej.

- Kim jesteś?

- Niestety nie dyplomowaną pielęgniarzką, ale muszę ci wystarczyć. - Uśmiechnęła się, odciągnęła rannemu powieki i przyjrzała się jego źrenicom. - Ile osób widzisz? - zapytała wreszcie.

- A ile powinienem?

Roześmiała się cicho i poprawiła mu poduszkę.

- Na szczęście tylko jedną. Chodzi o to, czy nie widzisz podwójnie.

- Nie, widzę tylko jedną kobietę. - Dotknął jej ładnie uformowanego podbródka. - Ale za to piękną.

Odsunęła się gwałtownie i zarumieniła. Nie była przyzwyczajona do takich komplementów. Wolą, gdy doceniano jej inteligencję i fachowość. Podsunęła mu filiżankę.

- Spróbuj tego - zaproponowała. - Sekretna mieszanka mojego ojca. Jeszcze nie wprowadził jej na rynek.

Zanim zdążył kategorycznie odmówić, przysunęła mu filiżankę do ust.

- Dziękuję. - O dziwo, ten zapach przypomnił mu dzieciństwo. - Co ja tu robię?

- Dochodzisz do siebie. Twój samolot rozbił się w górach, kilka kilometrów stąd.

- Mój samolot?

- Nie pamiętasz? - Jej złociste oczy spochmurniały. - Wszystko sobie przypomnisz, jestem tego pewna. Uderzyłeś się mocno w głowę. - Z trudem powstrzymała się przed odgarnięciem wystających spod opatrunku włosów. - Oglądałam z ganku burzę. Dzięki temu zobaczyłam wypadek. Na szczęście nie jesteś ciężko ranny. Nie mam tu telefonu, a radio jest w naprawie. Nie mogę nawet wezwać lekarza.

- Radio.

- No tak, aparat nadawczo - odbiorczy. Sądysz, że uda ci się coś zjeść?

- Może. Jak się nazywasz?

- Liberty Stone. - Odstawiła filiżankę. Położyła mu dłoń na czole. To istny cud, ale nieznajomy nie miał gorączki. Chyba nawet się nie przeziębził. - Moi rodzice byli hippisami. No



wiesz, szalone lata sześćdziesiąte. Dlatego ja nazywam się Liberty, czyli Wolność, a moja siostra Sunbeam, czyli Promyk Słońca. - Roześmiała się, widząc jego zmieszanie. - Mów do mnie po prostu Libby. A ty?

- Ja nie...

Czuł na czole chłodną, niewątpliwie realną dłoń. Jej właścicielka nie może zatem być jedynie wytworem jego wyobraźni. Jednak nie miał zielonego pojęcia, o czym właściwie mówiła.

- Jak się nazywasz? Nie co dzień ratuję ofiary katastrof lotniczych.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć. Okazało się jednak, że nie pamięta. Poczł strach, zbladł.

- Ja... nie mogę sobie przypomnieć.

Zakłęła w duchu, ale zrobiła dobrą minę do złej gry.

- Nie przejmuj się - rzuciła lekko. - Po prostu jesteś trochę zdezorientowany. Postaraj się rozluźnić, odpocząć. Ja tymczasem przygotuję coś do jedzenia.

Gdy zamknął oczy, wstała i poszła do kuchni. Nie mam nic, co umożliwiłoby ustalenie jego tożsamości, myślała, przygotowując omlet. Żadnego portfela, dokumentów. Nie wiadomo, kim jest. A jeśli to groźny przestępca lub psychopata... Nie, skądże, skarciła się w duchu. Zawsze miała bujną wyobraźnię. To zresztą pomagało jej w pracy. Umiała myśleć o przedstawicielach starych i prymitywnych kultur jak o ludziach z krwi i kości.

Zazwyczaj trafnie oceniała charakter człowieka, choć unikała zbyt bliskich i intymnych kontaktów. Zdecydowanie bardziej odpowiadała jej rola postronnego obserwatora.

Człowiek leżący teraz w saloniku nie stanowił dla niej zagrożenia, kimkolwiek był. Omlet był gotowy, sięgnęła więc po talerz. Nagle wrzasnęła. Upuściła patelnię, straciła ze stołu kilka jajek. Nieznajomy, całkowicie nagi, stanął w drzwiach kuchni.

- Hornblower - zdołał wykrztusić, osuwając się wzdłuż futryny. - Caleb Hornblower.

Słyszał niewyraźnie, jak kobieta na niego krzyczy. Walcząc z zawrotami głowy, uniósł się nieco. Libby objęła go i spróbowała podnieść. Chciał jej pomóc. Chwycił się jej i oboje wylądowali na podłodze.

Libby leżała bez ruchu na plecach, przygnieciona jego ciężarem.

- Chyba już lepiej, żebyś znów stracił przytomność - rzuciła z wściekłością.

- Przepraszam. - Zdołał się przekonać, że jest wysoka i bardzo jędrna. - Przewróciłem cię.

- Tak. - Nadal go obejmowała, czuła pod palcami jego twarde mięśnie. Gwałtownie cofnęła rękę. O to, że zaparło jej dech w piersi, obwiniła upadek na podłogę.

- A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu... jesteś trochę ciężki - powiedziała, próbując go z siebie zepchnąć.

Udało się mu oprzeć jedną ręką o podłogę i unieść się o kilka centymetrów. Od razu tego pożałował, gdyż leżąc na dziewczynie, czuł się jak w niebie.

- Chyba jestem zbyt osłabiony - mruknął. Czyżby w jego głosie pobrzmiwało rozbawienie?

Tak, uznała Libby, słuch mnie nie myli. Ten facet świetnie się bawi...

- Hornblower, jeśli ze mnie nie zejdziesz, to tak cię palnę, że będziesz jeszcze słabszy.

Zanim się oswobodziła, dostrzegła jeszcze jego lekki, źle skrywany uśmiech. Westchnęła i pomogła mu wstać.

- Jeśli chcesz iść na spacer, musisz niestety poczekać, aż nabierzesz sił - wyjaśniła przez zaciśnięte zęby. - I aż znajdę jakieś spodnie w rzeczach ojca - dodała stanowczo.

- Racja.

Opadł na kanapę.

- Nie ruszaj się, dopóki nie wrócę.

Nie zaprotestował. Nie mógł. Droga do kuchni i z powrotem pochłoneła resztkę jego sił i wcale mu się to nie podobało. Ostatnio chorował jako dziecko. Fakt, poobijał się kiedyś dotkliwie na skuterze powietrznym, ale kiedy to było? - Miał wtedy chyba osiemnaście lat.

Cholera, skoro to pamiętam, dlaczego nie mogę sobie przypomnieć, jak się tu dostałem? - Zamknął oczy. Ona... Libby, powiedziała, że rozbił się samolot... Jasne, coś musiało się rozbić. Mogłem się tak paskudnie pokiereszować tylko w jakimś wypadku. Przypomnę sobie, pomyślał, przynajmniej wiem, jak mi na imię.

Wróciła, niosąc talerz.

- Masz szczęście, właśnie uzupełniłam zapasy.

Gdy otworzył oczy, zawahała się. Niewiele brakowało, by omlet znów wylądował na podłodze. Tak, to jego widok tak mnie wytrąca z równowagi, przyznała w duchu. Na wpół nagi,

okryty tylko od pasa w dół kocem, mógł przyprawić każdą kobietę o drzenie rąk. Uśmiechnął się.

- Moja specjalność. - Odetchnęła głęboko i przysiadła na krawędzi kanapy. - Dasz radę zjeść?

- Aha. Kiedy leżę, nie kręci mi się w głowie. - Wziął od niej talerz i spróbował dania. Potem spojrzał ze zdziwieniem na gospodynię. - Czy to jest prawdziwe, to znaczy... realne?

- Realne? Pewnie, że tak.

Zaśmiał się i włożył kolejny kęs do ust.

- Nie jadłem prawdziwych jajek od... nie pamiętam od kiedy.

No tak, przeczytała gdzieś, że w wojsku korzystają ze sproszkowanych jajek.

- To są prawdziwe jajka od prawdziwych kur - zapewniła go. Uśmiechnęła się, widząc jego niezdecydowanie. - Zjedz więcej.

- Tak, oczywiście. - Spojrzał na nią. Piła kolejną filiżankę herbaty. - Jeszcze ci nie podziękowałem za ocalenie.

- Po prostu znalazłam się przypadkiem we właściwym miejscu i we właściwym czasie.

- Dlaczego tu mieszkasz? - zapytał, rozglądając się po saloniku. - W takim miejscu?

- Powiedzmy, że to coś w rodzaju urlopu. Jestem antropologiem. Zakończyłam właśnie kilkumiesięczne badania w terenie. Tutaj piszę pracę.

- Tutaj?

Na szczęście nie usłyszała zwyczajowej uwagi, że jest zbyt młoda na naukowca.

- Dlaczego nie? - Zabrała pusty talerz i odstawiła na bok. - Tu jest bardzo spokojnie, o ile właśnie nie spada z nieba jakiś samolot. Jak twoje zębra? Bolały? Dopiero teraz dostrzegł siniaki.

- Nie, niespecjalnie.

- Wiesz, miałeś dużo szczęścia. Poza tą raną na głowie odniosłeś tylko powierzchowne obrażenia. Obserwując katastrofę, nie spodziewałam się, że znajdę kogoś żywego.

- Osłony antyzderzeniowe...

Przypomniał sobie mgliście, jak włączał urządzenia. Kontrolki, błyskające światełka. Dzwonek alarmowy. Próbował się skoncentrować, lecz obraz się rozmył.

- Jesteś pilotem doświadczalnym?

- Co? Nie, chyba nie.

Żeby go uspokoić, ujęła jego dłoń. Własna reakcja na ten dotyk tak ją zdenerwowała, że natychmiast cofnęła rękę.

- Nie lubię łamięłówek - mruknął.

- A ja uwielbiam. Pomogę ci więc poskładać to wszystko do kupy. Spojrzał jej w oczy.

- Może nie spodoba ci się rozwiązanie. Ogarnął ją niepokój. Mężczyzna był bardzo silny.

Gdy dojdzie do siebie, jego ciało stanie się tak potężne, jak - wyczuwała to - jego umysł. A wokół żywej duszy... Tylko ich dwoje... Żeby przerwać te niewesołe rozmyślania, wypła łyk herbaty.

- Nie przekonamy się, dopóki go nie znajdziemy - zauważyła. - Kiedy skończy się burza, od razu zawiozę cię do lekarza. Na razie musisz mi zaufać.

Ufał jej. Nie wiedział dlaczego, lecz od chwili gdy zobaczył ją w fotelu, wiedział, że może na nią liczyć. Nie wiedział tylko, czy może zaufać sobie. I czy ona zaufa jemu.

- Libby... - Spojrzała na niego i w tym momencie zapomniała, co chciał powiedzieć. - Masz miłą twarz - mruknął i dostrzegł, jak jej spojrzenie stało się ostrożne.

Nagle zapragnął jej dotknąć. Jednak gdy uniósł rękę, Libby wstała.

- Sądę, że powinieneś wypocząć. Na górze jest wolna sypialnia. - Mówiła teraz szybko, nerwowo.

- Wczoraj nie dałam rady zanieść cię tam, ale dziś możesz wejść po schodach o własnych siłach. Tam będzie ci wygodniej.

Patrzył na nią z namysłem. Nie był przyzwyczajony do tego, by kobiety odsuwały się od niego. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Tak, uznał, gdy mężczyzna i kobieta wydają się sobie atrakcyjni, reszta jest łatwa. Może nie odzyskałem jeszcze sprawności umysłu, ale jest oczywiste, że między mną i Libby coś iskrzy.

- Masz parę?

Libby obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

- Czy mam co?

- Parę. Towarzysza. Musiała się roześmiać.

- Osobliwie się wyrażasz. Nie, akurat nie. Pomogę ci wejść na górę.

Podala mu rękę. Złapał się jej i zaczął wstawać.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś owinął się tym kocem.

- Nie jest zimno - odparł.

Potem wzruszył ramionami i posłusznie okrył biodra pledem.

- Oprzyj się o mnie. - Położyła jego rękę na swoich ramionach i objęła go w pasie. -  
Możesz stać?

- Tak. - Gdy ruszyli, stwierdził, że zawroty głowy niemal minęły. Mógłby sam wejść po schodach, lecz wołał z nią. - Nigdy nie byłem w takim miejscu - przyznał.

- Tak, wystrój jest bardzo skromny - powiedziała - ale zawsze lubiłam ten dom.

Słowo „skromny” zabrzmiało jak zabawny eufemizm. Cal nie chciał jednak obrazić gospodyni.

- Zawsze?

- Urodziłam się tutaj.

Pragnął zadać jej jeszcze kilka pytań, gdy jednak odwrócił głowę, poczuł na twarzy kosmyk jedwabistych włosów Libby. Napiął mięśnie i natychmiast poczuł ból poobijanych żeber.

- Usiądź tutaj, w nogach - usłyszał. - Pościelę łóżko.

Wykonał polecenie. Dotknął łóżka i zdumiał się. Drewno, tak, to na pewno drewno, ale nie mogło mieć więcej niż dwadzieścia, trzydzieści lat. Niesamowite i... niemożliwe.

- To łóżko...

- Jest bardzo wygodne, naprawdę. Zrobił je mój ojciec. Może jest trochę krzywe, ale za to ma porządny materac.

Cal zacisnął palce na ramie łóżka.

- Zrobił je twój ojciec? Z drewna?

- Z dębu. Ten mebel jest ciężki jak ciężarówka.

Wiesz, urodziłam się na nim. Rodzice uważali, że poród to naturalne, a zarazem bardzo osobiste przeżycie i obecność lekarzy nie jest konieczna. Nadal nie mogę sobie wyobrazić, jak mój ojciec sobie poradził z odebraniem dziecka. Nosił wtedy kucyk i mnóstwo indiańskich naszyjników i bransoletek.

Gdy wyprostowała się, zaniepokoił ją wyraz twarzy Cala.

- Dobrze się czujesz? - zapytała. - Co się stało? Powoli kręcił głową. Potrzebuje wypoczynku, dużo wypoczynku, uznała.

- Czy twój ojciec uczestniczył w jakimś eksperymencie? - zapytał wreszcie.

- Można to tak nazwać - odparła z rozbawieniem. Podeszła do komody i wyjęła z szuflady kalesony.

- Możesz je włożyć. Tata zawsze zostawia tu trochę ubrań, a nosicie chyba ten sam rozmiar.

- Jasne. - Chciała już wyjść, lecz chwycił ją za rękę. - Gdzie my właściwie jesteśmy?

Wyglądał na bardzo zmartwionego, więc pogłaskała go uspokajająco po dłoni.

- W Oregonie, przy granicy z Kalifornią, w górach Klamath.

- Oregon. - Na jego twarzy zobaczyła wyraz ulgi. - USA?

- Muszę ci zmierzyć temperaturę - zatroskała się. Chwycił ją mocno za nadgarstek.

- Jaka to planeta?

Spojrzała na niego. Był śmiertelnie poważny, choć zadał jej tak absurdalne pytanie.

- Ziemia. Wiesz, ta trzecia od Słońca - rzuciła żartobliwie, żeby poprawić mu humor. - Odpocznij trochę, Hornblower. Dobrze ci to zrobi.

- Aha. - Głęboko odetchnął. - Chyba masz rację.

- Krzyknij, gdybyś czegoś potrzebował.

Gdy wyszła, siedział nadal tam, gdzie go zostawiła. Miał niedobre przeczucie. Chyba rzeczywiście nie doszedł jeszcze do siebie. Jeśli jest w Oregonie, na północnej półkuli swej planety, nie zboczył zbyt z kursu. Z kursu, powtórzył w myślach, czując ponownie nieznośny ból w skroniach. Ale jakim kursem właściwie leciałem?

Spojrzał na naręczny komputer i zmarszczył brwi. Dotknął małego przycisku z boku koperty. Zielone cyfry zbladły i znikły. Przez czarną tarczę zaczęły przelatywać czerwone cyferki.

Los Angeles. Gdy rozpoznał współrzędne, poczuł ulgę. Wracał do bazy... cholera, po czym?

Położył się i stwierdził, że Libby nie skłamała. Łóżko okazało się zadziwiająco wygodne. Miał nadzieję, że gdy obudzi się po kilku godzinach snu, wszystko sobie przypomni. Po chwili wahania włożył kalesony. Odniósł wrażenie, że dla Libby było to z jakiegoś niezrozumiałego powodu bardzo ważne.

W co ja się wpackowałam - ? - - rozmyślała. Siedziała przed komputerem i wpatrywała się w pusty ekran. Miała w domu rannego. Niewiarygodnie przystojnego rannego. Wstrząs, częściowa amnezja, rekapitulowała w myślach. Poza tym... oczy, dla których można oszaleć.

Westchnęła, oparła podbródek na splecionych rękach. Z szokiem, jakiego doznał, jakoś sobie poradę, stwierdziła. Znała dobrze zasady udzielania pierwszej pomocy, bardzo przydatne podczas pracy w terenie.

Nie poradzę sobie jednak z jego amnezją, westchnęła w duchu. I z tymi oczami. Nie miała zbyt wielu doświadczeń w kontaktach z mężczyznami, o ile oczywiście nie byli akurat obiektami jej badań.

Umiała udawać pewną siebie. Nauczyła się tego, po prostu z czasem zwalczyła chorobliwą nieśmiałość. Dzięki temu mogła podróżować, robić wywiady z obcymi ludźmi, zyskała też kilku przyjaciół. Jednak praktycznie nie miała życia osobistego.

Wiedziała, jak zniechęcić mężczyzn, którzy chcieli się z nią umówić. Większość z nich i tak czuła się onieśmielona jej wiedzą i inteligencją. A rodzina? Uśmiechnęła się. Matka pozostała na zawsze artystką - marzycielką tkającą kilimy. Ojciec... William Stone zarobił wprawdzie fortunę, lecz daleko odbiegał od wizerunku biznesmena, do jakiego przyzwyczyli nas media. Oczywiście zwoływał zebrania zarządu, lecz nadal słuchał Boba Dylana.

Jedyny mężczyzna, jakiego Libby przyprowadziła do domu na rodzinną kolację, wyszedł zmieszany i zdenerwowany. No i niewątpliwie głodny, przypomniała sobie z uśmiechem. Przedtem dość nieprzytomnie wpatrywał się w suflet z cukinii i soi przygotowany przez matkę.

Libby odziedziczyła po rodzicach idealizm i gotowość służenia skazanym na niepowodzenie sprawom. Jednocześnie jednak, jak na naukowca przystało, była praktyczna i dociekliwa. Wierzyła, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Wierzyła w potęgę matematyki i...

baśnie. Pracowała tak ciężko, że nie miała już czasu na romanse. Zresztą, w głębi duszy bała się emocjonalnego zaangażowania.

Miała dwadzieścia trzy lata i, jak ujął to Caleb Hornblower, nie miała towarzysza.

Spodobało się jej to określenie. Uznała, że jest precyzyjne, a zarazem niezwykle romantyczne. Może dlatego wciąż była samotna, bo nie spotkała dotąd właściwego towarzysza?

To stwierdzenie poprawiło jej humor. Założyła okulary i zabrała się do pracy.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy Cal się obudził, deszcz już osłabł. Krople leniwie bębniły o szyby. Ten odgłos działał uspokajająco, jak relaksująca muzyka. Cal powoli przypominał sobie, gdzie jest i jak się tu znalazł.

Miał dziwny sen. Błyskające światelka i ogromna, czarna dziura. Wspomnienie koszmaru sprawiło, że serce Cala забиło szybciej, na czoło wystąpił mu pot. Świadomie doprowadził do zwolnienia tętna.

Pilot musi panować nad swym ciałem i emocjami. Decyzje trzeba często podejmować natychmiast, nie ma czasu do namysłu.

Był pilotem. Zamknął oczy i skoncentrował się na tej myśli. Zawsze chciał latać. Przeszedł przeszkolenie. Przypomnieć sobie cokolwiek więcej...

MSK, Międzynarodowe Siły Kosmiczne. Zaciśnął dłonie w pięści, uspokoił puls. W MSK uzyskał stopień kapitana. Kapitan Hornblower. Tak, na pewno. Kapitan Caleb Hornblower. Cal. Wszyscy go tak nazywali, poza matką. Wysoka, frapująca kobieta. Żywa, łatwo wybuchająca śmiechem.

Niemal ją widział. Może to, bardziej niż cokolwiek innego, dawało mu poczucie tożsamości. Miał rodzinę, nie towarzyszkę, tego był pewien. Rodziców i brata. Ojciec jest spokojny, cichy, można na nim polegać. Brat... nazywa się Jacob. Cal skupił się i zobaczył Jacoba. Impulsywny, uparty i uczciwy mężczyzna.

Znów rozbolała go głowa. Na razie wystarczy, uznał.

Powoli otworzył oczy i pomyślał o Libby. Kim ona jest? - Na pewno piękną kobietą o brązowych włosach i kocich oczach. Nietrudno być pięknym, jednak w Libby było coś takiego... Może przez to dziwne miejsce? Spojrzał na ścianę z bali i szklane okna. To miejsce też było niezwykle. Żadna z kobiet, które znał, nie wybrałaby życia na takim odludziu. I w dodatku bez mężczyzny.

Naprawdę urodziła się w tym łóżku czy tylko żartowała?

Antropolog, tak o sobie powiedziała. No właśnie... Może statek spadł na teren objęty jakimś eksperymentem. Z niejasnych przyczyn Liberty Stone żyła tak jak w epoce, którą studiowała. Zawsze uważał naukowców za dziwaków. Cal mógł zrozumieć zainteresowanie



przyszłością. Po co jednak grzebać się w przeszłości? - Przeszłość to przeszłość. Nie można jej zmienić, po co więc ją badać?

Nie moja sprawa, uznał po namyśle.

Miał wobec Libby dług wdzięczności. Zginąłby, gdyby go nie znalazła i nie zabrała do swojego domu.

Odwdzięczy jej się, gdy tylko dojdzie trochę do siebie. Zawsze spłacał swoje długi i był z tego dumny.

Liberty Stone. Libby. Powtórzył w myślach to imię, rozkoszując się jego melodyką. Był zafascynowany jej oczami. Można zmienić kolor i kształt oczu, lecz nie ich wyraz. Wszystkie emocje Libby odbijały się w nich jak w lustrze.

Wiedział, że przez niego zmagala się z różnorodnymi emocjami. Rozpoznał troskę, lęk, rozbawienie, pożądanie.

Usiadł na łóżku, potem szybko oparł głowę na rękach, gdyż pokój zawirował mu przed oczyma. Jego organizm mógł sobie reagować na Liberty Stone, na razie jednak trzeba było poprzestać na snuciu erotycznych fantazji. Zniechęcony Cal opadł ciężko na poduszkę. Muszę po prostu jeszcze trochę wypocząć, pocieszył się w duchu. Dzień - dwa, i ciało wyzdrowieje, umysł zaś wydobędzie wszystkie fakty z zakamarków pamięci. Wiedział już, kim jest i gdzie się znajduje. Na resztę przyjdzie czas później.

Dostrzegł książkę na nocnej szafce. Zawsze lubił czytać, to była po lataniu jego druga pasja. Wolał słowo pisane od taśm i dysków. Ucieszyło go, że to także sobie przypomniał. Sięgnął po książkę.

Zdziwił go tytuł. „Podróż na Andromedę”? Głupi, uznał natychmiast, zwłaszcza że serię oznaczono jako science fiction. Każdy, kto ma wolny weekend, może polecieć do tego gwiazdozbioru... Otworzył książkę, w oczy rzuciła mu się adnotacja na temat praw autorskich.

To na pewno pomyłka. Oblał się zimnym potem. To śmieszne. Książka, którą trzymał w ręku, była na pewno nowa; gładki grzbiet świadczył o tym, że nikt jej jeszcze nie przeczytał. Także strony wyglądały, jakby tego tomu nikt nawet nie przewertował. Głupi błąd, zwykle niedopatrzenie, powtarzał sobie, lecz poczuł, że ma wyschnięte wargi. To na pewno błąd, bo przecież książka wydana przed niemal trzystu laty nie mogłaby zachować się w takim idealnym stanie.

Pochłonięta pracą Libby nie zwracała uwagi na nasilający się ból w plecach. Wiedziała, że podczas wielogodzinnego ślęczenia nad papierami zachowanie prawidłowej postawy jest bardzo ważne, gdy jednak zaczynała pisać, zapominała o bożym świecie.

Od śniadania nic nie jadła, a zaparzona wcześniej herbata zdążyła już dawno wystygnąć. Wokół stołu, na podłodze leżały notatki i książki, zresztą także ubrania, których nie chciało jej się schować do szafy. Poza tym piętrzyła się sterta nieprzeczytanych jeszcze gazet i czasopism. Libby siedziała na bosaka, od czasu do czasu przerywała pisanie, by poprawić okulary w okrągłych, czarnych oprawkach.

„Nie ulega wątpliwości, że korzystanie z najnowszych zdobyczy cywilizacyjnych wywiera silny, choć nie zawsze pozytywny, wpływ na izolowane kultury, takie jak Kolbari. Wiek dwudziesty chyli się ku końcowi, jednak mieszkańcy wyspy pozostali nadal społecznością rolniczą. Wbrew powszechnie panującym opiniom nie dążą do integracji z nowoczesnymi społeczeństwami przemysłowymi. To, co bywa postrzegane jako dobrodziejstwo naszych czasów, a mam tu na myśli postęp w dziedzinie technologii, medycyny czy edukacji, jest najczęściej...”

- Libby.

- Co? - Odwróciła się.

Zobaczyła Cala. Błady i roztrzęsiony, jedną ręką przytrzymał się framugi, drugą ścisnął książkę w miękkiej okładce.

- Co tu robisz? - zapytała. - Miałeś zawołać, gdybyś czegoś potrzebował!

Zniecierpliwiona jego zachowaniem i trochę zła, że przerwał jej pracę, wstała, żeby pomóc mu podejść do krzesła. Gdy go dotknęła, wyrwał się.

- Co masz na twarzy?

Zaskoczył ją ton jego głosu. Furia przemieszana ze strachem. Niebezpieczne połączenie.

- Okulary. Okulary do czytania.

- Wiem, cholera, co to jest. Dlaczego je nosisz? Powoli, powiedziała sobie, ostrożnie. Delikatnie dotknęła jego ramienia. Mówiła wolno, by go uspokoić, jakby przemawiała do rannego lwa.

- Potrzebuję ich do pracy.

- Dlaczego ich nie naprawisz?

- Okularów? Nie są uszkodzone.

- Mówię o twoich oczach... Ostrożnie zdjęła okulary.

- Usiądź - poprosiła. Pokręcił przecząco głową.

- Chcę wiedzieć, o co tu chodzi.

Libby spojrzała na książkę, którą wymachiwał jej przed twarzą. Odchrząknęła.

- Nie wiem - odparła. - Nie czytałam. Chyba zostawił ją mój ojciec. On czytuje science fiction.

- Nie o to mi... - Cierpliwości, napomniął się w duchu. Nie miał jej nigdy zbyt dużo, ale teraz znalazł się w wyjątkowej sytuacji. - Otwórz na stronie redakcyjnej. Tam gdzie są prawa autorskie.

- Dobrze, ale dopiero kiedy usiądziesz. Nie wyglądasz najlepiej.

Chwiejąc się lekko na nogach, dotarł wreszcie do krzesła.

- Otwórz. Przeczytaj datę.

Obrażenia głowy często powodują zaburzenia zachowania, przypomniała sobie Libby. Nie uważała, że Cal może być niebezpieczny, jednak na wszelki wypadek postanowiła mu się nie sprzeciwiać. Przeczytała rok. Potem pozwoliła sobie na uśmiech.

- Prosto z drukarni - oznajmiła.

- Czy to ma być dowcip?

- Nie rozumiem...

Tak, jest wściekły, utwierdziła się w przekonaniu. I przerażony. Przykucnęła obok krzesła.

- Czy ta książka ma coś wspólnego z twoją pracą? - zapytał.

- Pracą? Nie, jestem antropologiem, to znaczy, że studiuje...

- Wiem, co to znaczy. - Do diabła z cierpliwością. Wyrwał Libby książkę. - Chcę wiedzieć, o co tutaj chodzi.

- To tylko książka. O ile znam upodobania ojca, jakaś drugorzędna powieść o inwazji pozaziemskich przybyszy. Wiesz, mutanty, laserowe karabiny i kosmiczni wojownicy. W każdym razie coś w tym rodzaju. - Wyjęła mu książkę z ręki. - Zaprowadzę cię z powrotem do łóżka, a potem ugotuję zupę.

Spojrzał na nią. Zobaczył w jej oczach troskę, a także zachęcający, bardzo miły uśmiech. I zdenerwowanie. Przeniósł spojrzenie niżej. Położyła dłoń na jego dłoni, w bardzo przyjazny sposób. A przecież widział, że się go obawia. Absurd. Równie koszmarny, jak data w książce.

- Może zwariowałem - przyznał.

- Nie - zaprotestowała. Przestała się bać, powoli uniosła dłoń i pogłaskała Caleba po twarzy. Jak kogoś, kogo mogła utracić, a teraz cudem odzyskała. - Jesteś ranny, to wszystko.

Chwycił ją mocno za nadgarstek.

- Uszkodzone banki pamięci? Aha, możliwe. Libby... - W jego oczach malowała się prawdziwa rozpacz.

- Jaki dziś jest dzień?

- Dwudziesty czwarty albo piąty maja, dokładnie nie pamiętam.

- Nie, pełna data, proszę.

- Dobrze, prawdopodobnie czwartek, dwudziestego piątego. - Potem dodała rok. Taki sam jak w książce.

- W porządku?

- Doskonale. - Zdołał zapanować nad sobą i uśmiechnął się. Jedno z nich musiało zwariować. Miał nadzieję, że Libby. - Masz tu coś do picia poza herbatą?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Brandy. Zaraz przyniosę.

- Aha, dziękuję.

Poczekał, aż usłyszy odgłos kroków na schodach. Potem ostrożnie wstał i otworzył pierwszą z brzegu szufladę. W tym dziwnym miejscu musi być coś, co pomoże mu odkryć prawdę.

Znalazł bieliznę, starannie ułożoną, co dziwnie kontrastowało z panującym w pokoju chaosem. Zastanowił się nad krojem i materiałami. Libby powiedziała, że nie ma towarzysza, a tymczasem kupowała rzeczy, których celem było sprawienie przyjemności mężczyźnie. Kolejna dziwna, niezrozumiała sprawa. Po cichu zamknął pierwszą szufladę.

W następnej zobaczył turystyczne spodnie z dużymi kieszeniami i dzinsy. Zastanawiał się przez chwilę, do czego służy suwak. Wreszcie odkrył, jak to działa, i odłożył dzinsy na miejsce. Ruszył w kierunku biurka, na którym zobaczył komputer, archaiczną maszynę, jak zdążył się zorientować, zanim potknął się o stos gazet. Nie spojrział na teksty ani na zdjęcia. Szukał dat.

Nie ma wątpliwości, znalazł się w dwudziestym wieku.

Poczuł, że ma w żołądku dużą, palącą kulę. Nie zwracając uwagi na brzęczenie w uszach, schylił się i porwał z podłogi gazetę. Słowa tańczyły mu przed oczami. Artykuł o zbrojeniach

nuklearnych, stwierdził z przerażeniem. Grad zniszczył uprawy na Środkowym Wschodzie. Jacyś Mariners pokonali Braves. Powoli, ostrożnie, dotarł z powrotem do krzesła i usiadł.

Źle, bardzo źle, pomyślał. I to nie Libby Stone zwariowała.

- Calebs - Podbiegła do niego, rozlewając po drodze trochę brandy z kieliszka. - Jesteś biały jak kreda.

- To nic. - Musiał teraz uważać, bardzo uważać. - Chyba za szybko wstałem.

- Chyba rzeczywiście powinieneś się napić. - Upewniła się, że chwycił kieliszek mocno, obiema dłońmi.

- Powoli - poprosiła, lecz opróżnił szklaneczkę jednym haustem. Przysiadła na piętach. - Nie powinieneś tak szybko pić - zganiła go. - Możesz znów stracić przytomność.

Brandy była prawdziwa, nie ulegało wątpliwości. Czuł aksamitny ogień spływający do gardła i niżej, do żołądka. Zamknął oczy, żeby poddać się błogosławionemu działaniu trunku.

- Nie mogę jeszcze pozbierać myśli. Od jak dawna tu jestem?

- Od wczoraj. - Zauważyła, że na twarz jej gościa powracają kolory. Mówił już spokojniej, składniej. Dopiero teraz, gdy się trochę rozluźniła, poczuła, jak bardzo była spięta. - Widziałam, jak się rozbiłeś, koło północy.

- Widziałaś to?

- No cóż, tylko światło, potem usłyszałam huk.

- Uśmiechnęła się. - Przez chwilę myślałam, że to meteor albo UFO.

- UFO? - powtórzył ostrożnie.

- Nie to, żebym wierzyła w istnienie kosmitów, ale mojego ojca zawsze fascynowały takie historie. Teraz już wiem, że widziałam samolot. - Zauważyła, że Caleb patrzy na nią ze zdziwieniem. - Lepiej się czujesz?

Nie mógł zdradzić, jak naprawdę się czuje. Powinien zachować najwyższą ostrożność, ważyć każde słowo.

- Trochę. - A może to tylko jakaś koszmarna pomyłka, łudził się nieśmiało. Wskazał gazetę. - Skąd ją masz? - - zapytał.

- Kilka dni temu pojechałam do Brookings, jakieś sto dwadzieścia kilometrów stąd. Zrobiłam zakupy i odebrałam pocztę. Jeszcze nie przeczytałam gazet, wiadomości zdążyły się trochę zdezaktualizować.

- Wstała i zakrzętnęła się, żeby trochę posprzątać.

- Zawsze czuję się tu odcięta od świata - wyjaśniła.  
- Nawet bardziej niż kiedy pracuję w prawdziwej głuszy, setki kilometrów od najbliższego miasta. Gdyby ludzie osiedlili się na Marsie, nawet bym się o tym nie dowiedziała.  
- Na Marsie - powtórzył, czując, że zaraz zemdleje.  
- To już chyba ze sto lat temu.  
- Tak? - Widocznie przegapiłam tę informację.  
- Westchnęła i wyjrzała przez okno. - Znów zaczyna padać. Może włączę poranne wiadomości i posłuchamy prognozy meteorologicznej.

Ominęła stos książek i włączyła mały, przenośny telewizor. Po chwili pojawił się zniekształcony obraz. Przeciągnęła dłonią po włosach. Postanowiła nie wkładać okularów, żeby nie prowokować dziwnych pytań.

- Prognoza pogody powinna być... - zaczęła. - Calebs Wyglądasz, jakbyś po raz pierwszy w życiu zobaczył telewizor.

- Co? - - Żałował, że nie ma pod ręką kolejnego drinka. Telewizor. Oczywiście, słyszał o tych urządzeniach. - Nie wiedziałem, że go masz.

- Jesteśmy na wsi - wyjaśniła - ale to nie oznacza, że nie możemy korzystać z nowoczesnych urządzeń.

Niespodziewanie roześmiał się.

- Może powinieneś znów się położyć? - - zapytała z troską.

- Aha. - Tak, kiedy się później obudzę, wszystko okaże się snem, pomyślał z ulgą. - Czy mógłbym zabrać te gazety?

Pomogła mu wstać.

- Nie wiem, czy w takim stanie powinieneś czytać.

- To chyba najmniejszy problem - zapewnił ją Tym razem pokój nie zawirował, lecz i tak Caleb objął dziewczynę ramieniem. Ma silne ramiona, pomyślał. I miły zapach. - Libby - oświadczył uroczyście - jeśli po przebudzeniu stwierdzę, że całe to zdarzenie było iluzją, wiedz, że stanowisz jej najlepszą i najmiłszą część.

- Jesteś bardzo miły.

- I szczerzy.

Zaprowadziła go do łóżka i położyła. Nawet wtedy nie zabrał ręki z jej ramion. Musiała się pochylić, a wtedy musnął wargami jej usta.

Wyprostowała się gwałtownie. On natychmiast zapadł w sen, gdy tymczasem jej serce biło jak oszalałe.

Kim jest Caleb Hornblower? To pytanie przez cały wieczór nie dawało Libby spokoju. Jej zainteresowanie mieszkańcami wyspy Kolbari znacznie zbladło w porównaniu z fascynacją osobą niespodziewanego gościa.

Kim on jest i co mam z nim zrobić? - zastanawiała się. Dlaczego pomimo szalejącej burzy nie przerwał nocnego lotu? - Skąd przybył i dokąd zmierzał? Dlaczego zwykła książka wprawiała go w przerażenie? Dlaczego tak spieszył się do całowania?

W tym momencie przerwała rozmyślania. Ta ostatnia kwestia nie jest ważna, uznała natychmiast. Nie warto tym się zajmować. W końcu to nawet nie był pocałunek, przekonywała samą siebie. Zresztą, był czy nie był, to i tak bez znaczenia. Na pewno Calebowi chodziło o wyrażenie wdzięczności. Wiedziała, że w zachodniej kulturze pocałunek stał się zdawkowym gestem. Mógł zastąpić uśmiech lub uścisk dłoni, być wyrazem przyjaźni, sympatii albo wdzięczności. Lub też... pożądania. Zaczęła nerwowo ogryzać paznokcie.

Pocałunek nie był przyjęty we wszystkich społeczeństwach. Na przykład w wielu prymitywnych kulturach... Boże, chyba zwariowałam, komu ja wygłaszam ten wykład, pomyślała zniechęcona. Spojrzała na ogryzione paznokcie. Zły znak, uznała.

Postanowiła na razie nie myśleć o Hornblowerze i coś zjeść. Wstała. Już i tak tego dnia wiele nie napisze, może więc z czystym sumieniem przygotować posiłek.

Ponieważ w pokoju Caleba było ciemno, minęła go na palcach. Zajrzy tutaj, wracając z kuchni. Na pewno sen dobrze mu zrobi, lepiej niż jedzenie, doszła do wniosku. Gdy schodziła po schodach, usłyszała przeciągły pomruk burzy. Kolejny zły znak. Minie kilka dni, zanim będzie można zawieźć Caleba do lekarza.

Może już go szukając Rodzina, przyjaciele, współpracownicy. Żona albo dziewczyna... Każdy kogoś ma.

Gdy sięgnęła do wyłącznika, żeby zapalić światło w kuchni, niebo przecięła pierwsza błyskawica. Otworzyła lodówkę. Nie znalazła nic, na co miałaby ochotę, zaczęła więc przeszukiwać spiżarnię. Należy mi się porządna zupa i spokojny wieczór przy kominku, uznała.

A może jest samotny?

Westchnęła i otworzyła puszkę. Ostatnio wiele myślała o samotności. Może dlatego, że żyła w społeczeństwie ceniącym rodzinę. Ludziom samotnym, bez towarzysza, przypominała

sobie z uśmiechem, często nie wystarcza już własne towarzystwo. Media nieustannie i dość nachalnie propagowały określony model życia, zupełnie jakby człowiek bez pary był niepełnowartościowym członkiem społeczności, wręcz wybrykiem natury. Do tego dochodzą naciski ze strony zaniepokojonej rodziny. Życzliwe przyjaciółki oferują pomoc w znalezieniu odpowiedniego partnera. Człowiek jest istotą towarzyską, niemal od urodzenia, widać mamy to w genach.

Może właśnie ta powszechna presja działa na mnie paralizująco, pomyślała Libby. Powoli mieszała zupę. Po chwili doszła do kolejnego wniosku. Przecież od urodzenia wpajano jej dążenie do indywidualizmu i niezależności. W szkole i na studiach poszła na kilka randek, bez żadnych konsekwencji. Takie spotkania śmiertelnie ją nudziły.

Może to nie do końca prawda, poprawiła się w duchu. To było interesujące przeżycie, lecz z czysto naukowego punktu widzenia. Nie spotkała jeszcze nigdy mężczyzny, który skłoniłby ją do zmiany takiego nastawienia. Już w szkole koleżanki i koledzy mówili o niej profesor Stone. Nadal ją to bolało. W college'u złośliwi nazywali ją etatową dziewicą. Starła się nie zwracać uwagi na złośliwości, skupić się na studiach. Miała wielu przyjaciół, obu płci, ale intymność to coś zupełnie innego. Nigdy nawet nie zatekniła za żadnym mężczyzną.

Z drewnianą łyżką w ręku odwróciła się, żeby sięgnąć po miskę. Caleb znów stał w drzwiach. Libby drgnęła, łyżka z łoskotem upadła na podłogę. Świat za oknem rozjaśniła błyskawica. W tym momencie zgasło światło.

- Libby?

- Cholera, Hornblower, nie rób tego. - Otwierała kolejne szuflady w poszukiwaniu świecy. - Kiedyś przestraszysz mnie na śmierć.

- Pomyślałaś, że jestem mutantem z Andromedy?

- zapytał.

- Już ci mówiłam, że nie czytam tych bzdur.

- Zaklęła, gdyż zamykając szufladę, przytrzasnęła sobie palec. - Gdzie są te głupie zapalki?

Odwróciła się i w ciemności wpadła na Caleba. Nagle następna błyskawica wydobyła na moment jego sylwetkę z mroku. Libby poczuła, że ma sucho w ustach. Wyglądał oszalamiająco. Taki silny i niebezpieczny.



- Drżysz - zauważył. Mówił bardzo cicho, lecz mocno ścisnął jej ramiona. - Naprawdę się boisz?

- Nie, ja... - Nie była panienką lękającą się burzy, albo jakiegoś faceta. Trzęsła się jednak jak osika. Drżącą ręką dotknęła jego piersi. - Muszę znaleźć zapalki.

- Dlaczego zgasiłaś światło? - zdziwił się. Cudownie pachniała. W chłodzie i ciemności mógł się skoncentrować na zapachu. Niemal nieuchwytnym, a jednak bardzo zmysłowym.

- Nie zgasiłam. Z powodu burzy jest przerwa w dostawie prądu. - Poczula, że zacisnął mocniej dłonie na jej ramionach. - Calebs.

- Cal. - W świetle kolejnej błyskawicy zobaczyła jego dziwnie pociemniałe oczy. - Wszyscy mówią do mnie Cal.

Rozluźnił uchwyt.

- Kiedy Caleb mi się podoba - zaprotestowała, uważając, by zabrzmiało to w równym stopniu miło, co i niezobowiązująco. - Zachowajmy więc to imię na szczególne okazje. Puść mnie.

Przeciągnął dłońmi wzdłuż jej rąk, potem z powrotem do ramion.

- Dlaczego?

Zaniemówiła, gdyż teraz trzymał ją miękkimi dłońmi za łokcie. Powoli, delikatnie masował kciukami gładką i wrażliwą skórę w zgięciu rąk.

- Ja... - Poczula, jak napinają się jej mięśnie. - Nie rób tego - wykrztusiła i wyrwała się. - Muszę znaleźć zapalki.

- Proszę bardzo.

Powróciła do poszukiwań. Nawet gdy już znalazła pudełko, zapalenie zapalki zajęło jej minutę. W końcu, odwrócona tyłem do Caleba, zapaliła dwie stożkowate świece.

- Podgrzałam zupę. Chcesz trochę?

- Tak, poproszę.

Krzętanie się przy kuchni pomagało jej opanować rozedrgane nerwy.

- Na pewno już się lepiej czujesz - zauważyła. Uśmiechnął się na wspomnienie swych ponurych rozmyślań w ciemnej sypialni.

- Chyba tak.

- Boli cię głowa?

- Tylko trochę.

Zaparzyła herbatę, ustawiła naczynia na tacy.

- Usiądźmy przy kominku - zaproponowała.

- Zgoda.

Wziął obie świece i poszedł przodem, żeby oświetlać drogę.

Burza pomogła, pomyślał Cal. Wszystko wydaje się teraz nierzeczywiste. Może zanim przestanie padać, będę już wiedział, co powinienem zrobić.

- Obudziły cię pioruny?

- Tak.

To nie ostatnie kłamstwo, jakie muszę jej zaserwować, pomyślał. Choć było mu z tego powodu przykro, uśmiechnął się. Usiadł w jednym z foteli. To właściwie wspaniała sprawa, że zwykła burza może pogrążyć człowieka w ciemności, skazać go na światło świec i blask ognia na kominku. Żaden komputer nie wymyśliłby lepszej scenarii.

- Jak sądzisz, kiedy znów będzie prąd? - zapytał.

- Za godzinę. - Spróbowała zupy i już niemal zupełnie się uspokoiła. - Może jutro. - Roześmiała się. - Tata ciągle mówił o zainstalowaniu generatora, ale jakoś nigdy nie miał do tego głowy. W zimie często musieliśmy gotować na kuchni na węgiel. Ja z siostrą spałam tu, na podłodze, a rodzice trzymali na zmianę wartę przy ogniu.

- Lubiłaś to - zauważył Cal.

Znał ludzi, którzy wyprawiali się do rezerwatów i mieszkali w namiotach. Zawsze uważał ich za dziwaków. Libby jednak najwidoczniej miło wspominała chwile spędzone w prymitywnych warunkach.

- Lubiłam? Przepadałam za tym.

Już całkowicie się uspokoiła. Widział to w jej oczach, słyszał w jej głosie. To dobrze. Im bardziej się rozluźni, tym więcej informacji uda się mu od niej wyciągnąć.

- Jaką epoką się zajmujesz?

- Nie specjalizuję się w jednej epoce. Badam przede wszystkim izolowane kultury oraz wpływ, jaki wywierają na nie nowoczesne maszyny i urządzenia. Wiesz, że powszechna elektryfikacja spowodowała zmianę wzoru zachowań społecznych? Zajmowałam się też wymarłymi cywilizacjami, na przykład Aztekami i Inkami. Jesienią wybieram się do Peru.

- Dlaczego się tym zainteresowałaś?

- Pewnie dzięki wycieczce na Jukatan, którą odbyłam we wczesnym dzieciństwie. Te wszystkie wspaniałe budowle Majów... Byłeś w Meksyku?

Przypomniał sobie pewną szczególnie szaloną noc w Acapulco.

- Tak, dziesięć lat temu. - Albo będę za kilka stuleci, dodał w myślach i opuścił głowę.

- Coś się stało?

- Nie, przyglądam się tej herbacie. - Upił łyk. - Wydaje mi się znajoma.

Uśmiechnęła się.

- Ojciec ucieszyłby się, gdyby to usłyszał. Herbal Delight to jego firma. Zaczął tutaj, w tej chatce.

Cale roześmiał się.

- A ja myślałem, że to tylko taka legenda.

- Legenda? - Uśmiechnęła się niepewnie - To jakiś żart? - Przepraszam, nie zrozumiałam, o co w nim chodzi.

- Trudno to wyjaśnić.

Czy mógł jej powiedzieć, że przez dwieście lat Herbal Delight stała się jedną z największych i najbogatszych firm na Ziemi i w ziemskich koloniach - Że oprócz herbaty produkują paliwo organiczne i Bóg wie co jeszcze - Siedzę sobie tutaj, myślał, w domku, w którym to wszystko się zaczęło. Zauważył, że gospodyni patrzy na niego wyraźnie zaniepokojona. Czyżby ponownie chciała sprawdzić mu puls.

- Matka mi ją parzyła - wyjaśnił - kiedy... nie czułem się dobrze.

- Lekarstwo na wszystkie choroby? - Przypominasz sobie coraz więcej.

- Tylko fragmenty, jednak nie mogę poskładać ich w całość. - Postanowił zachować ostrożność. - Więcej rzeczy z dzieciństwa niż z zeszłej nocy.

- To zupełnie normalne. Jesteś żonaty? Dlaczego o to zapytałam - - spłoszyła się i wbiła wzrok w ogień.

Cieszył się, że nie zobaczyła jego uśmiechu.

- Nie. Gdybym był, nie pragnąłbym ciebie. To byłoby niewłaściwe.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Szybko wstała i zaczęła ustawiać naczynia na tacy.

- Wolałabyś, żebym tego nie powiedział?

- Czego?

- Że cię pragnę.

Chwycił ją za nadgarstek, by nie odeszła. Poczuł szybko bijący puls. Nie wiedział, jak współczesne Libby kobiety reagują na zaloty. No, te sprawy chyba za bardzo się nie zmieniły...

- Tak. Nie.

Uśmiechnął się i odebrał od niej tacę.

- Co chciałaś powiedzieć?

- Że to nie jest dobry pomysł. Gdy wstał, cofnęła się o krok.

- Caleb...

Dotknął palcem jej policzka. Zobaczył, że oczy Libby zaszły mgłą.

- Nie rób tego.

Śmieszne, pomyślała. Przecież takie dotknięcie nie ma prawa wytrącić mnie z równowagi. A jednak wytrąciło.

- Kiedy się obudziłem i zobaczyłem ciebie śpiącą w fotelu, w blasku ognia, pomyślałem, że mam omamy. - Delikatnie przesunął palec na jej wargi. - Teraz też tak wyglądasz... jakoś nierealnie, jak magiczne zjawisko. Chodźmy do łóżka.

Przygarbiła się. Była na siebie wściekła. Dlatego, że zadrzała, że poczuła nieznośne gorąco. Musi sobie poradzić z tymi dziwacznymi emocjami. Postanowiła traktować Caleba z dystansem, jak silna, niezależna kobieta, która zna swoją wartość.

- Nie zamierzam z tobą spać. Nie znam cię.

A więc o to chodzi, uświadomił sobie. Jeśli się nad tym zastanowić, takie postawienie sprawy ma sens. Jest nawet urocze.

- W porządku - zgodził się. - Ile czasu potrzebujesz, żeby mnie poznać?

Wpatrywała się w niego.

- Nie mogę się zorientować, czy żartujesz, czy coś ci się pomieszało w głowie. Wiem jedno. Jesteś najdziwniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Zaczęła poprawiać drewno na kominku. Obserwował jej zręczne ruchy, ładne ciało i najbardziej wrażliwe oczy, jakie kiedykolwiek widział.

- Jutro się poznamy - oświadczył. - Potem będziemy spać razem.

Wyprostowała się gwałtownie, uderzyła głową w gzyms kominka. Zakłęła i potarła dłonią bolące miejsce.

- Niekoniecznie - odparła. - Właściwie to bardzo mało prawdopodobne.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - Zaczerwieniła się, przez chwilę szukała właściwych słów. - Ja takich rzeczy nie robię.

Zauważyła, że to go naprawdę zdziwiło.

- W ogóle? - zapytał z niedowierzaniem.

- Naprawdę, Hornblower, to nie twój interes. Poczucie godności i resztki dumy pomogły, choć nie do końca. Libby energicznie chwyciła tacę, naczynia przesunęły się niebezpiecznie, lecz na szczęście nie spadły na podłogę.

- Dlaczego jesteś zła? - - zapytał. - Ja tylko chcę się z tobą kochać.

- Posłuchaj. - Wzięła głęboki oddech. - Mam już tego dość. Uratowałam cię, a ty, zamiast okazać choć trochę wdzięczności, zapraszasz mnie do łóżka, i to tylko dlatego, że masz na to ochotę. Według ciebie miałabym się kochać z kimś zupełnie obcym, z tego tylko powodu, że nadarzyła się okazja? Obrażasz mnie.

Pochylił głowę, jakby popadł w głęboką zadumę.

- Bez okazji byłoby lepiej? - spytał wreszcie. Zaciśnęła zęby.

- Posłuchaj, Hornblower - syknęła. - Gdy tylko się stąd wydostaniemy, podrzucę cię do najbliższego baru dla samotnych. Do tego czasu trzymaj się ode mnie z daleka.

Zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju. Usłyszał, jak niesione przez Libby naczynia spadają z hukiem na podłogę.

Zamyślony ruszył na górę. Trudno zrozumieć kobiety z dwudziestego wieku, lecz trzeba przyznać, że są wyjątkowo fascynującymi istotami. No i co to, do cholery, jest ten bar dla samotnych?

## ROZDZIAŁ TRZECI

Rano czuł się już prawie normalnie. Oczywiście, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znalazł. Właściwie jeszcze się przecież nie urodził... Dziwne, bo w świetle najnowszych teorii naukowych to zupełnie bezsensowne stwierdzenie. Chyba że otaczająca go rzeczywistość okaże się jednak snem.

Jeśli mam szczęście, kontynuował rozmyślenia, jestem teraz w szpitalu i cierpię na zaburzenia umysłowe po uderzeniu w głowę. Jeśli nie, wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście znalazłem się w dwudziestym wieku, czyli epoce prymitywnej, w której przemoc jest na porządku dziennym.

Pamiętał, że tuż przed katastrofą stoczył prawdziwą walkę o ocalenie statku. Potem wydarzyło się coś złego... Nie pamiętał, co właściwie spowodowało katastrofę.

Nazywam się Caleb Hornblower, podsumował dotychczas odzyskaną wiedzę. Urodziłem się w roku 2222. Dlatego dwójka przynosi mi szczęście, przypomniał sobie i uśmiechnął się. Mam trzydzieści lat, nie mam pary. Jestem starszym z dwóch braci. Należałem do Międzynarodowych Sił Kosmicznych. Jestem kapitanem, a od osiemnastu miesięcy pracuję na własny rachunek. Dostarczam zaopatrzenie do kolonii Brigston na Marsie. W drodze powrotnej zboczyłem z kursu, żeby uniknąć zderzenia z deszczem meteorów. Potem coś się stało...

Na razie muszę pogodzić się z faktem, że w jakiś zagadkowy sposób cofnąłem się w czasie. Przebiłem się nie tylko przez ziemską atmosferę, lecz również przez mniej więcej dwa i pół stulecia. Znalazłem się w wieku, w którym ludzie uważają podróże międzyplanetarne za wymysł pisarzy. Jednocześnie jednak ci sami ludzie, w co już trudniej uwierzyć, igrają niebezpiecznie z materiałami rozszczepialnymi.

Wylądowałem na pustkowiu, podsumował. Żyję i znalazłem się w rękach wspaniałej brunetki. Mogło być gorzej.

Teraz muszę znaleźć sposób, żeby wrócić. Żywy.

Poprawił poduszkę, dotknął dłonią szorstkiego od zarostu podbródka. Ciekawe, pomyślał, jak zareagowałaby Libby, gdybym teraz zszedł na dół i powiedział jej, do jakich wniosków właśnie doszedłem.

W najlepszym przypadku natychmiast wyrzuciłaby mnie za drzwi, i to tak jak stoję, stwierdził po namyśle. Mogłaby też umieścić mnie w jakiejś klinice psychiatrycznej. W dwudziestym wieku te przybytki nie były chyba nazbyt luksusowe.

Martwiło go teraz, że nie przykładał się do nauki historii. Wszystko co wiedział o dwudziestym wieku, zmieściłoby się na jednym ekranie komputera. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości - tutaj nikt nie cackałby się z facetem twierdzącym, że podczas rutynowego lotu z Marsa rozbił w górach F 27.

Nie, nie mogę wyznać prawdy, zdecydował. Muszę się też lepiej maskować. To znaczy, bardziej uważać na to, co mówię i robię.

Wczoraj popełniłem błąd. Uśmiechnął się, przypominając sobie reakcję Libby na niewinną propozycję wspólnego spędzenia nocy. Nagle pożałował, że nie czytał starych romansów, które tak lubiła matka.

Teraz miał poważniejsze problemy niż to, że został odrzucony przez piękną kobietę. Musiał się dostać do statku. A przede wszystkim odtworzyć w pamięci przebieg wydarzeń i odwrócić ich bieg. To chyba jedyny sposób na bezpieczny powrót do domu, innego nie potrafił sobie wyobrazić.

Ona ma komputer, przypomniał sobie. Prymitywny, ale jeśli podłączyć do niego mój naręczny, może uda się obliczyć trajektorię lotu.

Na razie chciał wziąć prysznic, usunąć zarost i zjeść trochę jajek, które tak wspaniale przyrządzała Libby. Otworzył drzwi i niemal na nią wpadł.

Trzymała filiżankę, nad którą unosił się obłoczek pary.

Przywitała go słowami:

- Pomyślałam, że będziesz miał ochotę na kawę.

- Dziękuję. - Zauważył, że zachowuje się bardzo oficjalnie i z dystansem. Hmm, mimo upływu stuleci natura kobieca pewnie niewiele się zmieniła. Warto o tym pamiętać. - Chciałbym przeprosić - powiedział ze swoim najbardziej czarującym uśmiechem. - Wiem, że wczoraj trochę wypadłem z orbity.

- Tak, można to również tak ująć - zgodziła się.

- Chodzi mi o to, że... to ty miałaś rację, nie ja. Jeśli to nie podziła, pomyślał, to znaczy, że nie wiem nic o kobietach.

- Już dobrze. - Nie lubiła chować urazy. - Zapomnijmy o tym.

- Czy wolno mi chociaż powiedzieć, że masz piękne oczy? - zapytał.

- Niech ci będzie. - Tak, to celtycka krew, utwierdziła się w swych poprzednich przypuszczeniach. Jeśli ten mężczyzna nie ma irlandzkich przodków, wracam do szkoły podstawowej. - Skoro nie możesz się powstrzymać...

Wyciągnął rękę.

- Zostańmy przyjaciółmi.

- Dobrze. - Podała mu rękę i od razu spostrzegła, że popełniła błąd. Dotyk sprawił, że serce znów zabiło jej szybciej. - Zejdę na dół przygotować śniadanie - rzuciła nonszalancko.

- A czy mógłbym wziąć prysznic? - Jasne. Pokażę ci, gdzie co jest. - Od razu poczuła się pewniej. Zaprowadziła go do łazienki. - Czyste ręczniki są tutaj. - Wskazała szufladę. - Gdybyś chciał się ogolić, to proszę. - Podała mu jednorazową maszynkę i pojemnik z pianką. - Coś nie tak?

Patrzył na te przedmioty jak na narzędzia tortur. - Używasz elektrycznej? - domyśliła się. - Niestety, takiej nie mam.

- Nic nie szkodzi - zdobył się na słaby uśmiech - w porządku.

- Szczoteczka do zębów, proszę, elektrycznej Niestety nie ma.

- To nic.

- Znajdź sobie potem na górze jakieś ubranie. Powinny być dżinsy i sweter. Śniadanie podam za pół godziny. Zdażysz?

- Oczywiście.

Gdy zamykała drzwi, Cal wpatrywał się nadal w przyrządy toaletowe, które trzymał w rękach.

Fascynujące. Teraz, gdy przewyciężył już strach i niedowierzanie, dostrzegł w swej sytuacji wiele emocjonujących elementów.

Oni używali tych przedmiotów trzy razy dziennie, wyławiał z otchłani pamięci okruchy wiedzy. Mieli pasty o różnych smakach, którymi nacierali sobie zęby. Wycisnął na palec trochę pianki do golenia, spróbował językiem. Obrzydliwe. Jak ludzie to wytrzymywali? - Oczywiście, ich medycyna nie uporała się jeszcze z chorobami zębów i dziąseł.

Rozerwał karton i wyjął szczoteczkę. Dotknął palcem włosia. Uśmiechnął się do lustra i przyjrzał swym mocnym, białym zębom. Może nie powinien ryzykować? - Lepiej nie.



Odłożył szczoteczkę, krem i maszynkę na półkę przy umywalce. Rozejrzał się. Owalna wanna, dziwny, pojedynczy prysznic wystający ze ściany. Może po powrocie napiszę o tym książkę? - pomyślał.

Na razie jednak musiał się nauczyć, jak działa ten prysznic. Nad wanną dostrzegł trzy białe pokrętła.

Jedno oznaczono literą C, drugie Z, trzecie zaś tajemniczą strzałką. Patrzył na nie bezradnie. Mógł się domyślić, że C to ciepła woda, Z - zimna. Jak jednak dobrać właściwą temperaturę? - Brakowało komputera, trzeba było ustawić wszystko ręcznie, na wycucie.

Najpierw się oparzył, potem niemal krzyknął pod strumieniem lodowatej wody. W końcu jednak on i prysznic doszli do porozumienia. Na tyle, że tusz zaczął sprawiać Calowi niekłamana przyjemność. Zobaczył butelkę z napisem „szampon”. Zdziwiło go opakowanie, lecz wylał trochę zawartości na dłoń.

Pachniało pięknie, jak Libby.

Niemal natychmiast ogarnęło go pożądanie. Dziwne, pomyślał. To uczucie było zawsze przyjemne, proste. Teraz jest niemal bolesne. Przycisnął dłoń do brzucha, pożądanie jednak nie mijało. To na pewno efekt wypadku, zaniepokoił się. Po powrocie powinienem dokładnie się zbadać.

Nagle kąpiel przestała mu sprawiać przyjemność. Sięgnął po ręcznik i szybko się wytarł. Zaprzagnął uwolnić się od zapachu mydła i szamponu, od wszechobecnego zapachu Libby.

Dżinsy okazały się trochę za luźne, ale i tak wspaniałe. Zwłaszcza że w czasach Cala naturalną bawełnę mogli sobie pozwolić tylko nieliczni bogacze. Czarny sweter z golfem miał dziurę na rękawie. Caleb aż jęknął z zachwyty. Zawsze lubił obszerne, niezbyt eleganckie, wygodne ubrania. Między innymi dlatego, że nie przepadał za mundurami, opuścił MSK. W dobrym nastroju, bosy, podążył do kuchni, skąd dobiegły go smakowite zapachy.

Libby wyglądała wspaniale. Luźne, workowate spodnie podkreślały jej smukłą sylwetkę i pozwalały się domyślić wspaniałej figury. Calebowi spodobał się sposób, w jaki Libby podwinęła rękawy obszernego, czerwonego swetra. Ma bardzo piękne łokcie, pomyślał i znów doświadczył tego dręczącego uczucia, które kazało mu wybiec w popłochu z łazienki. Nie powinienem snuć takich fantazji, zmytygował się. Przyrzekłem to sobie.

- Cześć.

Tym razem spodziewała się go, więc nie podskoczyła nerwowo.

- Cześć, usiądź. Zjesz, a potem zmienię ci opatrunek. Mam nadzieję, że lubisz francuskie grzanki.

- Odwróciła się. Na widok Cala mocniej zacisnęła dłoń na rączce patelni. Ubrany był w czarny sweter jej ojca i prezentował się nader atrakcyjnie. - Nie ogoliłeś się - zauważyła.

- Zapomniałem. - Nie zamierzał zdradzać, że dziwne stalowe ostrze napawało go obawą.  
- Przeszło padać - dodał.

- Aha, chyba po południu wyrzy słońce. Postawiła patelnię na stole. Cal nachylił się i wciągnął w nozdrza rozkoszny zapach.

- Naprawdę ty to zrobiłaś? - zapytał.

- Tak, śniadanie wychodzi mi najlepiej. Usiadła naprzeciwko niego przy stole.

- Mógłbym się do tego przyzwyczaić - stwierdził.

- Do jedzenia?

Skosztował i przymknął oczy z zachwytem.

- Do takiego jedzenia.

- A co zwykle jadasz?

- Gotowe dania.

W gazecie widział reklamy gotowych dań - zapowiedź postępu cywilizacyjnego.

- Ja na ogół też - przyznała. - Kiedy jednak tu przyjeżdżam, coś każe mi gotować, rąbać drewno, zbierać zioła. Jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. Co robisz, kiedy nie rozbijasz samolotów? - - zmieniła temat.

- Latam.

Przemyślał z góry odpowiedź na takie pytanie. Uznał, że powinien trzymać się możliwie najbliższej prawdy.

- Więc służysz w lotnictwie.

- Już nie. - Wziął do ręki filiżankę i zręcznie zmienił temat: - Nie wiem, czy podziękowałem ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Chciałbym się jakoś odwdzińczyć, Libby. Może masz tu do wykonania jakąś pracę?

- Chyba powinieneś jeszcze przez jakiś czas unikać fizycznego wysiłku.

- Nie wytrzymam leżenia przez cały dzień w łóżku. Zwariuję.

Przyjrzała się mu uważnie.

- Wróciły ci kolory - stwierdziła. - Nie masz już zawrotów głowy?

- Nie.

- Możesz mi pomóc pozmywać.

- Jasne.

Obrzucił spojrzeniem kuchnię. Podobnie jak łazienka, to pomieszczenie go zafascynowało. Jedna ściana z kamienia, z paleniskiem. W miedzianym dzbanie zasuszone kwiaty i zioła. Szerokie okno nad zlewem oferowało wspaniały widok na góry i rosnącą w pobliżu samotną sosnę. Szare niebo było niesłychanie spokojne. Cal rozpoznał lodówkę i kuchenkę. Pod bosymi stopami czuł podłogę z desek. Chłodną i gładką.

- Szukasz czegoś? Drgnął.

- Przepraszam?

- Patrzyłeś przez okno tak intensywnie...

- Ja... tylko podziwiałem widok. Wskazała talerz.

- Już skończyłeś? - zapytała.

- Aha. Piękna kuchnia.

- Zawsze ją lubiłam. Oczywiście teraz, z nowoczesnym sprzętem, jest bardziej funkcjonalna. Nie uwierzyłbyś, na jakim muzealnym palenisku gotowaliśmy kiedyś posiłki.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Rzeczywiście, nie uwierzyłbym.

- Dlaczego ciągle mam wrażenie, że żartujesz, a ja nie mogę się połapać, na czym polega dowcip?

- Nie wiem.

Wziął talerz, podszedł do zlewu i otworzył najbliższą szafkę.

- Jeśli szukasz zmywarki, to daj sobie spokój. - Libby przyniosła ze stołu resztę naczyń. - Moi rodzice nie sprzeniewierzyliby się aż do tego stopnia ideałom lat sześćdziesiątych. Nie ma zmywarki, mikrofalówki ani anteny satelitarnej.

Zatkała zlew i sięgnęła po butelkę z detergentem.

- Chcesz zmywać czy wycierać?

- Powycieram.

Obserwował, jak napelnia zlew wodą i wlewa płyn. Nawet przyjemny zapach, pomyślał. Powstrzymał się jednak przed nachyleniem i powąchaniem.

Libby potarła swędzącym nosem o ramię. Dostrzegła zafascynowane spojrzenie Cala.

- Daj spokój, Hornblower, nie widziałeś nigdy, jak kobieta zmywa gary?

Postanowił sprawdzić jej reakcję.

- Nie. Właściwie tak. Kiedyś w kinie. Roześmiała się i wręczyła mu talerz.

- Postęp pozbawia nas coraz większej ilości przyjemnych zajęć. Prawdopodobnie za sto lat jakieś roboty będą sterylizowały brudne naczynia.

- Raczej za sto pięćdziesiąt. Co mam z tym zrobić?

- Wytrzeć.

- W jaki sposób?

Uniosła brew z niedowierzaniem i wskazała złożoną starannie ściereczkę.

- Możesz spróbować tym.

- Racja.

Wytarł talerz i wziął następny.

- Wiesz - powiedział - miałem nadzieję, że zerknę dzisiaj na to, co zostało z mojego sta... samolotu.

- Deszcz rozmył szlak. Landrowerem chyba przejechalibyśmy, ale lepiej poczekać jeszcze jeden dzień.

- Pokażesz mi, w którą stronę jechać?

- Nie. Zawiozę cię tam.

- Dość już dla mnie zrobiłaś.

- Może tak, ale nie dam ci kluczyków, a na piechotę trudno tam dotrzeć.

Wytarta rękę. Caleb gorączkowo szukał jakiejś wymówki. Nie zdążył, gdyż Libby już zapytała:

- Dlaczego nie chcesz, żebym zobaczyła twój samolot, Hornblower? Nawet jeśli go ukradłeś, nie zorientuję się.

- Nie ukradłem.

Powiedział to z taką mocą, że musiała mu uwierzyć.

- No cóż, pomogę ci znaleźć wrak, gdy tylko szlak stanie się bezpieczniejszy. Na razie usiądź. Obejrzę tę ranę na głowie.

Dotknął bandaża.

- Już w porządku.

- Boli, boli. Widzę po twoich oczach.

Uniósł wzrok. Dostrzegł w jej spojrzeniu sympatię. Zapraǳnął wtulić twarz w jej włosy i wyznać prawdę.

- Tylko od czasu do czasu.

- Więc zmienię ci opatrunek i dam dwie aspiryny. - Odebrała mu ścierkę i poprowadziła do krzesła.

- Bądź grzecznym chłopcem.

Usiadł i spojrział na nią z rozbawieniem.

- Mówisz jak moja matka.

- Zamiast odpowiedzieć, poklepała go po policzku. Z apteczki w kredensie wyjęła nowy bandaż.

- Nie ruszaj się - poprosiła.

Zdjęła opatrunek. Zmarszczyła brwi, tak że przeszedł go zimny dreszcz.

- Nie martw się - uspokoiła go. Brzydka rana, pomyślała, głęboka, o poszarpanych brzegach. Otaczały ją sińce koloru burzowych chmur. - Wygląda już trochę lepiej. Najważniejsze, że nie wdała się żadna infekcja. Będziesz miał bliznę. Przerażony, uniósł dłoń do rany.

- Bliznę?

A zatem jest próżny, pomyślała z rozbawieniem.

- Nie przejmuj się, będziesz wyglądał zabójczo. Trzeba by założyć kilka szwów, ale na kursie zapomnieli mnie tego nauczyć...

- Na jakim kursie? - zaniepokoił się.

- Żadnym, tylko żartowałam. Trzymaj się, będzie trochę szczypać.

Gdy czyściła ranę, klął głośno i barwnie. Zanim doszła do połowy, chwycił ją za rękę.

- Szczypać? - Trochę? - powtórzył z oburzeniem.

- Odwagi, Hornblower. Najlepiej pomyśl o czymś przyjemnym.

Zacisnął zęby i skoncentrował uwagę na jej twarzy. Pałący ból sprawił jednak, że syknął. Libby miała bardzo stanowczy wyraz twarzy, lecz w jej wzroku malowało się współczucie. Palce dziewczyny były zręczne i delikatne.

Jest naprawdę piękna, uznał, obserwując ją w rozmytym świetle poranka. To nie kosmetyki, no i prawie na pewno nie chirurgia plastyczna. Po prostu już urodziła się z taką twarzą.

Może, ale któż to wie, jest zwykłą kobietą swoich czasów. Jednak jemu wydawała się jedyna w swoim rodzaju, niepowtarzalna. Pożądał jej tak bardzo, że niemal odczuwał ból.

Ledwo na nią spojrzę, a już zaczynam wariować, zorientował się nagle. Co za nieprawdopodobna, dziwaczna sytuacja. Przecież tak naprawdę to Libby jest realna, nie ja. Ja się jeszcze nie urodziłem, a przecież żyję i czuję mocniej niż kiedykolwiek przedtem.

- Często to robisz? - - zapytał.

- co?

- Ratujesz ludzi.

- Nie, ty jesteś pierwszy.

- To dobrze.

- No, już chyba wystarczy. Powinno być dobrze.

- Nie pocałujesz, żeby się lepiej goiło?

Jego matka mówiła tak przy podobnych okazjach. Chyba wszystkie matki tak mówią, pomyślał, w każdej epoce.

Roześmiała się.

- Ponieważ byłeś dzielny...

Nachyliła się i musnęła wargami czoło nad bandażem.

- Nadal mnie boli. - Chwycił ją za rękę. - Może jeszcze raz?

- Przyniosę aspirynę.

Wstał, a Libby zatrzymała się w pół kroku. Coś w jego oczach powiedziało jej, że nie powinna go teraz zostawiać.

- Caleb...

- Denerwujesz się przy mnie - zauważył, pieszcząc kciukiem jej dłoń. - To bardzo pobudzające.

- Nie chcę cię pobudzać.

- Nie musisz, samo tak wychodzi.

Jest zdenerwowana, pomyślał, lecz nie przestraszona. Wycofałby się, widząc jej strach, jednak Libby na pewno wcale się go nie bała. Uniósł jej dłoń do ust, potem odwrócił wewnętrzną stroną do góry.

- Masz piękne dłonie, Libby. Takie delikatne. Wystarczyło spojrzeć jej w oczy, by zrozumieć, co czuje. Caleb zobaczył zmieszanie, niepokój, wreszcie pożądanie. Skoncentrował się na tym ostatnim. Przygarnął ją bliżej.

- Przestań. - Przeraził ją brak zdecydowania we własnym głosie. - Powiedziałam ci już, że ja... - Pocałował ją w czoło. Poczuła, że drżą jej kolana. - Ja nie pójdę z tobą do łóżka.

Wyraził zgodę cichym mruknięciem. Ich ciała stykały się teraz, jak w tańcu. Ciekawe, mógłby tak stać całą wieczność.

- Nie denerwuj się - poprosił łagodnie. Nie chcę iść z tobą do łóżka. Chcę cię tylko pocałować.

Zesztywniała.

- Nie, ja nie...

Czuła na karku jego palce. Później wytłumaczy sobie, że to jakaś sztuczka, że Cal potrafił znaleźć jakiś specjalny nerw, dotknąć tak, że straciła dla niego rozum. Teraz natomiast zawładnęła nią rozkosz. Już po chwili Libby odchyliła głowę w geście oddania.

Pocałował ją. Zamarła. Nie ze strachu, nie z gniewu, z pewnością też nie z powodu oburzenia. To wstrząs, pomyślała z popłochem. Jakby dotknęła jakiegoś urządzenia elektrycznego pod ogromnym napięciem.

Dotykał ustami jej ust. Lekko, bardzo delikatnie. Jakby się nią bawił. To było bardziej podniecające i intymne niż mocny, gwałtowny pocałunek.

Uwodził ją... W sposób, o jakim nawet nigdy nie śniła. Powolne, delikatne uwodzenie, któremu nie sposób się oprzeć.

Przesunął usta na jej szyję. Libby wydawało się, że zaczęła krzyczeć, choć wokół panowała cisza. Dłoń, którą oparła na piersi Cala, zaczęła drżeć. Czuła, że podłoga z solidnych desek kołysze się pod jej stopami. Ciało Libby stawało się bezwolne i miękkie, jakby odrealnione. Jakby jej cielesna powłoka zamieniała się w kłębowisko zmysłów.

On nigdy nie doświadczył takiego uczucia. Było tak, jakby dziewczyna roztopiła się w nim, jakby stawali się jednością. Smakowała świeżo, pachniała powietrzem, które wpadało przez otwarte okno. Usłyszał ciche westchnienie.

Potem gwałtownie go objęła. Chwyciła mocno za włosy. Przestała biernie przyjmować pieszczoty. Teraz ona go całowała. Mocno, żarliwie, jakby chciała go w siebie wchłonąć. Poddał się temu.

Ona chce... zbyt dużo, przemknęła mu myśl. Nie wiedziałem, po prostu nie wiedziałem, że jest tak bardzo spragniona. Co ja robię? Nie mogę złapać oddechu, nie mogę myśleć. Chciałem zaznać trochę przyjemności, ale to jest coś więcej, to utrata panowania nad sobą. Jak mogło do tego dojść? - Muszę to przerwać, pomyślał rozpaczliwie, zanim wplączę się w coś, czego nie rozumiem. Dopóki nie jest za późno...

Odepchnął ją. Pomogło, lecz tylko trochę. Nadal oboje ciężko dyszeli. Miała szeroko otwarte oczy, wpatrywała się w niego z osłupieniem. Tak, osłupienie to właściwe słowo, uznał. Czuł się dziwnie oszołomiony, jakby jego statek uderzył przy pełnej prędkości w powierzchnię jakiejś twardej planety.

Co ja najlepszego zrobiłem? - - pomyślał. Zmieszany uniósł dłoń do jej warg. Co zrobiliśmy?

Libby cofnęła się. Miała wrażenie, że jej krew krąży w żyłach z oszalamiającą prędkością. Musiała znaleźć jakieś wyjście z tej kłopotliwej sytuacji.

- Poczekaj...

Nie zdołał nad sobą zapanować. Może później będzie tego gorzko żałował, lecz teraz znów ją do siebie przyciągnął.

Wyrwała się, na moment straciła równowagę. Chwyciła się oparcia krzesła, żeby zapobiec upadkowi. Patrzyła na niego intensywnie, z trudem łapiąc oddech. Nic o nim nie wiedziała, a jednak obdarowała go szczerzej niż kogokolwiek innego.

- Jeśli chcesz tu zostać, w moim domu, nie wolno ci mnie dotykać.

Teraz zobaczył w jej oczach strach. Rozumiał ten strach, sam przed chwilą doświadczył czegoś bardzo podobnego.

- Nie spodziewałem się tego. Chyba tego nie chciałem, tak jak ty.

- Więc łatwo unikniemy w przyszłości tego typu sytuacji.

Włożył ręce do kieszeni. To dziwne, nagle ogarnęła go irytacja. Coraz bardziej niepokoił go fakt, że stopniowo tracił kontrolę nad swoimi emocjami.

- Posłuchaj, kotku, oboje ponosimy winę za to, co się stało. Do niczego cię nie zmuszałem - stwierdził.

- Złapałeś mnie...



- Nie, tylko pocałowałem. To ty mnie chwyciłaś. - Zauważył z satysfakcją, że się zaczerwieniła. - Nie działałaś pod przymusem, Libby, oboje o tym wiemy. Jeśli jednak chcesz udawać, że masz w żyłach lód, to proszę bardzo.

Zbladła, jej spojrzenie sprawiło, że skłął się w myślach i powiedział:

- Przepraszam.

Udało się jej odpowiedzieć spokojnie:

- Nie oczekuję przeprosin, tylko przyzwoitego zachowania. Możesz zabrać do swojego pokoju telewizor. Na półce przy kominku są książki. Byłabym wdzięczna, gdybyś przez resztę dnia schodził mi z drogi.

Chce zgrywać twardą i obojętną, pomyślał kpiąco. W porządku, jej sprawa.

- Doskonale.

Nie ruszyła się z miejsca, dopóki nie wyszedł z pokoju. Miała ochotę czymś rzucić, najlepiej jakimś szklanym i ciężkim przedmiotem. Jak on śmiał wygłaszać takie opinie na jej temat!

Lód w żyłach? - Nie, problem polegał na tym, że zawsze chciała zbyt dużo i odczuwała zbyt mocno. Tyle tylko że nie dotyczyło to jej stosunków z mężczyznami.

Opadła na krzesło. Nigdy nie miała chłopaka. Od czasu do czasu dręczyła ją myśl, że jej życie nie jest kompletne, że czegoś jej brakuje.

Jednym pocałunkiem Cal dokonał cudu. Nagle zapragnęła czegoś, co właściwie od zawsze uważała za nieważne. Przynajmniej jeśli chodziło o jej osobę. Miała pracę, rodzinę, przyjaciół. Cholera, była szczęśliwa. Nie potrzebowała jakiegoś pilota, który przypadkowo spadł jej na głowę, jakby nie mógł sobie wybrać lepszego miejsca!

To śmieszne. Wstała i nalala sobie kawy. Właściwie, on przypomniał mi po prostu coś, o czym dawno zapomniałam, pomyślała nagle, próbując się uspokoić. Uświadomił mi, że jestem normalną, zdrową kobietą. No i co z tego? Nie ma się czym przejmować. Muszę dokończyć pracę i wrócić do Portlandu. Spotkać się ze znajomymi, pójść do kina, może na jakąś wystawę. Przedtem tylko trzeba wyprawić Caleba Hornblowera tam, skąd przybył, gdziekolwiek by to miało być.

Wzięła kawę i ruszyła w kierunku schodów. Ten facet zachowuje się tak dziwnie, jakby spadł z księżycy, pomyślała. Mijając drzwi od pokoju Cala, usłyszała włączony telewizor.

Jej gość oglądał jakiś kretyński teleturniej. No tak, mężczyźni nie są zbyt wybredni w doborze rozrywek...

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Cal musiał się uczyć. Spędził kilka godzin przed telewizorem. Mniej więcej co dziesięć minut zmieniał kanał. Oglądał teleturnieje, opery mydlane, wiadomości, reklamy, a nawet jakiś były najciekawsze, natarczywe i niepokojące. Mówiły wiele o ludziach z epoki, w której się znalazł.

Zadziwiały go wyczerpane kobiety walczące resztką sił z plamami. Potem zawsze nadchodziło wybawienie, choć nie mógł sobie wyobrazić na przykład swojej matki wpadającej w ekstazę po stwierdzeniu, że obrus jest jeszcze bielszy, niż był przed praniem. Tak reklamy były najciekawsze. Także te, w których piękne, kobiety i przystojni mężczyźni rozwiązywali nader skomplikowane problemy osobiste i zawodowe, pijąc wodę z dwutlenkiem węgla lub kawę. Zresztą wydawało się, że większość ludzi specjalnie pracuje na dworze, i to bardzo ciężko, by później pójść z przyjaciółmi do baru i z satysfakcją napić się piwa.

Obejrzał odcinek jakiegoś serialu. Kobieta nieustannie zadreślała mężczyznę pytaniami na temat swej domniemanej ciąży. Zamiast zrobić test, hipotetycznie rozważała, czy to możliwe, że już wkrótce zostanie matką. Przerzucił się na teleturniej. Gruby facet wygrał właśnie wycieczkę na Hawaje. Z jego reakcji można było wywnioskować, że w dwudziestym wieku taka nagroda była bardzo atrakcyjna.

W południe nadawano wiadomości. Cal zastanawiał się, jak ludzkości udało się dotrzeć do dwudziestego pierwszego wieku. Było oczywiste, że mordowanie innych jest bardzo popularnym zajęciem. Jak również rozmowy o ograniczeniu zbrojeń. Politycy niewiele się zmienili, pomyślał, biorąc kolejne ciasteczko z pudełka, które znalazł w kuchni. Zawsze wymowni, zręcznie krążyli wokół prawdy, uśmiechając się nieszczercze. Jednak rozmowy o tym, ile głowic nuklearnych powinno zostać w arsenalach poszczególnych mocarstw, brzmiały przerażająco. Boże, czy oni wszyscy zupełnie postradali zmysły?

Skoro żyję, to chyba jednak poszli po rozum do głowy, uznał i przełączył na operę mydlaną. Seriale podobały się mu najbardziej, no może zaraz po reklamach. Mimo kiepskiego obrazu obserwował reakcje ludzi, słuchał uważnie rozmów na temat małżeństwa, rozwodu, zdrady i uczciwości. Stosunki między mężczyznami i kobietami były widać ulubionym zagadnieniem ludzi dwudziestego wieku. Patrzył, jak jakaś blondynka ze łzami w oczach wpada w ramiona rozrośniętego twardziela. Całowali się długo i namiętnie. Pocałunek jest więc

akceptowaną formą kontaktu, stwierdził ze zdumieniem. Dlaczego zatem Libby tak bardzo się wzbraniała, co nią powodowało? - Zareagowała tak gwałtownie, jakby Cal popełnił zbrodnię.

Wstał i podszedł do okna. Właściwie sam również nie zareagował tak, jak się tego spodziewał. Pocałunek odebrał mu spokój ducha i wprowadził w irytację.

Chciał wiedzieć wszystko o Liberty Stone. Co myśli, co czuje, czego pragnie, a czego nie lubi. Chciałby jej zadać wiele pytań. Chciałby jej dotykać na wiele sposobów. Wiedział jednak, że musi zachować ostrożność. Nie wolno mu spłoszyć Libby. Była mu potrzebna, bez jej pomocy nigdy nie pozna odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania.

Dość, powiedział sobie, teraz powinienem myśleć tylko o tym, jak wrócić do domu.

Nie zależało mu na tym, by jak najszybciej się ustatkować. Fakt, rodzice dobrali się wcześniej, w wieku trzydziestu lat. On jednak nie chciał jeszcze mieć pary. A jeśli już, uświadomił sobie nagle, to u siebie, w rzeczywistym czasie, a nie w zamierzchłej przeszłości. Libby tylko go rozprasza, odwraca jego uwagę, choć w przyjemny sposób, od najważniejszego zagadnienia.

Musi się stąd wyrwać, im szybciej, tym lepiej. Przycisnął dłonie do chłodnej szyby i nagle poczuł się jak uwięzione w klatce zwierzę. Tak łatwo byłoby stąd uciec, jednak stłuczenie szyby i wydostanie się z domku niczego by nie rozwiązało.

Owszem, czytając gazety i oglądając telewizję, wiele się dowiedział. W dwudziestym wieku świat miał jeszcze do przebycia długą drogę. Ludzie nie potrafili współżyć w pokoju, zbyt wiele czasu marnowali na rozważania, co zjeść na kolację, a dostępność broni i łatwość, z jaką po nią sięgano, budziła przerażenie. Tuzin świeżych wiejskich jajek można było dostać za mniej więcej dolara, który był walutą amerykańską. No i wszyscy stosowali dietę.

To wszystko bardzo go interesowało, nie przybliżyło jednak ani o krok do rozwiązania problemu. Musiał znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytanie: co się stało z jego statkiem?

Nieustannie jednak wracał myślami do Libby, do tego, jak zareagowała na jego dotyk, jak rozpałił w niej żądzę.

Gdy go objęła, zadrżał. Nigdy przedtem czegoś takiego nie doświadczył. Miał normalne, zdrowe stosunki z kobietami. Cieszyli się swym towarzystwem, dawali sobie fizyczną przyjemność. Nigdy jednak, przynajmniej przed pocałowaniem Libby, nie doznał uczucia bliskiego utracie przytomności. Pamiętał, jak gorąco go całowała, jak stracił panowanie nad sobą, nad swymi reakcjami, tak jakby zawładnęła nim jakaś potężna siła.

Zakręciło mu się w głowie. Przytrzymał się ściany, żeby nie upaść. Zawrót głowy minął, pozostawiając tylko lekki ból u podstawy czaszki. Wtedy nagle sobie przypomniał. Światła. Błyskające lampki w kokpicie. Awaria systemu nawigacyjnego. Osłony przestały działać. Włączył się sygnał alarmowy.

Próżnia, pustka. Miał ją przed oczami. Nawet teraz oblał się zimnym potem. Czarna dziura. Mroczna i zachłanna. Nie zaznaczona na mapach. Gdyby o niej wiedział, nigdy by się do niej tak bardzo nie zbliżył. Po prostu nagle się pojawiła i pochłonęła statek.

Mimo to przeżył. Ocalał życie i wylądował na Ziemi. Może zatem jakimś cudem uniknął wchłonięcia przez czarną dziurę, jednak jej moc sprawiła, że poszybował bezwładnie przez czasoprzestrzeń. Naukowcy na pewno to zakwestionują. Podróż w czasie nadal pozostawała w sferze fantazji, większość ludzi kwitowała teorie na ten temat niepoohamowanym śmiechem.

Jednak Cal bez wątplenia właśnie odbył taką podróż. Nie było wątpliwości.

Roztrzęsiony usiadł na krawędzi łóżka. Przeżył coś, czego nie doświadczył nikt oprócz niego. W dodatku odniósł jedynie niewielkie, zupełnie niegroźne obrażenia. I zaginął. Nie, nie zaginął. Jeśli można odbyć taką podróż w jedną stronę, logika dyktuje, że można także w drugą. Do domu.

Miał potężne narzędzia: swój umysł i spore umiejętności. Spojrzał na komputer na nadgarstku. Dzięki niemu bez trudu dokona podstawowych obliczeń. To nie wystarczy, lecz jeśli tylko dotrze do statku... Oczywiście pod warunkiem, że coś z niego zostało.

Nie dopuścił do siebie myśli, że cała aparatura mogła ulec zniszczeniu. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. A jeśli nawet, to na pewno uda się sprawić, by jego ręczny komputer współpracował z przestarzałą maszyną Libby. Po prostu trzeba spróbować.

Usłyszał dochodzące z dołu kroki Libby. Była w kuchni, Cal wątpił jednak, by przygotowywała mu kolejny posiłek.

Obiecałem jej schodzić z oczu, przypomniał sobie. Trudno, jeśli przyłapie mnie w swoim pokoju, po prostu jeszcze raz przeproszę. Jeśli uda mi się sztuczka z komputerem, zniknę z życia Libby tak szybko i bezboleśnie, jak to tylko możliwe.

Ostrożnie i cicho przeszedł do pokoju gospodyni. Na początek postanowił dokonać wstępnych obliczeń. Z resztą musi się wstrzymać, dopóki nie dotrze do statku. Przy drzwiach zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał. Tak, Libby nadal krzątała się w kuchni. Sądząc z odgłosów, wciąż była wściekła.

Komputer z niezgrabnym ekranem i dziwną klawiaturą stał na biurku wśród stosów książek i papierów. Cal usiadł na krześle i uśmiechnął się do maszyny.

- Komputer, akcja - powiedział. Ekran pozostał czarny.

- Komputer, włącz się - ponaglił niecierpliwie. Potem przypomniał sobie o klawiaturze. Wystukał komendę i czekał. Nic.

Zamyślił się. Libby z niewiadomych przyczyn wyłączyła maszynę. No cóż, łatwo temu zaradzić. Znalazł nóż do rozcinania papieru, poszukał miejsca, w którym mógłby podważyć obudowę. Wtedy na szczęście zobaczył wyłącznik.

Idiota, sklął się w duchu. Oni tu mają wyłączniki do wszystkiego. Przywołał na pomoc resztki cierpliwości, nacisnął przycisk, potem drugi, który znalazł przy monitorze. Gdy usłyszał szum, ledwie zdławił okrzyk triumfu.

- Wreszcie do czegoś dojdziemy - mruknął. - Komputer...

Pokręcił głową i korzystając z klawiatury, napisał:

„Komputer, oceń odchylenie krzywej czasu”.

Po chwili zaklął i zdjął pokrywę, odsłaniając płytę główną. Niecierpliwość go ogłupiała. Nie wydobędzie z maszyny niczego, co nie zostało do niej wprowadzone, przypomniał sobie elementarną prawdę. Pracował długo, ostrożnie, aż wreszcie połączył komputer Libby ze swoim naręcznym. Wziął głęboki oddech.

- Dzień dobry komputerze.

- Dzień dobry, Cal.

Dźwięk dobiegał z głośniczka naręcznego urządzenia. Na dużym ekranie archaicznej maszyny pojawiały się stosowne słowa.

- Och, dziecino, miło cię usłyszeć.

- Potwierdzam.

- Komputer, podaj teorie dotyczące podróży w czasie, uwzględniające siłę ciężenia i przyspieszenie.

- Teoria nie przetestowana. Przedstawiona po raz pierwszy przez dr Linwarda Bowersa w roku 2110. Bowers zakładał...

- Nie. Nie mam na to czasu. Oceń i przedstaw wnioski. Podróż w czasie i prawdopodobieństwo przeżycia przelotu w pobliżu czarnej dziury.

- Pracuję... Dane niewystarczające.

- Trudno. Podaj wartość odpowiedniego przyspieszenia i ustal prawdopodobną trajektorię. Stop...

Usłyszał, że Libby wchodzi po schodach. Zdażył wyłączyć komputer, zanim pojawiła się w pokoju.

- Co ty tu robisz?

Cał postarał się wyglądać jak istne uosobienie niewinności.

- Szukałem cię - wyjaśnił z uśmiechem.

- Jeśli naknociłeś coś w komputerze...

- Nie mogłem się oprzeć i przejrzałem twoje papiery. Piszesz o fascynujących sprawach.

- Aha. - Popatrzyła na biurko. Wszystko wydawało się być w porządku. - Przysięgłabym, że słyszałam, jak do kogoś mówisz.

- Oprócz nas nikogo tu nie ma. - Jeśli tylko odwróci jej uwagę, odłączy szybko swój komputer i poczeka na lepszą okazję. - Chyba mówiłem do siebie. Libby...

Postąpił krok. Zatrzymała go, wpychając mu do rąk tacę.

- Zrobiłam ci kanapkę.

Wziął tacę i usiadł na łóżku. Uprzejmość Libby sprawiła, że poczuł wyrzuty sumienia.

- Jesteś bardzo miła.

- Nie zamierzam cię zagłodzić na śmierć tylko dlatego, że mnie wyprowadzasz z równowagi.

- Nie chciałem cię zdenerwować. - Zbliżyła się do komputera, jednak zdażył zastąpić jej drogę. - Nie mogłem się powstrzymać. Przykro mi, że mój pocałunek nie przypadł ci do gustu.

- Mieliliśmy o tym zapomnieć.

- Nie, nie mogę. Poruszyłaś we mnie jakąś strunę. Taką, której nikt nigdy nie dotknął.

Wiedziała, o co mu chodzi. Bardzo dobrze. To właśnie ją przerażało.

- Muszę popracować.

- Czy wszystkim kobietom szczerowość przychodzi z takim trudem? - zapytał.

- Nie jestem przyzwyczajona do takich sytuacji - wybuchła. - Nie wiem, jak się zachować. Nie czuję się dobrze w towarzystwie mężczyzn. Po prostu nie zauważam ich braku w moim życiu, rozumiesz? Nie jestem napaloną...

Gdy usłyszała jego śmiech, obróciła się na pięcie, wściekła i zakłopotana.

- To najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem - wyjaśnił. - Przecież aż cię roznosi.

- Chęć do pracy - odpowiedziała, starannie dobierając słowa. - Nie to, co sugerujesz.

Ona chyba naprawdę w to wierzy, uznał. Chyba że jest taką świetną aktorką. Powinienem wyprowadzić ją z błędu, przynajmniej w ten sposób odwdziczyłbym się jej za uratowanie mu życia.

- Chciałabyś pójść na spacer? - zapytał.

- Co takiego?

- Spacer.

- Dlaczego?

Z trudem ukrył uśmiech. Ta jej ciągła potrzeba uzasadniania najniewinniejszej decyzji!

- Jest bardzo ładny dzień - odparł. - Chętnie rozejrzę się po okolicy. Mogłabyś mnie oprowadzić.

Ma rację, uznała. Obiecałam sobie przecież, że odpocznę. Praca może poczekać.

- No, to wkładaj buty - zarządziła.

W chłodnym, nieco wilgotnym powietrzu unosił się intensywny zapach... Sosny, doszedł do wniosku po chwili zastanowienia. W dodatku to pachną prawdziwe drzewa, nie z dysku zapachowego czy symulatora. Wiatr poruszał gałęziami. Po błękitnym niebie płynęło leniwie kilka szarych chmurek. Śpiewały ptaki.

Poza domkiem, z którego Wyszli, i zrujnowaną szopą nie dostrzegł żadnych budowli. Tylko góry, niebo i las.

- Tu jest niesamowicie - zauważył.

- Tak, wiem. - Uśmiechnęła się. - Kiedy tu przyjeżdżam, mam ochotę zostać na zawsze.

Weszli do lasu, na poszycie upstrzone plamami słońca.

- Dlaczego zatem nie zostaniesz?

- Przede wszystkim z powodu pracy. Uniwersytet nie płaci mi za spacerowanie po lesie.

- A za co ci płacą?

- Za prowadzenie badań.

- Co robisz, kiedy niczego nie badasz?

- Co? Nic takiego. Mam mieszkanie w Portlandzie. Studiuję, prowadzę wykłady, czytam.

Ścieżka stawała się coraz bardziej stroma.



- A rozrywki? - - zapytał.

- Kino, muzyka...

- Telewizja?

- Tak - roześmiała się - nawet za często. A ty? - Pamiętasz, co lubisz robić?

- Latać. - Uśmiechnął się czarująco. Nawet nie zauważyła, kiedy wziął ją za rękę. - Nic się z tym nie równa, przynajmniej dla mnie. Chciałbym cię kiedyś zabrać, pokazać ci, jak to jest.

Spojrzała na jego bandaż.

- Chyba nie skorzystam z tej propozycji.

- Jestem dobrym pilotem. Rozbawiona, schyliła się i zerwała kwiatek.

- Może.

- Nie może. Na pewno. - Wyjął jej kwiat z dłoni i wpiął we włosy. - Miałem kłopoty z instrumentami pokładowymi. Gdybym nie był dobry, w ogóle bym nie przeżył.

- Dokąd leciałeś?

Zwolniła kroku, gdyż Cal zaczął zrywać kwiaty rosnące przy ścieżce.

- Do Los Angeles.

- To daleko - zauważyła. Przez chwilę myślał, że żartuje.

- Tak - odparł w końcu. - Dalej, niż przewidywałem, Libby.

Niepewnie dotknęła kwiatu we włosach.

- Czy ktoś będzie cię szukać?

- Na razie nie. - Spojrzał na niebo. - Jeśli jutro znajdziemy mój... samolot, ocenię zniszczenia. Może coś jeszcze da się uratować.

- Za dzień lub dwa pojedziemy do miasta. - Zobaczyła, że posmutniał. Postanowiła jakoś złagodzić wymowę tego faktu. - Obejrzy cię lekarz, będziesz mógł zatelefonować.

- Zatelefonować”?”

Jego zmieszane spojrzenie sprawiło, że znów zaniepokoiła się, czy nie odniósł jakichś wewnętrznych obrażeń głowy.

- Tak, do rodziny, przyjaciół albo do pracy.

- Racja. - Znów wziął ją za rękę. - Czy możesz mi podać współrzędne i odległość do miejsca, w którym mnie znalazłaś”?”

- Współrzędne? - Śmiejąc się, usiadła na brzegu wąskiego, rwącego strumyka. - Nie wystarczy, jeśli powiem, że w tamtym kierunku? - Wskazała południowy wschód. - Jakież osiemnaście kilometrów w linii prostej, drogą dwa razy tyle.

Usiadł koło niej. Jej zapach był tak świeży, jak woń leśnych kwiatów, jednak znacznie bardziej zmysłowy.

- Myślałem, że jesteś naukowcem.

- To nie znaczy, że znam się na wszystkim. Zapytaj mnie o czarowników z Nowej Gwinei, a chętnie ci odpowiem.

- Osiemnaście kilometrów. - Poprzez gałęzie jodły widział zarys góry. - Po drodze nic nie ma? Żadnego miasta? Osady?

- Nie. To nadal bezludna okolica. Czasem pojawia się tylko jakiś turysta.

Nie jest więc prawdopodobne, by ktoś natknął się na statek, pomyślał. To dobrze. Pozostawał najważniejszy problem: jak go znaleźć bez Libby. Najlepiej byłoby wyruszyć na poszukiwania o świcie, jej samochodem. Jutro, postanowił. Ten dzień jest zbyt piękny, zbyt cenny, żeby marnować go na coś innego.

- Podoba mi się tutaj - stwierdził.

Nie skłamał. Siedzenie na chłodnej trawie i słuchanie szumu strumyka sprawiało mu przyjemność. A gdyby wrócić w to miejsce za dwieście lat? Ciekawe, co zostało z tego piękna?

Góra na pewno, możliwe że również resztkę lasu. Nawet strumień być może nie zmieni biegu. Ale na pewno nie będzie Libby. Poczul ból.

- Gdy wrócę do domu - powiedział bardzo wolno - będę o tobie myślał.

Czy aby na pewno? Miała nadzieję, że odpowiedź na to pytanie nie okaże się dla niej zbyt ważna.

- Może kiedyś mnie odwiedzisz?

- Kiedyś... - Przebiegł palcami po jej dłoni. Libby będzie wtedy duchem, kobietą, która istniała w swoim czasie i która sprawiła, że zapragnął czegoś niemożliwego. - Będziesz za mną tęskniła?

- Nie wiem.

Nie cofnęła dłoni. Zdała sobie sprawę, że tak, że będzie za nim tęsknić bardziej, niż nakazywałyby to rozum.

- Myślę, że będziesz.

Zapomniał o statku, o swej przyszłości. Skoncentrował się na dziewczynie.

- Nadają gwiazdom, księżycom i galaktykom imiona bogiń - powiedział cicho. - Dlatego, że są silne, piękne i tajemnicze. Człowiek, zwykły śmiertelnik, nigdy ich tak do końca nie zdobędzie.

- Większość kultur ma swoje mity - odparła. - Starożytni astronomowie...

- Nie mówiłem o mitach, chociaż z tym kwiatem wyglądasz jak bogini. - Delikatnie dotknął jej policzka. To niebezpieczny człowiek, pomyślała. Umie się uśmiechać jak sam diabeł i prawie komplementy jedwabistym głosem. Nigdy nie przypuszczała, że będzie się obawiać spojrzenia w oczy mężczyźnie. Nie powinna.

- Wracajmy - zaproponowała. - Mam dużo pracy. Zmarszczył brwi.

- Co takiego zrobiłem? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

- Nic takiego.

- Przecież każdy ma prawo do wypoczynku. To nie zbrodnia.

- Nie, ale...

- Daj spokój. Dlaczego nie powiedzieć sobie, że to najlepsza pora na piwo? - Widząc jej zdumione spojrzenie, wyjaśnił: - Wiesz, jak w reklamach.

- Aha, wiem.

Objęła rękoma kolana. Przyglądała się mu. Najpierw przyrównuje ją do bogini, teraz mówi o piwie i reklamach. Co tu jest grane?

- Wiesz, Hornblower, czasami zastanawiam się, czy ty naprawdę istniejesz.

- Och, istnieję. Powiedz mi, co widzisz w górze? Odchyliła głowę.

- Niebo. Dzięki Bogu, niebieskie. Trochę chmur, które do wieczora powinny zniknąć.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, co jest poza nim?

- Poza czym?

- Błękitem. - Przymknął oczy. Zobaczył ciągnące się w nieskończoność skupiska gwiazd, głęboką czerń kosmosu, cudowną symetrię księżyców i planet na ich orbitach. - Myślałaś o innych światach, o tych, do których nie możesz dotrzeć?

- Nie. Chyba dlatego, że skupiam się na światach, które są i były tu, na Ziemi. Moja praca wymaga patrzenia w dół, pod nogi, nie w niebo.

- Jakie lubisz filmy i muzykę? - zmienił nagle temat.

Libby pokręciła głową. Jej towarzysza cechował chaotyczny tok rozumowania.

- Właściwie wszystkie - odparła. - Nie jestem wybredna.

- Twój ulubiony film?

- Trudne pytanie. - Patrzył na nią tak intensywnie, tak niewinnie, że postanowiła jednak wybrać losowo jeden z tych, które podobały się jej najbardziej.

- „Casablanca”.

- O czym to jest?

- Daj spokój, Hornblower, każdy wie.

- Ja go przegapiłem. Musiałem być zajęty, kiedy wszedł na ekrany.

Roześmiała się głośno.

- Jasne, na pewno w latach czterdziestych miałeś masę pracy.

Zignorował jej uwagę.

- O czym jest ten film?

Właściwie to go nie interesowało. Chciał tylko słuchać, jak Libby opowiada, patrzeć na nią, gdy to robi.

Dlaczego nie? - Siedziało się jej przyjemnie, mogła opowiedzieć film, przeżyć go w ten sposób jeszcze raz. Zaczęła mówić.

Słuchał, podobał się mu sposób, w jaki opowiadała historię utraconej miłości, bohaterstwa i poświęcenia. Podobała się mu jej gestykulacja, to jak modulowała głos. I jej oczy, gdy mówiła o kochankach, których zetknął los i rozdzieliło przeznaczenie.

- Nie ma szczęśliwego zakończenia - zauważył, gdy zamilkła.

- Nie, ale zawsze czułam, że oni odnajdą się po latach, po wojnie.

- Dlaczego?

- Bo byli sobie przeznaczeni. Tacy ludzie zawsze się odnajdą, bez względu na wszelkie przeszkody.

Uśmiechnęła się do niego, uśmiech jednak znikł, gdy zobaczyła, jak Cal na nią patrzy. Jakby byli sami. Nie sami w górach, a na całym świecie. Jak Adam i Ewa.

Zatęskniła. Po raz pierwszy w życiu zatęskniła - ciałem, umysłem i sercem.

- Nie - poprosił cicho, gdy zaczęła wstawać. - Proszę, nie bój się mnie.

- Wcale się ciebie nie boję - zapewniła natychmiast. Jednak oddychała szybko, jakby przed chwilą biegła.

- Więc czego się obawiasz?

- Niczego.

- Przecież jesteś spięta. - Zaczął masować jej ramiona. Pocałował ją w skroń. - Powiedz mi, czego się boisz.

Oparła dłoń na jego piersi, żeby nie mógł przysunąć się jeszcze bliżej.

- Właśnie tego. Nie wiem, jak zwalczyć to, co czuję.

- A po co masz to zwalczać? Ogarniało go coraz większe pożądanie.

- Za krótko się znamy - oświadczyła, przestała jednak go odpychać.

Wybuchnął śmiechem, wtulił głowę w jej szyję.

- Znamy się od wieków.

- Caleb, proszę.

Zaprotestowała słabo, lecz jednocześnie stanowczo. Czuł jej ciało, wiedział, że mógłby ją teraz mieć. Gdy spojrzał jej w oczy, nabrał pewności, że jeśli to zrobi, ona mu nigdy nie przebaczy.

Teraz odczuwał pożądanie jako trudny do zniesienia ból. Wstał. Odwrócony do niej tyłem, wpatrywał się w wodę.

- Czy wszystkich mężczyzn doprowadzasz do szaleństwa?

Objęła rękami kolana, mocno, jakby szykowała się do odparcia ataku.

- Nie, skądże.

- Więc to tylko ja mam takie szczęście. - Spojrzał w niebo. Chciałby tu wrócić, pokonać przestrzeń i czas. Sam, wolny. Wsłuchując się w szum drzew, zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie naprawdę wolny. - Pragnę cię, Libby - szepnął.

Nie odpowiedziała. Nie mogła. Żaden mężczyzna nie powiedział jej nigdy tych trzech prostych słów. Zresztą, nawet gdyby usłyszała je od stada mężczyzn, nie zrobiłyby na niej większego wrażenia. Nikomu nie udało się wypowiedzieć tych słów w taki sposób, w jaki zrobił to Caleb.

Doprowadzony do kresu wytrzymałości brakiem odpowiedzi, odwrócił się do Libby. Nie był już potulną, przyjacielską i nieco zagubioną ofiarą wypadku, lecz wściekłym, zdrowym, z pewnością niebezpiecznym mężczyzną.

- Cholera, Libby, mam nic nie mówić, niczego nie czuć? - Czy takie obowiązują tutaj zasady? - Trudno, do diabła z nimi. Pragnę cię i jeśli postoję przy tobie jeszcze przez chwilę, spróbuję cię zdobyć.

Stężała.

- Zdobyć mnie? - Jak nowy samochód? Możesz sobie pragnąć, czego tylko chcesz, Cal, ale ja też mam w tej sprawie coś do powiedzenia.

Była wspaniała. Z tą furią w oczach, z kwiatem we włosach... Zapamięta ją taką na zawsze. Wiedział to na pewno. Wiedział, że to będzie słodko - gorzkie wspomnienie. Teraz jednak chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Możesz sobie mówić, co ci się żywnie podoba.

Tym razem walczyła. Duma, gniew i wściekłość dodały jej sił, by się wyrwać. Tylko na chwilę. Objął ją mocno i pocałował. Nie tak, jak wtedy, za pierwszym razem. Nie delikatnie, kusząco, lecz mocno i władczo. Nie zwracał uwagi na jej zduszony protest. Wpadła w panikę, a jednocześnie poczuła silny przypływ pożądania.

Nie chciała, by ją do tego zmuszał. Musiała sama dokonać wyboru. Tak podpowiadał jej rozum, tak nakazywał rozsądek. Jednak jej ciało nie zamierzało słuchać rozumu.

Ożyła w jego ramionach, sprawiła, że zapomniał o wszystkim innym. Gdy poczuł jej gorący pocałunek, inne światy, inne czasy przestały istnieć. Dla niego było to równie nowe, równie podniecające i przerażające jednocześnie, jak dla niej. Nie potrafił oprzeć się tej sile.

Świat zawirował. Wzdychając, wodziła dłońmi po jego plecach, aż zacisnęła je desperacko na ramionach. Słyszała szum wody i drzew. Traciła oddech i nie chciała go odzyskać. Wiedziała, że stoi na ziemi, czuła jednak, że świat wiruje w zawrotnym tempie.

Była zakochana.

Jęknęła. Podała się. Jemu. Sobie.

Przeszył go bolesny, lecz rozkoszny dreszcz. Głaskał ją po włosach, natrafił na kwiat, zgniótł go. Zapach dzikiej rośliny, słodki i oszalamiający, przepelnił powietrze intensywnym aromatem.

Odsunął się gwałtownie. Spojrzał na zmięty kwiat, który trzymał w dłoni. Dygotał. Poczł obezwładniający wstyd. Nigdy, nigdy nie weźmie kobiety siłą. To najohydniejszy z grzechów. Nie do wybaczenia.

- Skrzywdziłem cię - spytał szeptem.

Libby pokręciła głową. Szybko, za szybko. Skrzywdził? - pomyślała. Nie, raczej zniszczył, i to jednym pocałunkiem. Udowodnił, jak łatwo można złamać jej wolę.

Nie przeprosił jej. Odwrócił się i odczekał, aż będzie w stanie normalnie się wysławiać. Nie zamierzał przeproszać za swe pragnienia.

- Nie mogę obiecać, że to się nie powtórzy - powiedział wreszcie. - Jednak zrobię co w mojej mocy, by się nie powtórzyło. Wracaj do domu.

I to wszystko? - pomyślała Libby. Po tym, jak obnażył bezlitośnie jej uczucia, mówi jej, żeby wróciła do domu? Otworzyła usta, chcąc zaprotestować. Potem się zreflektowała.

Miał rację, oczywiście. To co się stało, nie powinno się już nigdy powtórzyć. Byli sobie obcy, żadne słowa nie przekonają jej, że jest inaczej.

Powoli odwróciła się i odeszła, pozostawiając Cala nad strumieniem.

Później, gdy słońce pokonało już część drogi po nieboskłonie, Cal otworzył dłoń. Zmięty kwiat wpadł do potoku. Cal patrzył, jak odpływa.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie mogła się skoncentrować. Patrzyła na ekran komputera, próbując się skupić na napisanych już słowach. Mieszkańcy Kolbari i ich tradycyjny taniec księżycowy przestali ją nagle interesować. A przecież praca, zatopienie się w niej, miało przynieść ulgę i dać schronienie. Jeszcze nigdy skoncentrowanie się nie przychodziło jej z takim trudem. Potrafiła pisać referat, gdy współlokatorzy urządziły w pokoju przyjęcie. Potrafiła pisać w namiocie i przygotowywać się do wykładów w dżungli. Teraz czytała po raz trzeci ten sam akapit. Mogła jednak myśleć tylko o Calu i o tym, co do niego czuła. To nie było do niej podobne.

Westchnęła i odepchnęła krzesło od biurka. Nie odrywając spojrzenia od ekranu, oparła łokcie na kolanach, a podbródek na zaciśniętych w pięści dłoniach. Nie jestem zakochana, powiedziała sobie. Ludzie nie zakochują się tak szybko. Mogą coś do siebie czuć, miłość jednak to zupełnie inna sprawa. Do tego potrzeba czegoś więcej.

Wspólne zainteresowania, uznała. Jak mogłaby zakochać się w Calu, który, co sam przyznał, pasjonuje się wyłącznie lataniem? - I jedzeniem, dodała w myślach, uśmiechając się lekko.

Trzeba zrozumieć uczucia drugiej osoby, poznać jej cele, charakter. Tak, to bardzo ważne. Jak mogłaby kochać Caleba Hornblowera, skoro w ogóle go nie rozumiała? Jego uczucia są dla niej tajemnicą, o jego życiowych celach nigdy nie rozmawiali, zaś jego charakter zdaje się zmieniać z godziny na godzinę.

Trudno go rozgryźć. Zmarszczyła brwi, myśląc o emocjach, które tak często dostrzegała w jego spojrzeniu. Czasami przypominał człowieka, który wybrał niewłaściwy zjazd z autostrady i znalazł się nagle w zupełnie obcej okolicy. Miał jednak zbyt silną osobowość, zbyt dużo uroku, by mogła go po prostu ignorować. W jej starannie uporządkowanym życiu nie było miejsca dla takiego mężczyzny. Wprowadzał chaos samym swym istnieniem.

Usłyszała, że obiekt jej rozmyślań wchodzi kuchennymi drzwiami. Poczwała, jak szybko bije jej serce.

Zmieszana swą reakcją, przysunęła krzesło do biurka. Zamierzała pracować. Do północy. Nie miała czasu na rozmyślanie o Calu.

- Cholera, kim właściwie jest Caleb Hornblower? - zapytała na głos.



Ostatnie, czego się spodziewała, to uzyskanie odpowiedzi. Usłyszała ją jednak. Wypowiedzianą cichym, dobiegającym nie wiadomo skąd głosem.

Chwyliła się biurka, żeby nie spaść z krzesła. Odpowiedź pojawiła się również na ekranie komputera.

- Hornblower Caleb, kapitan MSK, porzucił czynną służbę.

- O mój Boże. - Z ręką przy gardle pokręciła głową. - Trzymać się, przeczekać.

- Tryb oczekiwania - usłyszała.

To niemożliwe, musi mieć halucynacje. Tak, przepracowanie, stres, brak snu. Stąd te dziwne objawy... Zamknęła oczy i trzykrotnie głęboko odetchnęła. Gdy je otworzyła, zobaczyła jednak, że słowa nie znikły z ekranu.

- Co, u diabła, tu się dzieje?

- Żadaną informację przekazano. Czy są potrzebne dodatkowe dane?

Niepewnie odsunęła papiery i znalazła zegarek Cala. Przysięgłaby, że głos wydobywał się właśnie stamtąd. Nie, to po prostu niemożliwe. Namacała palcem cieniutki, przezroczysty przewód biegnący od zegarka do stacji dysków komputera.

- W co on gra?

- Dostępne pięćset dwadzieścia gier. Którą uruchomić? - Podaj nazwę.

- Libby?

Caleb stał w progu. Intensywnie myślał. Nie czas wyrzucać sobie karygodną nieostrożność. Zresztą, chyba podświadomie chciał, by coś zmusiło go do wyznania prawdy. Teraz jednak, gdy Libby się odwróciła, nie był pewien, czy prawda wyjdzie im obojgu na dobre. Libby nie była przestraszona, ona była zwyczajnie wściekła.

- W porządku, Hornblower. Teraz powiesz mi, co się tu dzieje.

Zdobył się na miły uśmiech.

- Gdzie?

- Tutaj, do cholery - wyjaśniła, celując palcem w monitor.

- Chyba sama wiesz lepiej, to twoja praca.

- Żądam wyjaśnień. Natychmiast.

Podszedł do niej. Zerknął na ekran i uśmiechnął się. Chciała zatem wiedzieć, kim on jest. Ucieszył się, że wzbudził jej zainteresowanie.

- Nie, wolałabyś tego nie słyszeć.

Powiedział to łagodnie. Wziąłby ją za rękę, gdyby jej szybko nie cofnęła.

- Chcę, i to natychmiast - powtórzyła. - Ty... ty... wszedłeś tu, podłączyłeś swój zegarek do mojego komputera i...

- Interfejs. Chyba znasz to słowo.

- Może mi wyjaśnisz, jak zegarek może współpracować z komputerem osobistym - wycedziła przez zęby.

Położył ręce na jej ramionach.

- Nigdy mi nie uwierzysz.

- Lepiej się postaraj, żebym uwierzyła. Czy ten zegarek to coś w rodzaju miniaturowego komputera?

- Tak.

Sięgnął po zegarek, lecz Libby okazała się szybsza.

- Zostaw. Nigdy nie słyszałam o miniaturowym komputerze, który reaguje na głos, współpracuje z komputerem osobistym i ma na dysku miejsce na pięćset gier.

- Rzeczywiście. - Spojrzał w jej zagniewane oczy. - Nie mogłaś słyszeć.

- Powiedz mi, skąd go masz, Hornblower. Kupię taki sam ojcu na Boże Narodzenie.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Chyba jeszcze przez jakiś czas nie będzie go na rynku. Chciałabyś się dowiedzieć czegoś więcej?

- Tak. Prawdy.

Splótł palce z palcami jej dłoni.

- To ma być cała prawda czy wystarczą najistotniejsze fakty?

- Jesteś szpiegiem?

Nie spodziewała się, że Cal się szczerze roześmieje. Pocałował ją w policzek.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - nalegała. Wyrwała rękę. - Jesteś agentem?

- Dlaczego tak uważasz? Wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

- Bo wszystko za tym przemawia. Rozbijasz samolot podczas potężnej burzy, gdy żaden rozsądny człowiek nie wsiadłby nawet do samochodu. Nie masz dokumentów. Twierdzisz, że nie jesteś wojskowym, ale byłeś ubrany w jakiś dziwny mundur. I masz zegarek, który odpowiada na pytania. - Spojrzała na ten przedmiot, żeby się upewnić, czy to wszystko nie jest

tylko snem. - Wiem, że niektóre służby wywiadowcze dysponują bardzo nowoczesnym sprzętem. Może nie jesteś Jamesem Bondem, ale chyba...

- Kim jest James Bond? - zapytał Caleb.

- Bond, James, kryptonim 007. Fikcyjna postać stworzona przez dwudziestowiecznego pisarza Iana Fleminga. Podaję tytuły książek...

- Wyłącz się - polecił Cal, przeciągając ręką po włosach, wyraźnie zakłopotany. Jedno spojrzenie na Libby pozwoliło mu wywnioskować, że wpłynął na niebezpieczne wody. - Może usiądziesz? - zaproponował cicho.

Skinęła głową i przysiadła na skraju łóżka. Choć było już za późno na środki ostrożności, Cal odłączył swój komputer i schował go do kieszeni.

- Więc chcesz, żebym ci wyjaśnił... Właściwie już nie chciała. Przeklęła jednak w myśli swe tchórzostwo i szybko skinęła głową.

- Dobrze więc, ale to ci się na pewno nie spodoba. - Usiadł na krześle. - Odbywałem rutynowy lot z kolonii Brigston.

- Skąd?

- Z kolonii Brigston. Na Marsie. Libby zamknęła oczy i potarła je dłonią.

- Chwileczkę.

- Uprzedzałem, że ci się to nie spodoba.

- Chcesz zatem, bym uwierzyła, że jesteś Marsjaninem?

- Nie bądź śmieszna. Opuściła ręce na kolana.

- Ja jestem śmieszna? Siedzisz tu, mówisz, że przyleciałeś z Marsa, a to ja jestem śmieszna? - Z braku czegoś lepszego chwyciła poduszkę i rzuciła nią w kąt pokoju. Wstała i znów zaczęła chodzić tam i z powrotem. - Posłuchaj, nie chcę się wtrącać w twoje życie osobiste, nie oczekuję nawet wdzięczności za ocalenie ci życia. Sądzę jednak, że należy mi się jakiś elementarny szacunek. Jesteś w moim domu, Hornblower. Chcę usłyszeć prawdę.

- Tak, wiem. Właśnie ci ją wyjawiam.

- Doskonale. - Opadła na łóżko. - Jesteś więc z Marsa.

- Nie, z Filadelfii.

- Ach - odetchnęła z ulgą. - Wreszcie docieramy do sedna. Leciałeś do Los Angeles i rozbiłeś samolot.

- Statek. Pozostała spokojna.

- Statek kosmiczny?

- Możesz to tak nazywać. - Nachylił się w jej kierunku. - Musiałem zmienić trasę z powodu deszczu meteorytów. Zboczyłem z kursu, za bardzo, instrumenty pokładowe zaczęły szwankować. Wpadłem w czarną dziurę, której nie ma na mapach.

- W czarną dziurę.

Odechciało się jej śmiać. Jego spojrzenie było absolutnie poważne. On w to naprawdę wierzy, pomyślała z przerażeniem. Musiał odnieść bardzo poważne obrażenia, których niestety nie zauważyła.

- To znaczy w skompresowaną gwiazdę. Zasysa wszystko: gwiazdny pył, gazy, nawet światło.

- Tak, wiem, co to jest czarna dziura. - Nie wolno go zdenerwować. Musi go wprowadzić w dobry nastrój, przyjaźnie zainteresować się jego opowieścią, potem położyć go jakoś do łóżka. - A więc leciałeś statkiem kosmicznym, wpadłeś w czarną dziurę i rozbiłeś się?

- Najprościej można to tak ująć. Nie wiem, co się dokładnie zdarzyło. Dlatego właśnie podłączyłem mój komputer do twojego. Potrzebuję informacji, żeby dokonać obliczeń i bezpiecznie wrócić do domu.

- Na Marsa?

- Nie, u diabła. Do dwudziestego trzeciego wieku. Grzeczny uśmiech zastygł Libby na twarzy.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz.

Wstał. Cierpliwości, nakazał sobie. Trudno, żeby mi od razu uwierzyła, skoro sam nie mogę tego do końca pojąć.

- Już wieki temu powstawały teorie dotyczące podróży w czasie. Wszyscy zgadzają się co do tego, że gdyby statek osiągnął wystarczającą prędkość, by przemknąć z odpowiednią prędkością obok Słońca, mógłby przeskoczyć czas. To tylko teoria, której nie sposób sprawdzić, gdyż na obecnym etapie rozwoju techniki nie umiemy wyeliminować skutków przyciągania słonecznego. Każdy statek, który zbliży się za bardzo do Słońca, oczywiście spłonie. Równie niebezpieczne byłyby próby z wykorzystaniem czarnych dziur. Przeciężenia i promieniowanie zniszczyłyby każdy statek. Musiałem mieć niewiarygodne szczęście. Przypadkowo wybrałem

właściwą trajektorię lotu. - Wyjrzał przez okno. - No i wylądowałem tutaj, ponad dwa i pół stulecia wcześniej.

Libby wstała. Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Powinieneś się położyć.

Nie spojrzął na nią. Nie musiał.

- Nie wierzysz mi. Nie umiała skłamać.

- Ty w to wierzysz - powiedziała tylko.

Odwrócił się do niej. Zobaczył w jej oczach życzliwe współczucie.

- Jak więc to wyjaśnisz? Sięgnął do kieszeni po komputer.

- Nie musisz teraz niczego wyjaśniać. Przykro mi, że tak nalegałam, Caleb. Jesteś zmęczony.

- Po prostu nie umiesz tego wyjaśnić. Także tego, skąd się tu wziąłem.

- Posłuchaj, mam pewną teorię. Uczestniczysz w operacji wywiadowczej, może należysz do jakiejś elitarniej sekcji CIA. Działałeś pod ogromną presją, a do tego masz szok pourazowy. Wypierasz jakieś wspomnienia. Dlatego być może umiejscowiłeś siebie w innym czasie...

- Uważasz, że zwariowałem.

- Nie. - Delikatnie dotknęła jego policzka. - Jesteś ranny i zmęczony. Potrzebujesz odpoczynku i opieki.

W tej sytuacji musiał na razie zrezygnować.

- Tak, chyba masz rację - przyznał. - Jeszcze nie doszedłem do siebie po wypadku, powinienem odpocząć.

- Dobry pomysł. - Zaczekała, aż dojdzie do drzwi. - Caleb, nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Odwrócił się. Może widzi ją po raz ostatni? Stała na tle okna, na zewnątrz zapadał zmrok. Miała oczy przepełnione współczuciem. Pamiętał smak jej ust. Dopadło go uczucie żalu.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem - oświadczył.

Oniemiała patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi.

Nie spał. Leżąc w ciemności, mógł myśleć tylko o Libby. Włączył telewizor. Postaci na ekranie są bardziej realne niż ja, doszedł do wniosku.

Nie uwierzyła mu, w końcu nie ma w tym nic dziwnego. Próbowwała go uspokoić. Zastanawiał się, czy Libby zdaje sobie sprawę, że jest kimś wyjątkowym. Pragnął jej. W szarym

światle świtu pragnął jej bardziej, niż mógł sobie wyobrazić. Wystarczyłoby jej dotknąć, wziąć za rękę. Leżeć obok niej, w ciszy. Nie żywił takich uczuć nigdy przedtem, wobec żadnej kobiety. Gdyby miał wybór...

Nie miał.

Powoli wstał. Nie miał nic do zabrania i nic tu nie zostawiał. Po cichu zszedł na dół i wymknął się z domu.

Landrower stał koło ganku. Cal podszedł do samochodu, spojrzął na okno pokoju Libby. Miał wyrzuty sumienia, gdyż musiał ją pozbawić jedyne go środka lokomocji. Później zastanowił się, jak jej pomóc.

Będzie wściekła. Uśmiechnął się, zajmując miejsce za kierownicą. Przeklnie go, znienawidzi. Ale na pewno nie zapomni.

Przez chwilę Cal przyglądał się z zachwytem staroświeckim urządzeniom i wskaźnikom. Sprawdził działanie kierownicy, wcisnął ostrożnie pedał gazu.

Pomiędzy siedzeniami dostrzegł dźwignię oznaczoną cyframi od jeden do czterech, w kształcie litery H. Zgrzytnęła, gdy popchnął ją do przodu. Zadowolony, że prowadzenie tak prostego pojazdu nie sprawi mu trudności, wypróbował kilka przycisków. Gdy nie dało to żadnego rezultatu, poruszył dźwignią zmiany biegów, wciskając równocześnie pedały w podłodze.

Metodą prób i błędów znalazł sprzęgło i wrzucił pierwszy bieg.

Dobry początek, uznał. Zastanawiał się, gdzie u diabła projektant umieścił zapłon.

- Trudno ci będzie go uruchomić bez tego. Libby stała na ganku, z ręką na biodrze. W drugiej, wyciągniętej, trzymała kluczyki.

Rzeczywiście jest zła, pomyślał. Tym razem jednak nie było mu do śmiechu.

- Właśnie... chciałem się trochę przejechać.

- Tak? - Poprawiła narzucony na ramiona sweter i zeszła po schodkach. - Masz pecha, nie zostawiam kluczyków w stacyjce.

Chodziło więc o kluczyk - Powinien był się domyślić.

- Obudziłem cię? - zapytał. Uderzyła go pięścią w ramię.

- Masz tupet, Hornblower. Wczoraj udawałeś wariata, żeby wzbudzić współczucie, a teraz kradniesz mi samochód. Co zamierzałeś zrobić? Połączyć przewody w stacyjce i zostawić mnie tutaj na łasce losu? Myślałam, że taki wspaniały pilot jak ty okaże się dużo sprytniejszy.

- Ja chciałem go tylko pożyczyć - zaprotestował, wąpiąc, czy taka różnica ma dla niej jakieś znaczenie. - Pomyślałem, że nie powinnaś ze mną jechać na miejsce katastrofy.

Uwierzyła mu i natychmiast przeklęła w myślach swoją głupotę. Jednak żałowała go, chciała mu pomóc. Ścisnęła kluczyki, mocno, do bólu. W porządku, pomoże mu.

- No dobrze, przesiądź się.

- Słucham?

- Powiedziałam, żebyś się przesiadł. Chcesz pojechać do wraku, prawda - Zawiozę cię.

- Libby...

- Przesiadaj się, Hornblower, bo zaraz stracę cierpliwość.

- Dobrze, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem.

- I pomyśleć, że ja się nad tobą użalałam. Patrzył zaintrygowany, jak Libby wkłada kluczyk do podłużnego otworu i przekręca go. Silnik ożył, zaczęły działać wycieraczki.

Potem zwolniła sprzęgło, nacisnęła pedał gazu i wjechała szybko na wąską drogę.

- Libby, robiłem to, co według mnie byłoby dla ciebie najlepsze. Nie chciałem cię w to jeszcze bardziej wciągać.

- Jestem ci wdzięczna. - Zmieniła bieg, spod kół wystrzeliły kamyki. - Powiedz mi tylko, dla kogo ty pracujesz, Hornblower?

- Działam na własny rachunek.

- Ach, rozumiem. - Uśmiechnęła się ponuro. - Sprzedajesz temu, kto da najwięcej?

Zdziwił go gniewny ton jej głosu.

- Pewnie, przecież wszyscy tak robią.

- Niektórzy ludzie uważają, że lojalność wobec kraju nie ma ceny.

Cal przyłożył palce do oczu. Nagle zdał sobie sprawę, że ona nawiązuje do poprzedniej rozmowy.

- Libby, ja nie jestem szpiegiem, nie pracuję dla CAL.

- CIA.

- Wszystko jedno. Jestem pilotem. Przewożę towary, ludzi, sprzęt. Dostawy do portów kosmicznych, kolonii, laboratoriów.

- Znów zaczynasz. - Zacisnęła zęby, przejeżdżając przez strumień. - Jesteś więc takim międzygalaktycznym kierowcą ciężarówki?

Uniósł ręce, potem powoli je opuścił.

- Mniej więcej.

- Nie kupuję tego, Cal. Nie jesteś wariatem, więc przestań zmyślać.

- Libby, wszystko co ci powiedziałem, jest prawdą.

- Po prostu przestań. - Gdyby nie musiała trzymać oburącz kierownicy, uderzyłaby go. -  
Żałuję, że cię spotkałam. Dbałam o ciebie, doświadczyłam uczuć, jakich dotąd nie poznałam. A ty? Ty tylko potrafisz kłamać.

Trudno, nie pozostawiała mu wyboru. Nachylił się i wyłączył silnik. Samochód stanął. Chwycił Libby za sweter, zmusił, żeby na niego spojrzała. Zobaczył jej twarz.

- Cholera, nie płacz, nie mogę tego znieść.

- Nie płaczę. - Szybko wytarła oczy rękawem.

- Oddaj mi kluczyki.

- Za chwilę. - Puścił ją. - Nie skłamałem, gdy powiedziałem, że wymykam się ukradkiem, bo tak byłoby dla ciebie najlepiej.

Wierzyła mu, właśnie to wyprowadzało ją z równowagi. Ta łatwość, z jaką udawało mu się ją przekonać.

- Powiesz mi wreszcie, w jakie wpadłeś kłopoty? - zapytała.

- Tak. - Ponieważ nie mógł się powstrzymać, dotknął dłonią jej mokrego policzka. - Gdy dojedziemy do wraku, odpowiem na wszystkie pytania.

- Bez żadnych uników i wciskania kitu?

- Powiem ci wszystko, masz moje słowo, Libby. - Chwycił jej dłoń - Co przy mnie czujesz?

Wyrwała dłoń i położyła ją na kierownicy.

- Nie wiem i nie chcę o tym myśleć.

- Uwierz, nigdy, do żadnej kobiety nie czułem tego, co do ciebie. Chciałbym, żeby sprawy ułożyły się inaczej.

Przecież on już się ze mną żegna, zorientowała się. Poczwała ból.

- Przestań, skoncentrujmy się na tym, co mamy teraz zrobić. Znalazłam cię właśnie tu - wyjaśniła, włączając silnik. - Na zakręcie. Sądzę, że siedleś równolegle do tamtej grani. - Przyjrzała się uważniej okolicy. - Dziwne - zauważyła - ta wyrwa w ścianie lasu...

Nie ma w tym nic dziwnego, pomyślał Cal, w końcu spadł tu statek o wymiarach siedemdziesiąt na trzydzieści metrów.



- Może się temu przyjrzymy? - zaproponował. Libby bez słowa skrzyła z drogi na dość strome zbocze. Spojrzała na Cal. Ze zdumieniem stwierdziła, że gdy samochód podskakuje na wybojach, Cal szeroko się uśmiecha.

- Fajnie! - krzyknął.

- Cieszę się, że dobrze się bawisz.

Patrzyła na drogę, nie zauważyła więc, że Cal naciska jakieś guziki w swoim dziwnym zegarku. Obserwował z rosnącym podnieceniem wskaźniki.

- Dwadzieścia pięć stopni na północ.

- Co?

- Tędy. - Wskazał ręką kierunek. - Dwa i pół kilometra.

- Skąd wiesz?

Uśmiechnął się do niej promiennie.

- Zaufaj mi.

Gdy dotarli do grani, Libby wyłączyła silnik.

- Dalej nie przejadę - wyjaśniła. - Musimy tam dotrzeć pieszo.

- Jasne, to niedaleko. - Niecierpliwie wyciągnął do niej rękę. - Tylko kilkaset metrów.

Spojrzała na jego zegarek. Wydobywało się z niego buczenie. Niskie, w regularnych odstępach.

- Co on robi? - zapytała.

- Namierza - wyjaśnił. - Ma zasięg około dziesięciu kilometrów, ale jest precyzyjny.

Wątpię, by w okolicy był inny metalowy przedmiot tak duży, jak mój statek. Mamy szczęście...

- Nie zaczynaj od nowa - poprosiła.

Włożyła ręce do kieszeni i ruszyła szybkim krokiem przed siebie.

- Jesteś naukowcem - przypomniał jej Cal, gdy się z nią zrównał.

- Jestem - przyznała. - Właśnie dlatego nie wierzę w twoją nieprawdopodobną historyjkę.

Przyjacielskim gestem objął jej ramiona.

- Patrzysz za siebie, Libby, nie przed siebie. Przecież nie widziałaś nigdy nikogo, kto żył dwieście lat wcześniej, a jednak nie wątpisz w jego istnienie. Dlaczego jest ci tak trudno uwierzyć, że przybyłem z przyszłości?

- Wierzę, że za dwieście lat będziemy nadal istnieć jako gatunek. Wiem jednak, że nie mogę zrobić kawy żadnemu przybyszowi z przyszłości. - On nie zwariował, uznała, jest sprytny.

- Obiecałeś, że poznam całą prawdę, gdy znajdziemy twój samolot - przypomniała. - Trzymam cię za słowo. - Uniosła głowę i zamarła.

- O Boże - szepnęła po chwili.

Kilkanaście metrów przed nią rozpoczynała się wyrwa. Z bliska wyglądało to tak, jakby gigantyczny sierp ściał wszystko, co tu rosło, nawet najgrubsze drzewa.

- Nie ma śladów pożaru - zauważyła. Musiała przyspieszyć kroku, by zrównać się z Calem. - Co mogło to spowodować?

- To. - Cal wskazał kierunek. W wyrwie, na skalistym gruncie, osiadł jego statek. Zwalone wokół niego drzewa wydawały się małe jak zapalki. - Nie podchodź bliżej, muszę sprawdzić promieniowanie - ostrzegł ją, choć było to zbyteczne, gdyż stała jak wryta.

Ustawiając nadgarstek pod różnymi kątami, sprawdził poziom promieniowania i skinął głową.

- W porządku, wszystko w normie - oświadczył.

- Ponownie objął ramiona Libby. - Wejźmy - zaprosił ją - pokażę ci moje akwaforty.

W milczeniu dała się poprowadzić. Statek był wielki jak kamienica. Nie przypominał żadnego samolotu. Tajny sprzęt wojskowy, wytłumaczyła sobie szybko. Właśnie dlatego Cal dawał tak wymijające odpowiedzi. Zaraz, ale przecież jeden człowiek nie może prowadzić czegoś tak ogromnego...

Dziób przypominał pocisk, dalej dziwaczny pojazd się rozszerzał. Żadnych skrzydeł. To spostrzeżenie ją zaniepokoiło. Kształt przypominał nieco ryby głębinowe. Niesamowite...

To jakiś eksperyment, pomyślała, mijając zwaloną sosnę.

Kadłub miał matowy, metaliczny kolor. Nie na tyle błyszczący, żeby można go było nazwać srebrzystym. Zauważyła wgniecenia i rysy. Jak wysłużony, lecz niezawodny samochód, doszła do wniosku.

Większość uszkodzeń jest skutkiem wypadku, uznała. Zaniepokoiło ją jednak, że niektóre wgniecenia wyglądały na stare. Pentagon, NASA czy inna agencja, która to coś zbudowała, powinna obchodzić się ostrożniej z urządzeniem, na które wydano na pewno miliony dolarów z pieniędzy podatników.

- Więc przyleciałeś w tym czymś - wykrztusiła, gdy dotarli do pojazdu.

- Jasne. - Czule pogłaskał kadłub. - Prowadzi się jak marzenie.

- Czyje to jest?

- Moje. - W jego głosie zabrzmiała duma. - Powiedziałem ci przecież, że tego nie ukradłem.

Rozpierała go radość i uczucie ulgi. Chwyił Libby, okręcił w powietrzu, postawił na ziemi i pocałował w usta. Ponieważ to mu się spodobało, unióś ją ponownie, centymetr nad ziemię, i znów pocałował.

- Caleb...

Pozbawiona tchu, oszołomiona, odpychała go od siebie energicznie.

- Całowanie cię już weszło mi w krew. - Ujął ją za rękę. - Zawsze miałem trudności ze zwalczaniem nałogów.

Chce odwrócić moją uwagę, pomyślała. I robi to bardzo skutecznie.

- Więc weź się w garść - poleciła. - Już znaleźliśmy... to coś. Obiecałeś mi wszystko wyjaśnić. Oboje doskonale wiemy, że takie coś nie może należeć do prywatnej osoby. Wyduś z siebie wreszcie, o co tu chodzi.

- Jest mój - upierał się z uśmiechem. - No tak - przyznał smętnie - właściwie zostało mi jeszcze do spłacenia dziesięć rat. - Nacisnął guzik, żeby otworzyć luk. Pokrywa rozsunęła się bezgłośnie. - Wejdz, pokażę ci dowód rejestracyjny.

Znalazła się w kabinie. Dużej, jak jej salonik, z ogromną deską rozdzielczą. Naprzeciw dwóch foteli z wysokimi oparciami zobaczyła mnóstwo kolorowych guzików i dźwigni.

- Usiądź - poprosił.

Na wszelki wypadek trzymając się blisko otwartego luku, objęła się rękoma, gdyż nagle poczuła chłód.

- Tu jest... ciemno.

- Ach, rzeczywiście. - Podeszedł do konsoli i dotknął jakiegoś guzika. Libby cicho krzyknęła, gdyż przód pojazdu otworzył się. - Osłony musiały się zamknąć, gdy uderzyłem o ziemię - wyjaśnił.

Mogła tylko w milczeniu patrzeć. Widziała przed sobą las, góry i niebo. Wnętrze pojazdu oświetliły promienie słońca przechodzące przez coś, co trudno było nazwać przednią szybą, gdyż miało z dziesięć metrów.

- Nie rozumiem. - Szybko podeszła do jednego z foteli i usiadła. - Nic z tego nie rozumiem.

- Parę dni temu miałem takie samo uczucie.

Cal otworzył jakąś szufladę, trochę w niej pogrzebał. Wydobył małą, błyszczącą kartę.

- To moja licencja pilota, Libby. Gdy ją przeczytasz, głęboko odetchnij, to może pomóc.

W rogu zobaczyła jego zdjęcie. Przeczytała, że jest obywatelem Stanów Zjednoczonych i ma uprawnienie do prowadzenia wszystkich kategorii statków, od A do F. Wzrost 185,4 cm, waga 70,3 kg. Włosy czarne, oczy niebieskie. Data urodzenia... 2222 r.

- O mój Boże - szepnęła.

- Zapomniałaś głęboko odetchnąć. - Poglaskał ją po dłoni. - Libby, mam trzydzieści lat. Z Los Angeles wyleciałem dwa miesiące temu, w lutym 2252 roku.

- To wariactwo.

- Raczej gołe fakty.

- To jakaś sztuczka. - Wcisnęła mu dokument w dłoń i wstała. Serce biło jej tak szybko, że czuła pulsowanie w skroniach. - Nie wiem, dlaczego to robisz, ale to jakaś sztuczka. Wracam do domu.

Ruszyła w kierunku luku, pokrywa jednak natychmiast wróciła na miejsce, odcinając jej drogę.

- Usiądź, Libby, proszę. - Zobaczył jej spojrzenie, spojrzenie kogoś schwytanego w pułapkę. Powstrzymał się, żeby znów jej nie objąć. - Nie chcę cię skrzywdzić, przecież wiesz. Usiądź i posłuchaj.

Była na siebie zła, że wpadła w panikę i chciała uciec. Posłusznie zajęła miejsce w fotelu.

- A więc?

Usiadł naprzeciw niej. Przez chwilę myślał. Są chwile, uznał, gdy trzeba traktować niezwykłą sytuację tak, jakby była normalna.

- Nie zjadłaś śniadania - powiedział nagle. Otworzył małe drzwiczki i wyjął srebrzysty woreczek. - Co sądzisz o jajecznicy na szynce?

Nie czekając na odpowiedź, otworzył inne drzwiczki i wrzucił do środka torebkę. Nacisnął guzik. Siedział przez chwilę, uśmiechając się. Gdy usłyszał brzęczyk, otworzył drzwiczki i wyjął apetycznie pachnące danie.

Libby położyła na kolanach lodowato zimne ręce.

- Masz w zanadrzu więcej sztuczek - stwierdziła.

- To nie sztuczka, tylko zwykła irradiacja. Spróbuj.

- Podsunął jej talerz pod nos. - Jajecznicę nie jest tak dobra jak twoja, ale da się zjeść.  
Libby - poprosił - uwierz w to, co masz przed oczami.

- Nie. - Powoli pokręciła głową. - Nie mogę.

- Nie jesteś głodna? - Ponownie pokręciła głową, tym razem bardziej zdecydowanie. Cał wzduszył ramionami i poszukał widelca. - Rozumiem, co czujesz.

- Nie, nie rozumiesz. - Dopiero teraz skorzystała z jego rady i wzięła trzy głębokie oddechy. - Nie siedzisz w czymś, co wygląda jak statek kosmiczny i nie rozmawiasz z człowiekiem, który twierdzi, że jest z dwudziestego trzeciego wieku.

- Fakt, ale siedzę w moim statku i rozmawiam z kobietą starszą ode mnie o ponad dwieście lat.

Zaśmiała się, trochę zbyt nerwowo.

- To nonsens.

- Aha.

- Nie powiedziałam, że w to wierzę.

- Daj sobie trochę czasu. Przycisnęła dłoń do czoła.

- Muszę się zastanowić.

- Doskonale.

Westchnęła i spojrzała na niego.

- Chyba zjem teraz tę jajecznicę.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jajecznica okazała się niezbyt dobra, za to niezwykle gorąca. Irradiowana, powtórzyła Libby z przekąsem, powoli przeżuując. Słyszała o kontrowersyjnych metodach konserwowania żywności. W tym jednak wypadku miała do czynienia z czymś, czego nie umiała wytłumaczyć.

Dostałam się w jakiś sposób do filmu science fiction, uznała i postanowiła ten fakt skomentować.

- Ciągłe sobie powtarzam, że na pewno istnieje jakieś proste wyjaśnienie - poinformowała.

Cal skończył swoją porcję jajecznicy.

- Powiedz mi, gdy jakieś znajdziesz. Odstawiła talerz.

- Jeśli to prawda, przyjmujesz wszystko bardzo spokojnie - zauważyła.

- Miałem trochę czasu, żeby się przyzwyczaić. Nie jesz już?

Pokręciła głową i wyjrzała na zewnątrz. Jakies sto metrów dalej zobaczyła parę łosi. Piękny widok, pomyślała, tu, w górach Oregonu. Gdyby łosie trafiły jakoś na Piątą Aleję na Manhattanie, nie przestałyby być piękne. I rzeczywiście. Jednak tam ich widok wywołałby zdziwienie.

Nie można zaprzeczyć, że Cal rzeczywiście istnieje. Czy istnieje też prawdopodobieństwo, że on i jego niewiarygodny pojazd są w innym miejscu i w innym czasie czymś normalnym?

Gdyby to było prawdą, jak on się czuje? Spojrzała na łosie. Jak zwierzę wyrwane ze swego naturalnego środowiska i rzucone w inny, obcy świat?

Pamiętała przerażenie na jego twarzy, gdy przyszedł do niej ze znaną książką w ręku. Z książką wydaną w tym roku, przypomniała sobie. Jego dziwne pytania uznała wtedy za skutek urazu głowy.

No i ten pojazd. Jeśli on naprawdę istnieje, jeśli mi się nie śni, pomyślała, to opowieść Calą musi być prawdziwa.

- O Horacy, więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło waszym filozofom. - powiedziała.

- Hamlet. - Uśmiechnął się na widok jej podejrzliwego spojrzenia. - Nadal czytamy Szekspira. Chcesz kawy?

Pokręciła głową. Śni czy nie, musi poznać prawdę.

- Powiedziałaś, że... odbiłeś się od czarnej dziury. Uśmiechnął się szeroko. Wreszcie mu uwierzyła.

Może jeszcze jest oszołomiona, ale przestała uważać go za wariata lub oszusta.

- Tak, przynajmniej wszystko na to wskazuje. Gdy statek uderzył w pole grawitacyjne, instrumenty oszalały. Przeszedłem na ręczne sterowanie, udało mi się odbić na wschód. Potem straciłem przytomność. Gdy ją odzyskałem, statek opadał na Ziemię. Włączyłem sterowanie automatyczne i pomyślałem, że już po kłopotach.

- To nie wyjaśnia, jak znalazłeś się tutaj.

- Jest wiele teorii. Jedna, do której się skłaniam, mówi o kontinuum czasoprzestrzeni. To jakby miska, którą wyznaczają linie krzywe. - Złożył dłonie, żeby zademonstrować. - Z matematycznego punktu widzenia, ta miska nie jest ani przestrzenią, ani czasem. Jest kombinacją jednego i drugiego. Wszystko w środku porusza się, ściągane siłą ciężenia w dół, na dno miski. Wokół Ziemi nie ma dużego zakrzywienia czasoprzestrzeni. Praktycznie się go nie odczuwa. Jednak wokół Słońca albo czarnej dziury...

- I ty wpadłeś w to zakrzywienie?

- Jak kulka krążąca we wnętrzu miski. Potem, w którymś miejscu, siła odśrodkowa przewyciężyła siłę ciężenia i wyrzuciła mnie na zewnątrz. Odpowiednia prędkość i trajektoria spowodowały, że przemieściłem się nie tylko w przestrzeni, lecz również w czasie.

- Kiedy o tym opowiadasz, brzmi wiarygodnie.

- To jednak tylko teoria. Kiedy zbadam szczegóły, przekonamy się, jak było naprawdę.

Nachylił się i włączył komputer.

- Tak, Cal.

Libby uniosła brew, słysząc jedwabisty, wyjątkowo zmysłowy głos.

- Od kiedy komputery są wysokimi blondynkami z dużym biustem? - - zapytała.

Caleb uśmiechnął się.

- W długich podróżach międzygalaktycznych często dokucza nam samotność - wyjaśnił. - Komputer, odtwórz dane z dziennika z drugiego maja. Na ekranie.

Nachylił się do ekranu, który pojawił się na konsoli. Kokpit wypełnił się dźwiękiem. Na ekranie pojawił się Caleb.

Ze swego krzesła Libby wpatrywała się zafascynowana w obraz. Widziała Cala, siedział tam, gdzie teraz. Błyskały jednak lampki, brzęczały i buczały urządzenia alarmowe. Gdy kokpit zawirował, pilot zapiął pas. Dostrzegła na jego czole kropelki potu. Widać było, jak walczy z przyrządami, starając się odzyskać panowanie nad statkiem.

- Poszerz obraz - polecił Cal.

Libby zobaczyła teraz to, co Caleb widział przez szybę statku bezpośrednio przed wypadkiem. Ogrom przestrzeni, kuszącej, wciągającej. Gwiazdy, a potem coś, co musiało być odległą planetą. Po chwili czerń, absolutna, bezkresna czerń. Statek zdawał się pędzić wprost w tę mroczną pustkę.

Usłyszała przekleństwo Cala. Pociągnął jakąś dźwignię. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt rozdieranego metalu. Zdawał się wibrować, wypełniać sobą całą przestrzeń. Kokpit zaczął wirować, coraz szybciej, z przyprawiającą o mdłości prędkością. Potem obraz znikł.

- Cholera, komputer, kontynuuj odtwarzanie.

- Banki pamięci uszkodzone. Dalsze odtwarzanie niemożliwe.

- Fajnie. - Zaczął dyktować dane do analizy, spojrzał jednak na Libby. Siedziała sztywno w fotelu, miała popielatobiałą twarz i szkliste oczy. - Hej!

- Szybko wstał i nachylił się nad nią. - Nie przejmuj się.

- Czułam się tak, jakbym tam była.

Sklął się w myślach, spróbował ogrzać jej zimną dłoń. Nie powinien był jej tego pokazywać. Myślał tylko o sobie, chciał zobaczyć, co się wydarzyło.

- Wiem, przepraszam.

- To było straszne. - Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości, to teraz rozwiały się. Chwyciła go za rękę.

- Przede wszystkim dla ciebie.

- Nie. - Poglaskał ją po włosach. - Tylko trochę. Gdy delikatnie ją pocałował, dotknęła jego policzka.

- Co zamierzasz zrobić?

- Odnaleźć drogę powrotną.

Poczuła ból. Gwałtowny i ostry. Oczywiście, on nie może tu zostać.

- Kiedy wyruszysz?



- To nie potrwa długo. - Wyprostował się i rozejrzył po kabinie. - Muszę naprawić uszkodzenia kadłuba, no i dokonać wielu obliczeń.

- Chciałabym ci pomóc - bezradnie uniosła ręce - ale nie wiem jak.

- Zostań tu ze mną. Wiem, że masz dużo pracy, jednak gdybyś mogła poświęcić kilka godzin...

- Jasne. - Zdobyła się na uśmiech. - Nie co dzień ktoś proponuje mi spędzenie dnia w statku kosmicznym. Zostanę.

Od razu pożałowała swej decyzji. Gdy Cal zobaczy z bliska jej twarz, natychmiast stwierdzi to, co dla niej stało się już oczywiste. Że złamał jej serce.

- Mogę się rozejrzeć?

- Pewnie, zaglądamy, dokąd zechcesz. - Jest nadal blada, zauważył, ale mówi już normalnie. Może powinna spędzić trochę czasu w samotności. - Zajmę się obliczeniami.

Wyszła z kokpitu. Drzwi automatycznie się przed nią otworzyły. Znalazła się w czymś w rodzaju małego saloniku. Na dwóch przymocowanych do ścian kozetkach zobaczyła pomarańczowe poduszki. Na przyśrubowanym do podłogi stoliku leżały jakieś kolorowe czasopisma ze zdjęciami pojazdów kosmicznych. Przyszła wersja magazynu motoryzacyjnego, pomyślała i zaśmiała się nerwowo.

Jestem rozsądna, przekonywała się w duchu. Człowiek rozsądny wierzy w to, czemu nie można zaprzeczyć. Ale...

Żadnych ale, przywołała się do porządku.

Przez godzinę zwiedzała statek. Oglądała wszystko, dokładnie i zachłannie. Znalazła wąskie pomieszczenie, w którym panował lekki nieład. Uznała, że jest to kuchnia. Nie było tam kuchenki, tylko urządzenie w ścianie przypominające mikrofalówkę. W czymś w rodzaju lodówki stało kilka butelek. Wyglądające znajomo etykiety poinformowały ją, że ma do czynienia z popularną marką piwa.

W ciągu dwustu lat człowiek nie mógł się za bardzo zmienić, doszła do wniosku. Wybrała inną butelkę, podobną do tej zawierającej dobrze jej znany napój bezalkoholowy. Spróbowała. Zdziwiona, pociągnęła drugi łyk. Smakowało tak, jakby wyjęła tę butelkę ze swej własnej lodówki. Zabrała ze sobą napój i ruszyła dalej.

Doszła do ogromnej ładowni. Pustej, jeśli nie liczyć sterty skrzynek w rogu.

Powiedział, że zawiózł zaopatrzenie. Na Marsa. Poczula skurcz żołądka i szybko znów upiła łyk.

A więc ludzie osiedlili się na Marsie. Już współcześni jej naukowcy przewidywali taki rozwój wypadków. Musi zapytać Cala, kiedy powstała pierwsza kolonia i według jakich kryteriów dobrano jej mieszkańców. Potarła czoło. Może, kiedy się do tego wszystkiego przyzwyczai, zacznie zadawać sensowne pytania.

Ruszyła dalej i dotarła do drugiego poziomu, który zdawały się wypełniać wyłącznie sypialnie. Kabiny, poprawiła się. Na statku są kabiny. Funkcjonalne meble, większość wbudowana w ściany. Gładki plastik, żywe kolory.

Na kabinę Cala natrafiła przypadkowo. Właściwie ją znalazła, choć nie chciała przyznać, że jej szukała. Od innych odróżniał ją tylko większy bałagan. Dostrzegła rzucony w kąt kombinezon, podobny do tego, w którym znalazła Caleba. Na ścianie fotografia, chyba trójwymiarowa. Grupka ludzi, wśród nich Cal.

Widoczny w tle budynek był wielopiętrowy i niemal w całości zbudowany ze szkła. Białe tarasy usytuowane pod różnymi kątami. Na trawniku wysokie, rozłożyste drzewa.

To jego dom, pomyślała. I jego rodzina. Przyjrzała się im. Wysoka kobieta robiła wrażenie stanowczo za młodej na jego matkę. Siostra? - Przypomniała sobie jednak, że Cal mówił tylko o bracie.

Wszyscy się uśmiechali. Cal trzymał rękę na ramionach innego mężczyzny. Brata, uznała, dostrzegając podobieństwo. Brat Caleba miał zielone oczy, nawet na zdjęciu denerwująco przenikliwe. Trudny przeciwnik, uznała i przyjrzała się trzeciemu mężczyźnie z fotografii.

Wydawał się lekko wstawiony. Nie był za bardzo przystojny, lecz miał miłą twarz.

Uchwyceni w czasie, pomyślała. To właśnie robi fotografia. Zamyka ludzi w ułamku czasu. Również Cal został chwilowym więźniem czasu...

Powinna pamiętać, że będzie tu tylko tak długo, dopóki nie znajdzie sposobu na powrót do domu. Ma inne życie, w innym świecie. To głupota, że cokolwiek do niego czuje, pomyślała ponuro. Nie do pomyślenia, poprawiła się natychmiast, przykładając do twarzy chłodną butelkę. Tak samo jak fakt, że oto stoję sobie w pojeździe kosmicznym.

Poczula się nagle zmęczona i usiadła na łóżku. Wszystko jest zwariowane, pomyślała, a już najbardziej to, że po raz pierwszy w życiu zakochałam się właśnie w Calu. W kimś, kto

wkrótce znajdzie się dalej, niż można to sobie wyobrazić. Westchnęła i położyła się na łóżku. A może jednak to wszystko i tak okaże się jedynie snem?

Znalazł ją godzinę później, zwiniętą na jego łóżku. Spała, jak wtedy gdy zobaczył ją po raz pierwszy.

Była cudowna, lecz teraz nie pociągała go w niej uroda. Chodziło o słodczy, połączenie współczucia z nieśmiałością. Chciałby się koło niej położyć, kochać się z nią, najdelikatniej jak umiał.

Nie była mu jednak przeznaczona. Chciałby, żeby życie potoczyło się jak w baśni, a Libby spała przez ponad dwieście lat. Potem delikatnie obudziłby ją i poprosił o rękę.

Nie jestem księciem, upomniał się natychmiast. Tylko zwykłym człowiekiem, który znalazł się w niezwyklej sytuacji.

Ostrożnie podszedł i okrył śpiącą. Poruszyła się, mruknęła coś przez sen. Nie mógł się powstrzymać. Dotknął dłonią jej policzka. Otworzyła oczy.

- Cał, miałam dziwny sen. - Obudziła się, uniosła na łokciach i rozejrzała po kabinie. - Nie, to nie sen.

- Nie. - Usiadł na łóżku. - Jak się czujesz?

- Nadal jestem trochę rozbita. - Odgarnęła włosy z twarzy, lecz te natychmiast znów opadły. - Przepraszam, nie zorientowałam się, że zasnęłam. Chyba mój mózg chciał się na chwilę wyłączyć.

- Fakt, trochę za dużo wrażeń naraz. Libby?

- Tak?

- Przykro mi, ale muszę to zrobić... Pocałował ją. Odruchowo wyciągnęła rękę, żeby go odepchnąć, lecz od razu ją cofnęła.

- Skłamałem - przyznał. - Wcale nie było mi przykro.

Wstał jednak i odsunął się od łóżka. Libby również wstała. Starła się zapanować nad drżeniem rąk.

- To twoja rodzina? - zapytała.

- Tak. - Spojrzał na fotografię. - Brat Jacob i rodzice.

- To jest Jacob - powiedziała, wskazując postać - ale ci tutaj nie mogą być twoimi rodzicami. Są za młodzi.

- Nietrudno jest wyglądać młodo. - Wzruszył ramionami. - To znaczy, nie będzie trudno.

- A to twój dom?

- Tam dorastałem, znajduje się około dwudziestu kilometrów za miastem.

- Wrócisz do nich. - Cieszyło ją to. Miłość, nieważne jak głęboka i nagle, jest bezinteresowna. - Pomyśl, co im opowiesz.

- Jeśli cokolwiek zapamiętam.

- Nie możesz przecież zapomnieć. - Myśl, że mógłby nie zachować nawet wspomnienia, dotknęła ją boleśnie. - Spiszę wszystko dla ciebie.

- Dziękuję. Pozwolisz, że wrócimy?

- Wrócimy?

- Do twojego domu. Zrobiłem już wszystko, co mogłem. Na dzisiaj koniec, jutro rozpocznę naprawy. Miałem nadzieję, że tymczasem pozwolisz mi u siebie mieszkać.

- Oczywiście. - Tak, na pewno nie zostanie ani minuty dłużej, niż jest to konieczne, pomyślała z goryczą. Gdy wychodzili z kabiny, zdobyła się na pogodny uśmiech. - Chciałabym ci zadać dziesiątki pytań, nie wiem nawet, od czego zacząć.

W samochodzie, w drodze powrotnej, nie zadała jednak ani jednego. Cal wydawał się nieobecny duchem, ponury. Również ona nie miała nastroju do prowadzenia badań nad przyszłością. Postanowiła zachowywać się normalnie, jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego.

- Chciałbyś pojechać na obiad do miasta? - - zapytała nieoczekiwanie.

- Co takiego?

- Skup się, Hornblower. Czy chciałbyś pojechać do miasta? Nie widziałeś niczego poza moim domem i okolicą. Gdybym ja znalazła się nagle, powiedzmy w osiemnastym wieku, chciałabym jak najwięcej obejrzeć. To nam zajmie najwyżej dwie godziny.

Uśmiechnął się.

- Czy mógłbym poprowadzić?

- Nigdy w życiu. Zatrzymamy się przy domu, wezmę torebkę.

Droga do autostrady, po leśnych wertepach, zajęła im ponad pół godziny. Na głównej drodze Cal zobaczył historyczne pojazdy, które fascynowały go, gdy je oglądał w telewizji. Pędziły z rykiem silników. Pokręcił z uznaniem głową, widząc, jak Libby zręcznie je wyprzedza.

- Mógłbym cię w godzinę nauczyć prowadzenia mikroodrzutowca - zauważył.

Czuła na twarzy wiatr, przepelniało ją szczęście. Na pewno będą razem dziś, może jeszcze dzień lub dwa. Nie chciała zmarnować ani chwili.

- Czy to komplement? - zapytała.

- Aha. Czy nadal używacie benzyny?

- Tak.

- Zadziwiająco.

- Lubisz się wymądrzać, a nie umiałeś nawet uruchomić mojego samochodu.

- W końcu mi się udało. - Dotknął kosmyka jej włosów. - Gdybym był w domu, polecilibyśmy na obiad do Paryża. Byłaś tam kiedyś?

- Nie. - Spróbowała się nie zastanawiać nad urokiem takiej wycieczki. - Musimy się zadowolić pizzą w Oregonie.

- Wspaniale brzmi. Wiesz, najdziwniejsze jest niebo, nic na nim nie ma. - Przejechał koło nich pojazd, z którego wydobywał się jakiś ogłuszający hałas. - Co to takiego?

- Samochód.

- Powiedzmy. Ale co to za ryk?

- Muzyka. Hard rock. - Libby włączyła radio. - To także rock, chociaż nie taki ostry - wyjaśniła.

- Dobrze.

Patrzył na mijane budynki. Schludne domy jednorodzinne, osiedla, centrum handlowe. Gdy zbliżyli się do miasta, natężenie ruchu wzrosło. Cał dostrzegł kanciaste zarysy biurowców i domów mieszkalnych. Ciasno stłoczone, wyznaczały na niebie dziwną, lecz miłą dla oka linię. Przebywali w nich ludzie, toczyło się życie.

Libby zjechała z autostrady i skierowała się do centrum.

- Znam fajną włoską restaurację, bardzo tradycyjną. Czerwone obrusy, świece w butelkach i pizza z pieca na drewno.

Cał skwitował tę informację skinieniem głowy. Patrzył na ludzi na chodnikach. Starszych, młodszych, nijakich, ładnych. Słyszał hałas silników, niekiedy niecierpliwy klakson. Powietrze było tu cieplejsze, przesiąknięte zapachem spalin. Miał wrażenie, że ożyły obrazy ze starych książek.

Libby wjechała na zwirowany parking przy przysadzistym, białym - zielonym budynku, z neonowym napisem „Rocky's” nad wejściem.

- No cóż, to nie Paryż - zauważyła.

- Jest świetnie - odpowiedział, nie przestając się rozglądać. - Wiesz, tu jest trochę tak, jak u H.G. Wellsa.

- To dobrze, że chociaż literatura przetrwała. Jesteś głodny?

- Ja chyba już urodziłem się głodny.

Zmusił się, by odegnać zły nastrój. Skoro Libby potrafi, to ja też, pomyślał.

Wnętrze restauracji okazało się mroczne i niemal puste. W powietrzu unosiły się intensywne zapachy. W rogu stała szafa grająca. Odtwarzała jeden z czterdziestu najmodniejszych przebojów. Libby zaprowadziła Cala do stolika.

- Robią tu naprawdę świetną pizzę - poinformowała. - Jadłeś już coś takiego?

Wskazał palcem butelkę ze świecą.

- Niektórych rzeczy czas się nie ima. Między innymi pizzy.

Podeszła kelnerka, zażywna młoda kobieta w jaskrawoczerwonym fartuchu. Przy podkładkach z mapą Włoch położyła papierowe serwetki.

- Poprosimy jedną dużą - powiedziała Libby, uwzględniając apetyt Cala - z dodatkowym serem i pepperoni. Masz ochotę na piwo? - zwróciła się do towarzysza.

- Aha. - Oderwał kawałek serwetki. Z namysłem zwinął go kciukiem i palcem wskazującym.

- Jedno piwo i jedną dietetyczną colę.

- Dlaczego wszyscy tutaj są na diecie? - zapytał Cal, zanim jeszcze kelnerka się oddaliła.

- Większość reklam dotyczy chudnięcia, zaspokajania pragnienia i utrzymywania czystości.

Libby zignorowała zdziwione spojrzenie kelnerki, która odchodząc, zerknęła jeszcze na nich przez ramię.

- Jak wynika z badań socjologicznych - wyjaśniła - nasza kultura jest zdominowana przez fizyczne aspekty istnienia. Mamy obsesję na punkcie zdrowia i prawidłowego odżywiania się. Liczymy kalorie, ćwiczymy i jemy masę jogurtu. I pizzy - dodała z uśmiechem. - Reklama odzwierciedla styl życia i żeruje na naszych lękach.

- Podoba mi się twoja fizyczność.

- Dziękuję.

- I twoja twarz - dodał z uśmiechem. - I brzmienie twojego głosu, gdy jesteś zakłopotana.

Westchnęła.

- Może lepiej posłuchajmy muzyki?

- Muzyka umilkła.

- Możemy wrzucić monetę.

- Do czego?

- Do szafy grającej. - Wstała z uśmiechem i wyciągnęła rękę. - Chodź, wybierzesz piosenkę.

Cal przyjrzał się kolorowej maszynie, przeczytał tytuły.

- Tę - powiedział. - I tę. I jeszcze tamtą. Jak to działa?

- Przede wszystkim, jeśli nie masz drobnych, musisz rozmienić.

- Dziękuję, na razie mam dosyć zmian.

- Nie zmienić, a rozmienić. Żeby mieć ćwierćdolarówkę. - Chichocząc, pogrzebała w portmonetce. - W dwudziestym trzecim wieku nie używa się monet?

- Nie. - Wziął od niej pieniądze i przyjrzał się mu. - Ale słyszałem o nich.

- My ich często używamy. - Odebrała mu monetę. Wrzuciła ją i jeszcze dwie inne do otworu. - Eklektyczny wybór, Hornblower - zauważyła.

Z szafy popłynęła muzyka.

- Co to jest?

- Ballada.

- Lubisz tańczyć?

- Tak, nieczęsto mam... - Umilkła, gdyż poczuła, że ją obejmuje. - Cal...

- Ciii... - Otarł policzek o jej włosy. - Chcę usłyszeć słowa.

Tańczyli, właściwie tylko się kołysali w takt płynącej z głośników muzyki. W głębi sali matka, która przyszła na pizzę z dwojgiem dzieci, oparła głowę na dłoni i patrzyła na nich z przyjemnością i zazdrością. Za oszklonymi drzwiami kuchni mężczyzna z krzaczastymi wąsami wyrabiał energicznie ciasto.

- To jest smutna piosenka - zauważył Cal.

- Nie. - Z głową na jego ramieniu mogła się tak kołysać w nieskończoność, marzyć. - To o miłości, która przetrwa.

Nagle muzyka ucichła. Po chwili rozległ się dziki, pierwotny wrzask i ogłuszające dudnienie.

- A to?

- To o młodości - wyjaśniła bez przekonania. Zakłopotana, odsunęła się od Cala, dostrzegając przez oszklone drzwi uśmiech kucharza. - Powinniśmy już usiąść.

- Chciałbym jeszcze raz z tobą zatańczyć.

- Kiedy indziej. W takich lokalach zwykle się nie tańczy.

- W porządku. - Wrócili do stolika, na którym stała już cola i piwo. Smak napoju podziałał na Cala kojąco, tak jak na Libby smak płynu z lodówki na statku kosmicznym. - Jak w domu - zauważył.

- Przepraszam, że nie od razu ci uwierzyłam.

- Na początku sam sobie nie wierzyłem. - Naturalnym gestem sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. - Powiedz mi, co tutaj ludzie robią na randce?

- No cóż... - Poczula, że serce zabiło jej żywiej. - Idą do kina albo restauracji.

- Chciałbym cię znów pocałować. Spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę nie sędzę...

- Nie chcesz, żebym cię pocałował?

- Jeśli ona nie chce - kelnerka postawiła przed nimi pizzę - ja kończę pracę o piątej.

Cał uśmiechnął się do niej promiennie. Gdy odeszła, powiedział:

- Jest bardzo miła, ale wolę ciebie.

- Wspaniale. - Cofnęła rękę i zaczęła jeść. - Musisz się ciągle zachowywać tak niezdalnie?

- Chyba tak. Ale wiesz, bardzo cię lubię. - Odczekał chwilę. - Teraz ty powinnaś powiedzieć, że lubisz mnie.

- Zastanawiałam się nad tym. Na pewno lubię cię najbardziej spośród tych ludzi z dwudziestego trzeciego wieku, których poznałam.

- Dobrze i to. Zabierzesz mnie do kina?

- Czemu nie.

- Będzie jak na randce? - Znów wziął ją za rękę.

- Nie. - Oswobodziła dłoń. - Potraktujmy to jako element szkolenia na temat dwudziestego wieku.

Uśmiechał się. Coraz szerzej, coraz bardziej niebezpiecznie.

- W każdym razie zamierzam cię pocałować na dobranoc.



Gdy wrócili do domku, zapadł już zmrok. Libby odczuwała zmęczenie. Otworzyła drzwi i z ulgą rzuciła torebkę na fotel.

- Nie zrobiłem przecież żadnego przedstawienia - upierał się Cal.

- Nie wiem, jak u ciebie nazywają sytuację, w której wyprasza się kogoś z kina. U nas można to określić jako zrobienie z siebie widowiska.

- Wygłosiłem tylko kilka drobnych, celnych uwag o tym filmie. Nie słyszałaś o wolności słowa?

- Hornblower... - Opanowała się szybko. Podeszła do kredensu po brandy. - Nazwanie filmu kupą gwiazdnych odchodów jest nie tyle korzystaniem z prawa do wolności słowa, co niegrzecznością.

Wzruszył ramionami, opadł na kanapę i położył nogi na stoliku.

- Daj spokój, Libby, te bzdury o stworzeniach z Galaktyki najeżdżających Ziemię... Mam kuzyna na Galaktyce. On nie jest krwiożerczy i nie ma żadnych przyssawek na twarzy.

Nie powinnam była go zabierać na tego rodzaju film, zreflektowała się. Ponieważ uznała, że nie jest bez winy, nalała brandy i jemu.

- To fikcja, Hornblower, fantazja.

- Chora wyobraźnia.

- Niech będzie. Ale ludzie w kinie zapłacili, żeby to obejrzeć.

- Nonsens o istotach wysysających z ludzi wodę? I ten skandal z użyciem broni laserowej... Wiesz, jaki tam jest ruch? - Ilu niewinnych ludzi by ucierpiało?

- Nie, nie wiem. - Upiła kolejny łyk brandy.

- Wiesz co, następnym razem obejrzymy western. Przypomnij mi, żebyś cię przypadkiem nie zabrała na „Star Trek”.

- „Star Trek” to klasyka - obruszył się. Zachichotała.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - poprosiła. - Ten cały dzień trochę mnie wytrącił z równowagi.

- Dojdiesz do siebie. - Objął ją. Czuł się dobrze. Blask lampy, brandy, zapach kobiety. Mojej kobiety, pomyślał, choć tylko przez chwilę. - Wiesz - dodał - podoba mi się tu bardziej niż w kinie. Opowiedz mi o Liberty Stone.

- Nie ma dużo do opowiadania.

- Opowiedz. Tak, żebyś mógł to ze sobą zabrać.

- Urodziłam się tutaj, o tym już wiesz.

- Tak, w łóżku, w którym teraz śpię.

- Aha. Moja matka tkala. Koce, kilimy, dywaniki. Sprzedawała je, dzięki czemu mieliśmy dodatkowe dochody. Jedliśmy to, co ojciec wyhodował w ogrodzie.

- Byli ubodzy?

- Nie, byli dziećmi lat sześćdziesiątych.

- Nie rozumiem.

- To trudno wyjaśnić. Chcieli się znaleźć bliżej natury, bliżej siebie. Taki bunt przeciwko instytucjom państwowym, przemocy, ówczesnym stosunkom społecznym. Mieszkaliśmy więc tutaj, a matka wymieniała swe wyroby na potrzebne nam artykuły, czasami je sprzedawała w okolicznych miastach. Kiedyś pewien marszand przyjechał tu z rodziną na wakacje pod namiotem. Obejrzał wyroby mojej matki... - Uśmiechnęła się. - No i tak zaczęła się jej kariera.

- Caroline Stone - powiedział.

- No cóż, tak.

Roześmiał się, dopił brandy i niemal tym samym ruchem, płynnie, sięgnął po butelkę.

- Prace twojej matki są w muzeach. - Nagle zaskoczony uniósł róg koca, na którym siedzieli. - Widziałem to w Smithsonian.

Dolał jej brandy.

- To się robi coraz dziwniejsze. - Upiła łyk. Brandy pogłębiała poczucie nierzeczywistości. - Powinniśmy porozmawiać o tobie. Chcę zrozumieć, mam tyle pytań. - Nie mogła usiedzieć w miejscu. Z kieliszkiem w ręku wstała i zaczęła chodzić po pokoju. - Najdziwniejsze, co przyszło mi na myśl... pamiętam, jak mówiłeś o Filadelfii i Paryżu. Wiesz, co to oznacza?

- Co?

- Że się nam udało. - Uniosła kieliszek, jakby wznosiła toast, potem lekkomyślnie wypiła jego zawartość. - Wszystko to nadal istnieje. Nieważne, że niejednokrotnie ludzkość stawała na krawędzi zagłady. Ważne, że przetrwała. Filadelfia istnieje w przyszłości, Hornblower, to najcudowniejsza rzecz, jaką mogę sobie wyobrazić. - Śmiejąc się, okręciła się wkoło.

- Nie wiem, jak ci podziękować za taką dobrą nowinę.

Samo patrzenie na nią sprawiało, że prawie tracił zmysły. Miała policzki zaczerwienione z podniecenia. Szczupłe ciało poruszało się z niewysłowioną gracją. Pragnienie, by ją osiąść, stało się już jego obsesją.

Ostrożnie wciągnął powietrze w płuca.

- Cieszę się, że mogłem przekazać dobrą nowinę.

- Chciałabym wiedzieć wszystko, absolutnie wszystko. Jak ludzie żyją, co czują. Jak się zalecają, kochają i biorą ślub. W jakie gry grają dzieci? - Nachyliła się, by nalać sobie jeszcze trochę brandy. - Czy na meczach baseballowych nadal sprzedają hot dogi? Czy poniedziałek jest w dalszym ciągu najgorszym dniem tygodnia?

- Musisz zrobić listę. - Chciał, by nadal mówiła, poruszała się, śmiała. - Jeśli nie będę znał jakiejś odpowiedzi, komputer mi pomoże.

- Listę. Oczywiście. Wiem, że są też ważniejsze pytania. Rozbrojenie, pokój, lekarstwo na raka i na przeziębienie. Chciałabym jednak wiedzieć wszystko, także o drobiazgach życia codziennego. - Niecierpliwie odgarnęła włosy z twarzy. Słowa nie nadążały za myślami. - Co chwilę wpada mi do głowy coś nowego.

- Czy ludzie nadal urządzają w niedziele pikniki? Czy uporaliśmy się z głodem i bezdomnością? Czy wszyscy mężczyźni w twoich czasach całują tak jak ty?

Kieliszek znieruchomiał w połowie drogi do ust Cala. Cal odstawił go. Bardzo powoli, bardzo ostrożnie.

- Nie wiem. Wiem tylko, jak całują kobiety.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak szybko mówię.

- Ona również odstawiła kieliszek. - Chyba jestem trochę nabuzowana.

- Jaka?

- Zdenerwowana, podniecona. Zakłopotana. Och, Caleb, zawsze jestem przy tobie zmieszana, nawet przed... przed tym wszystkim.

- No, to mamy remis.

Patrzyła na niego. Nie poruszył się, zobaczyła jednak, że jest spięty.

- Dziwne - zauważyła. - Zwykle nie przyprowadzam nikogo o zmieszanie. Z tobą nic nie idzie tak, jak zakładałam. Chyba jestem tchórzem. Za każdym razem kiedy koło mnie przechodzisz, mam ochotę uciec.

- Zamknęła oczy. - Nieprawda. Zapytałeś mnie kiedyś, czy się ciebie boję. Odpowiedziałam, że nie. To też nie było prawdą. Boję się. Ciebie, siebie samej, tych wszystkich myśli, których nie miałam nigdy przedtem.

- Zaczęła znów chodzić po pokoju. Chwyciła poduszkę, odrzuciła ją. Przesunęła lampę. - Chciałabym wiedzieć, co robić, co mówić. W takich sytuacjach nie mam żadnego doświadczenia. I, cholera, chciałabym, żebyś mnie wreszcie pocałował i przerwał ten chaotyczny słowotok.

- Libby, wiesz, że cię pożądam, nie utrzymywałem tego w tajemnicy. Jednak skoro za kilka dni zniknę z twego świata...

- Właśnie o to chodzi. - Nagle zachciało się jej płakać. - Znikniesz. Nie chcę się zastanawiać, jak mogłoby być. Chcę wiedzieć. Czuję... och, nie wiem, co czuję. Wiem tylko jedno, że chciałabym się dziś z tobą kochać. - Zatrzymała się, wstrząśnięta faktem, że wypowiedziała tę myśl na głos. Zdumiona, że nigdy jeszcze nie powiedziała czegoś równie prawdziwego. Potem nagle się uspokoiła. Była już absolutnie spokojna i absolutnie pewna. - Caleb - powtórzyła - chcę się dziś z tobą kochać.

Wstał. Ręce, które trzymał w kieszeniach, zacisnął w pięści.

- Kilka dni temu to mogło być łatwe. Teraz wszystko się zmieniło. Bardzo mi na tobie zależy, Libby.

- Zależy ci, więc nie chcesz się ze mną kochać?

- Chcę, tak bardzo, że to niemal boli. - Gdy ich spojrzenia się spotkały, miała pewność, że nie skłamał. - Wiem jednak, że wypijaś sporo brandy, a to, co miałoby się zdarzyć, to dla ciebie o wiele za dużo. - Nie ośmielił się jej dotknąć. - Są pewne zasady, Libby.

Czuła, że jest na krawędzi największego przełomu w swoim życiu. Podeszła do niego i wyciągnęła rękę.

- Złam je - zażądała.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Słyszał bicie własnego serca, czuł przepływającą przez tętnice krew. W przyćmionym świetle Libby wyglądała tajemniczo, mimo workowatego swetra niesłychanie erotycznie. Miała zmierzwione włosy, od wiatru i ciągłego ich poprawiania. Mógł sobie wyobrazić, aż zbyt wyraźnie, jak czułby się, gdyby je pogłaskał. Jak wyglądałaby, gdyby zerwał z niej luźne ubranie, odsłonił szczupłe i gorące ciało. Wziął głęboki oddech i spróbował myśleć trzeźwo.

- Libby... staram się myśleć jak mężczyzna, którego mogłabyś zrozumieć, jak ktoś z twoich czasów. Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- Lepiej myśl po prostu jak ty sam. - Chciała zachować spokój, pewność siebie. Na podjęcie takiej decyzji czekała długie lata. Wiedziała już na pewno, czego chce. Odzywały się jednak nerwy, z powodu sytuacji, z powodu podniecenia, jednocześnie zaś głęboko skrywanych wątpliwości co do tego, jak sobie poradzi jako kobieta. - Czas nie zmienia wszystkiego, Caleb.

- Nie.

Wiedział, że mężczyźni musieli mieć podobne odczucia już od zarania ludzkości. Gdy jednak spojrział na Libby, zaczął się obawiać, że to co czuje, wykracza daleko poza pierwotny instynkt. Im bardziej starał się myśleć racjonalnie, tym okazywało się to trudniejsze.

Libby zwalczyła chęć opuszczenia wzroku; patrzyła mu prosto w oczy.

- Nie chcesz mnie? - zapytała.

- Dziesiątki razy wyobrażałem sobie, że się z tobą Kocham.

Zadrzała, obawy się wzmogły.

- Gdzie byliśmy? - indagowała.

- Tutaj. Albo w lesie. Albo tysiące kilometrów stąd, w kosmosie. Koło mojego domu jest staw z krystalicznie czystą wodą, na brzegu kwiaty, które posadził mój ojciec. Tam także widziałem cię ze mną.

Bolało, bardzo, to że mógł wrócić nad staw, który dla niej pozostanie niedostępny. Teraz liczyły się jednak tylko te chwile, kiedy byli razem, kiedy mogli się mieć. Podeszła do niego. Wiedziała, że musi to zrobić pierwsza.

- Pocałuj mnie, Caleb, to dobry początek - poprosiła.

Jak mógłby się oprzeć? Chyba żaden mężczyzna by nie mógł. Widział jej duże, ciemne oczy, lekko rozwarłe usta, oczekujące. Ostrożnie, dotknął ich wargami. Jej słodkie westchnienie

odczuł we wszystkich zakątkach ciała. Poczul pożądanie, dzikie, nie dające się stłumić. Ostatkiem sił spróbował ją odsunąć.

- Libby...

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię uwiodła - szepnęła.

- Nie bardzo wiem, jak to się robi.

Ze zduszonym śmiechem przyciągnął ją do siebie, zatopił twarz w jej włosach.

- Za późno, już to zrobiłaś.

- Tak? - Poczula, że chwycił lekko zębami koniuszek jej ucha. - Nie wiem, co robić dalej - poskarżyła się.

- Co zechcesz - odparł, biorąc ją na rękę.

- Ruszył w kierunku schodów. Chciał ją położyć na łóżku, w którym o niej marzył. W bladym świetle księżycy wyglądała zjawiskowo. Da jej wszystko, na co go stać. Przyjmie wszystko, co od niej dostanie. Czuł, jak narasta w nim rozkosz, jak stopniowo otula jego ciało, warstwa po warstwie. Wkrótce również Libby dowie się, jak to jest.

Rozebrał ją, bardzo powoli. Cieszył go każdy skrawek odkrywanego ciała, smukłe kostki, piękna linia ramion. Widział, jak oczy Libby stają się coraz szersze, coraz bardziej zamglone.

Pocałował ją w rękę.

- Właśnie taką cię widziałem - powiedział cicho. - Nawet kiedy próbowałem uwolnić się od twojego obrazu - dodał.

Myślała, że będzie się czuć niezręcznie, nawet głupio. Teraz leżała naga w świetle księżycy. Czula, że jest piękna, widziała to w oczach Cala.

- A ja chciałam tu być z tobą, nawet wtedy, gdy się (przed tym broniłam.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, żeby go rozebrać.

Chciał być cierpliwy i bardzo delikatny. Wiedział, w odróżnieniu od Libby, że do spełnienia prowadzi mnóstwo różnych ścieżek. Powinna je poznać, by ten pierwszy raz był cudowny. Jej niedoświadczone ręce sprawiły jednak, że zawrzał. Stłumił jęk.

Zesztywniała.

- Czy robię coś źle?

- Nie. - Spróbował się roześmiać, choć trochę uspokoić. - Może nawet za dobrze. - Odsunął się i zrzucił resztę ubrań. - Później poproszę cię, żebyś mnie tak rozebrała. Teraz muszę

się choć trochę kontrolować. Są rzeczy, które pragnę ci pokazać, miejsca, w które chcę cię zabrać. Zaufaj mi.

- Ufam.

Dygotała jednak jak w febrze. Czuła jego ciało, lecz miała wrażenie, że przebywa w ekscytującym śnie. Czuła jego dłonie, ich ciepło. Złączyli usta w pocałunku, długim, zmysłowym. Potem jego dłonie znalazły punkt, jakieś miejsce u podstawy kręgosłupa. Ten dotyk sprawił, że cały świat wokół Libby zawirował.

Cał zdusił ustami jej krzyk. Reakcja jej wyprężonego ciała wprawiła go w zdumienie. Mógł od niej spłonąć, choć czuł, że pożądanie nie jest teraz najważniejsze. Wiedział, że przyjęłaby go z radością, nie chciał jednak kończyć, chciał, by Libby w pełni rozkwitła.

Znalazł w sobie dość sił na zachowanie resztek samokontroli. Pragnął przedłużyć moment rozkoszy. Zdawał sobie sprawę, jak krucha i wrażliwa jest Libby. W świetle księżyca jej uroda nabrała dziwnego, niezemskiego blasku.

Żadna fantazja nie mogła się z tym równać, tym bardziej żadna inna kobieta. Ujął Libby za rękę. Wiedział, że nie znajdzie słów, by wyrazić swe uczucia.

Mógł jednak okazać to w inny sposób.

Na przemian płynęła i pędziła. Potem unosiła się w powietrzu. Kochanie się z nim było miliardem odczuć i smaków, burzą zmysłów, symfonią dźwięków. Dotykała go, czuła, że drży równie mocno, jak ona. Pragnęła myśleć, dogłębnie przeżywać każdą sekundę, mogła jednak tylko doświadczać.

Uniósł ją tak, że teraz klęczeli na środku łóżka, spleceni. Jęknął i zaczął całować jej szyję. Wbiła mu paznokcie w plecy, co go jeszcze bardziej podnieciło. Zamienił się w czyste pożądanie, bardziej dzikie i nieokiełznane, niż mógłby sobie kiedykolwiek wyobrazić. Była otwarta, otwarta dla niego, tylko dla niego. Niemal zemdlał na myśl, że da mu to, czego nie dała nikomu innemu.

Powinien postępować rozważniej, delikatniej. Odsunął się trochę, zmienił mocny uścisk w subtelną pieśczoć. Nachylił się do jej piersi, pieścił je i drażnił.

Była drobna, delikatna. To pomagało wyzwolić czułość, którą pragnął jej okazać. Gdy jednak znów położył ją powoli na łóżku, przyciągnęła go gwałtownie do siebie.

Tak długo na to czekałam... Ta myśl przebiegała jej przez głowę, gdy zaczął się z nią kochać.

Był doświadczony, wiedział, jak przenieść ją z krainy przyjemności do aksamitnej przestrzeni bezgranicznej rozkoszy, zarezerwowanej dla namiętnych kochanków. Ona była niewinna, przyjęła go jednak łatwo, naturalnie. Wszedł w nią, ona zaś zamknęła się wokół niego. Nastąpiło połączenie ciał, serc i czasu.

Chmury. Ciemne, o srebrzystych brzegach. Libby unosiła się na jednej z nich. Chciałaby tak płynąć do końca świata. Ręce ześlizgnęły się z pleców Cala, opadły na prześcieradło. Nie miała siły, by je unieść i znów go objąć. Nie mogła też wydobyć głosu. A chciałaby powiedzieć, żeby się nie ruszał, żeby jej nie zostawiał. Leżał na niej. Zamknęła oczy, wsłuchując się w bicie jego serca.

Jedwab. Jej skóra była jak gorący, pachnący jedwab. Cal wiedział, że nigdy się nie nacieszy ani nie nasyci. Leżał z twarzą zatopioną w jej włosach, czuł, że nie potrafi jej opowiedzieć, jak bardzo go poruszyła. Jak jej powiedzieć, że ta chwila jest lepsza niż powrót do domu, niż szybowanie w przestworzach, które tak ukochał. Jak pogodzić się z faktem, że odnalazł swoją drugą połowę w miejscu i czasie, w którym był obcy?

Nie będzie o tym myślał. Zbliżył usta do jej szyi. Dopóki to możliwe, postara cieszyć się chwilą.

- Jesteś taka piękna. - Zsunął się i uniósł na łokciu, by widzieć jej twarz, bladą w świetle księżyca, rozjaśnioną miłością. W jej oczach dojrzał wspomnienie przeżytej pasji. - Bardzo piękna - dodał i pocałował ją. - Twoje ciało jest nadal gorące. - Zaczął ją głaskać. Była jak pokusa, której nie sposób się oprzeć.

- Chyba już nigdy nie zdołam ochłonać. - Poczwała na nowo przyptyw pożądania. - Caleb... Sprawiasz, że się czuję...

- Jak? Powiedz, jak się czujesz? - dopytywał się.

- Magicznie. Bezradnie. I jakbym była niezwykle silna. Nie wiem...

- Zamierzam znów się z tobą kochać, Libby. - Zgniół jej usta gwałtownym pocałunkiem, który pozbawił ich oboje tchu. - Potem jeszcze i jeszcze, za każdym razem inaczej.

Widziała, że narasta w nim siła. Przeraziłoby ją to, gdyby nie jej własna żądza. Spojrzała mu w oczy, a potem uniosła ręce, by go do siebie przyciągnąć.

Leżeli spleceni w mroku nocy, słuchali szumu drzew poruszanych wiatrem. Miał rację, pomyślała Libby. Za każdym razem było inaczej, choć równie wspaniale. Mogłaby spędzić resztę życia, wspominając tylko tę jedną noc.



- Śpisz?

- Nie.

- Szkoda, mógłbym cię obudzić. Na pewno bym to zrobił. Libby?

- Tak?

- Czegoś mi brakuje.

- Czego?

- Jedzenia.

- Jesteś głodny? Teraz? - Muszę zregenerować siły. Uśmiechnęła się.

- Jak dotąd nie narzekałeś chyba na ich brak.

- Jak dotąd? - Gdy zachichotała, wciągnął ją na siebie. - Ale jeszcze nie skończyłem.

Dlaczego nie miałbym popatrzeć, jak robisz mi kanapkę?

- A zatem, męski szowinizm przetrwał do dwudziestego trzeciego wieku.

- Przecież rano to ja przygotowałem śniadanie. Przypomniała sobie małą, srebrzystą torbę.

- Mniej więcej.

Czy to się wydarzyło rano? - Czy życie może się aż tak zmienić w ciągu kilku godzin - Jej odmieniło się.

- Niech będzie.

Chciała wstać, lecz jej nie pozwolił.

- Najpierw to, co najważniejsze - oświadczył.

Później, Libby założyła z trudem szlafrok. Zastanawiała się, czy podola prostemu zadaniu polegającemu na ukrojeniu chleba i położeniu na nim kilku plasterków wędliny. Cał niemal całkowicie pozbawił ją sił.

Usiadł na krawędzi łóżka, bezwstydnie nagi.

- Masz jakieś ciasteczka, które mógłbym zjeść po kanapce? - zapytał.

- Prawdopodobnie.

Nie chciała na niego patrzeć. Właściwie chciała. Wiedziała, że to głupie, ale zaczerwieniła się. Gdy podszedł do drzwi, obrzuciła go spłoszonym spojrzeniem. Chrząknęła.

- Chyba nie chcesz zejść do kuchni w takim stanie.

- W jakim stanie?

- Bez... musisz coś na siebie włożyć.

Oparł się ręką o futrynę i uśmiechnął. Rumieniec Libby sprawiał mu przyjemność.

- Dlaczego? Przecież już wiesz, jak wyglądam.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

Wskazała kłęb ubrań na podłodze.

- Włóż coś - poprosiła.

- Może być sweter?

- Bardzo zabawne, Hornblower.

- Jesteś wstydliva - stwierdził z zadowoleniem. Gdy ruszył w jej kierunku, porwała z podłogi dzinsy i rzuciła w niego.

- Jeśli chcesz, żebym ci zrobiła kanapkę, musisz okryć pewne swoje... walory.

Nadal się uśmiechając, wciągnął spodnie. Skoro tak, będzie później musiała je ze mnie zdjąć, pomyślał z satysfakcją. Zadowolony z takiego obrotu sprawy ruszył za Libby po schodach.

- Może tymczasem napełniłbyś czajnik? - zasugerowała, otwierając lodówkę.

- Czym?

- Wodą - wyjaśniła z westchnieniem. - Po prostu wodą. Postaw go potem na tej okrągłej płytce i przekręć małą gałkę, która jest niżej. - Wyjęła szynkę, ser i pomidor. - Chcesz musztardę? - zapytała.

- Hmm. - Przyglądał się kuchence. - Jasne. Ludzie w tych czasach muszą mieć ogromne pokłady cierpliwości, uznał, sprawdzając palcem, czy płytka już się nagrzała. Miało to jednak pewne zalety. Jedzenie przygotowywane przez Libby było nieporównywalnie lepsze od tego, do którego był przyzwyczajony. No i dom. Choć jego własny był bardzo wygodny, miło było czuć pod bosymi stopami prawdziwe drewno, patrzeć na płomień w kominku.

No i sama Libby. Tyle że ona nie mogła być kimś zwykłym, nawet w tych dawnych, dziwnych czasach. Była nadzwyczajna, miała wszystko, czego kiedykolwiek szukał w kobiecie. Nagle poczuł ból. Krzyknął i odskoczył od kuchenki.

- Co się stało?

- Nic. Oparzyłem się w palec.

- Nie baw się kuchenką - poradziła i powróciła do kanapek.

Wszystko, czego szukał w kobiecie? To niemożliwe. Przecież nie wiedział, czego pragnie. Skąd mógłby wiedzieć?

Ta myśl go przeraziła. Czyżby, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w fotelu, miał już zakodowany w podświadomości jej obraz? Śmieszne. Przecież nawet jej wtedy nie znał.

Teraz jednak już ją zna.

Nie mógł być w niej zakochany. Patrzył, jak odrzuca włosy z twarzy i czuł, że ogarnia go rozpacz. Miłość? Przecież miłość, wszystko jedno czy w jego czasach, czy w jej, oznacza dom, rodzinę. Całe lata wspólnego życia. A oni byli skazani na rozłąkę...

Gdy woda w czajniku zaczęła wrzeć, odetchnął głęboko. Wszystko wyolbrzymiam, powiedział sobie. Libby jest wspaniała, spędziłem z nią cudowne chwile, może najpiękniejsze dni swego życia. Nie wolno mi jednak zapominać o faktach, ze względu na nią, na siebie, na nas oboje. Moje życie rozpoczęło się dwieście lat po jej życiu.

- Czy coś się stało?

Spojrzał na nią. Trzymała dwa talerze, miała pochyloną głowę. Jak zawsze, gdy o czymś intensywnie myślała.

- Nie. - Uśmiechnął się i wziął od niej talerze.

- Jedz, Hornblower. - Poklepała go po policzku.

- Od razu poczujesz się lepiej.

Chciałby uwierzyć, że to takie proste. Usiadł i patrzył, jak Libby robi herbatę.

To takie naturalne, myślała, jeść z nim kanapki w środku nocy. Tylko ich dwoje w przytulnej kuchni. Księżyc zachodzi, z lasu dobiega pohukiwanie sowy.

- Lepiej? - zapytała, gdy zjadł już połowę kanapki.

- Tak. - Napięcie, które odczuwał, teraz niemal ustąpiło. Wyciągnął nogi, tak że dotykał podbiciem kostki Libby. Taki dotyk działał uspokajająco, jak drzemka w deszczowe popołudnie.

- Jak to się stało - zapytał - że jestem twoim pierwszym mężczyzną?

Niemal się zakrztusiła.

- Ja nie... - kaszlnęła. - Nie wiem, jak odpowiedzieć na takie pytanie.

- Uważasz je za dziwnej - Nachylił się i dotknął jej włosów. - Jesteś taka wrażliwa i atrakcyjna. Mężczyźni musieli cię pożądać.

- Nie... to znaczy... nie wiem. Nie zwracałam na to uwagi.

- Czy czujesz się zakłopotana, gdy mówię, że jesteś atrakcyjna?

- Nie. - Zaczerwieniła się jednak. - Może trochę.

- Na pewno nie jestem pierwszym, który ci to powiedział.

- Jesteś. Nie miałam wielu... towarzyskich kontaktów z mężczyznami. Moje studia... moja praca...

- Co to ma do rzeczy? No i twój charakter. Zabrałaś mnie do domu, opiekowałaś się mną, a przecież byłem dla ciebie kimś obcym.

- Nie zostawia się rannego człowieka na deszczu.

- Ty tak twierdzisz, lecz wiele osób ma chyba odmienne zdanie. Szukałaś mnie podczas burzy, pozwoliłaś mi u siebie mieszkać, chociaż działałem ci na nerwy. Jeśli wrócę do moich czasów, to tylko dzięki tobie.

Wstała, żeby zrobić jeszcze trochę herbaty, na którą wcale nie miała ochoty. Nie chciała myśleć o tym, że Cal ją opuści, choć wiedziała, że to nieuchronne.

- Nie uważam, by udzielenie ci schronienia i zrobienie jajecznicy było czymś nadzwyczajnym. - Uśmiechnęła się. - Jeśli jednak odczuwasz wdzięczność, miło mi.

Powiedziałem coś nie tak? - zastanawiał się. Widział to w jej oczach, nie mógł się jednak zorientować, o co chodzi. Uśmiechała się do niego, lecz jej oczy były smutne.

- Nie chcę cię zranić, Libby - powiedział po chwili zastanowienia.

Jej oczy poweselały, a on poczuł ulgę.

- Wierzę - usłyszał. Usiadła i dołąła im obojgu herbaty. - Co zamierzasz zrobić? - zapytała. - Chodzi mi o twój powrót.

- Ile wiesz o fizyce?

- Tyle co nic.

- Ujmijmy to więc tak, że uruchomię komputer pokładowy. Uszkodzenie jest drobne, więc nie powinno z tym być problemu. Muszę cię poprosić, żebyś znów zawiozła mnie do statku.

- Oczywiście. - Poczwała strach, lecz wzięła się w garść. - Rozumiem, że podczas obliczeń i napraw będziesz tam mieszkał?

Tak byłoby na pewno wygodniej, Cal jednak odpowiedział od razu:

- Miałem nadzieję, że pozwolisz mi zostać tutaj. Na pokładzie jest latający skuter, mogę więc łatwo krążyć pomiędzy statkiem a domem. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie, oczywiście nie. - Odpowiedziała szybko, za szybko. - Jaki latający skuter?

- Jeśli nie uległ zniszczeniu podczas wypadku, sama zobaczysz. Sprawdzimy jutro. Zamierzasz to jeszcze jeść?

- Co? Nie. - Przysunęła mu nadgryzioną kanapkę. To śmieszne, pomyślała, ale nadal od czasu do czasu ogarnia mnie wrażenie, że śnię. - Cal - zaczęła powoli - wydaje mi się, że nie powinnam nikomu mówić ani o tobie, ani o tym, co tu się naprawdę wydarzyło.

- Wolałbym, żebyś z tym poczekała, aż odleczę. - Dokończył kanapkę. - Nie mam jednak nic przeciwko temu, byś o tym opowiadała.

- Fajnie. Powiedz mi, czy w dwudziestym trzecim wieku są jeszcze pokoje bez klamek?

- Pokoje bez klamek? To jakiś żart?

- W pewnym sensie. Nie sądzę, żeby ktokolwiek mi uwierzył.

- Mnie pewnie też nie uwierzą.

Nagle wpadła na pomysł. Może absurdalny, lecz fascynujący.

- Wiesz, mogłabym wszystko opisać, włożyć ten opis do pojemnika razem z jakimiś przedmiotami z mojej epoki i całość zapieczętować. Zakopalibyśmy to, może nad strumieniem. Gdy wrócisz w swoje czasy, odkopiesz pojemnik.

- No tak. - Spodobał mu się ten pomysł. Przecież w ten sposób miałby jakąś pamiątkę od Libby, nawet wtedy, gdy już rozdzielił ich wieki. Potrzebuję tego, uznał. Nie tylko dowodu na możliwość podróżowania w czasie, lecz również dowodu istnienia Libby. - Tak, sprawdzę wszystko w komputerze, żebyśmy nie zakopali pojemnika tam, gdzie powstanie jakiś budynek.

- Świetnie.

Wzięła z półki blok papieru i zaczęła pisać.

- Co robisz? - - zainteresował się.

- Notatki. - Zmrużyła oczy, żałowała, że nie ma okularów. - Musimy wszystko opisać, najpierw ciebie i twój statek. Co tam jeszcze włożymy? - zastanawiała się. - Może gazetę i fotografię. Musimy pojechać do miasta, do zakładu fotograficznego. Albo nie, kupię aparat, polaroid. W ten sposób będziemy mogli zrobić zdjęcia tutaj, w domu i na zewnątrz. Potrzebne są jeszcze jakieś rzeczy osobiste. - Dotknęła złotego łańcuszka na szyi. - Może jakieś sprzęty gospodarstwa domowego?

Zaafelowana, wyglądała bardzo powabnie. Nie mógł się powstrzymać. Wziął ją za rękę, dotknął ustami szyi.

- Cal...

- Tak?

Pocałował ją za uchem.

- Chciałam...

Blok wysunął się z jej dłoni i upadł na podłogę.

- Czego? Dziś możesz mieć wszystko, czego zapragniesz.

- Ciebie - poddała się. Westchnęła, gdy zsunął jej z ramion szlafrok. - Tak, po prostu ciebie.

- To życzenie łatwe do spełnienia.

Miał wiele pomysłów. Chciał sprawić, by kuchnia zaczęła się im kojarzyć już nie tylko z przytulnością. Nagle dostrzegł na twarzy Libby kilka śladów po zadrapaniu.

- Co to jest? - zapytał.

- Co takiego?

- Cholera, nie ogoliłem się dzisiaj. - Zły na siebie pochylił się i pocałował ją w policzek. - Jesteś taka delikatna.

- Nie czułam tego.

Chciała go do siebie przyciągnąć, lecz tylko pocałował jej włosy.

- Najpierw pójde do łazienki i spróbuję użyć tego groźnego narzędzia. Chodź ze mną, przypilnujesz, żebym sobie nie poderżnął gardła.

- Narzędzie? - zapytała, gdy wchodzili na górę. - Nie wiesz, jak działa maszynka do golenia?

- My jesteśmy cywilizowani. Posiadanie narzędzi tortur jest zabronione.

- Tak? - Zgaduję więc, że kobiety nie noszą butów na wysokich obcasach ani obcisłych staników. Nieważne - mruknęła, gdy otworzył usta ze zdziwienia. - To długi temat, teraz nie mamy na to czasu. - Wyjęła z szafki maszynkę i piankę do golenia. - Możesz zaczynać.

- Racja. - Wpatrywał się z przerażeniem w trzymane w ręku przedmioty. Czego mężczyzna nie zrobi dla swojej kobiety, pomyślał. - Co teraz?

- Nigdy sobie nie goliłam twarzy. Wiem jednak, że powinienes nałożyć piankę, a potem przesuwać krawędź maszynki po brodzie i policzkach.

- Pianka do golenia - powtórzył z namysłem. - A więc to nie jest pasta do zębów.

- Nie... - Nie wytrzymała, ze śmiechu zaczęła się niemal zataczać. - Och, Hornblower, ty moje biedactwo. Jesteś rozczulający.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Budziła się powoli, niezadowolona z tego, że światło słoneczne przerywa jej sen. Chciała się poruszyć, lecz nie mogła, gdyż Cal ją obejmował. Więc po prostu wtuliła się w niego jeszcze mocniej.

Nie wiedziała, która godzina. Chyba po raz pierwszy w życiu nie miało to dla niej znaczenia. Rano czy popołudnie, nieważne, grunt, że leży przy nim, są jeszcze razem.

Pogłaskała go czule. Jest rzeczywisty, pomyślała. Do tego, na razie, należy do mnie. Widziała go, nawet gdy zamknęła oczy. Wszystkie rysy twarzy, każdą linię ciała. Czowała, że do niej należy, jak nikt dotąd. Nawet jej rodzice, chociaż bardzo ją kochali, należeli również do siebie, nie tylko do niej. A Sunny... Libby uśmiechnęła się na myśl o siostrze. Choć młodsza od niej o prawie dwa lata, zawsze była niezależna, śmiała, upierała się przy swoim zdaniu w sposób, którego Libby nawet nie próbowała naśladować.

Ale Cal... To prawda, że dopiero pojawił się w jej życiu i że niedługo zniknie. Na razie należał jednak do niej. Jego śmiech, poczucie humoru, jego namiętność... Wszystko to należało teraz do niej. Zachowa wspomnienie swych przeżyć, kiedy jego już nie będzie.

Myślał, że nadal śni, z tym że kształt, zapach i dotyk kobiety były bardzo, bardzo realne. Ciało Libby. Jej imię było pierwszą rzeczą, która przyszła mu na myśl, gdy się obudził.

Nie wiedział, kiedy zasnęli, pamiętał jednak, że gdy po raz ostatni wykrzyknęła jego imię, już świtało. Nie zapomni tego. Pod koniec nocy przestał już pełnić rolę nauczyciela, sam zaczął się uczyć.

Miał do wspomnienia coś więcej niż fizyczną przyjemność. Ufność i cierpliwość, hojność i radość. I to niesamowite uczucie, gdy wiesz, że po przebudzeniu partnerka wciąż przy tobie będzie.

Partnerka, pomyślał. Jego para. Czy sprawił to los, czy przypadek, że musiał podróżować w czasie, żeby ją odnaleźć? Nieważne, później się nad tym zastanowi. Teraz chciał tylko kochać się z Libby w świetle słońca.

Poruszył się i, zanim którekolwiek z nich do końca się obudziło, wszedł w nią. Jęknęła cicho i poszukała ustami jego ust. Poruszali się powoli, pogłębiali namiętny pocałunek.

- Kocham cię.

Usłyszał jej słowa, odpowiedział na nie jak echo.

To wzajemne wyznanie nie wywarło na nich żadnego wrażenia. Zbyt silnie przeżywali ogarniające ich na nowo fale rozkoszy. Ona nigdy nie wypowiedziała tych słów do żadnego mężczyzny, on zaś do żadnej kobiety.

Później, wtulił twarz w jej piersi, lecz już nie usnął. Powiedziała, że go kocha - On odpowiedział to samo? Najbardziej niepokoiło go, że nie był pewien, czy słowa te padły naprawdę, czy podsunęła mu je wyobraźnia.

Nie mógł jej o to zapytać. Nie ośmieliłby się. Każda odpowiedź by go zraniła. Jeśli go nie kochała, to tak, jakby utracił część serca, część duszy. Jeśli natomiast kochała, to rozstanie z nią będzie bolało jak śmierć bliskiej osoby.

Najlepiej dla nas obojga, uznał, będzie cieszyć się chwilą bieżącą. I zapamiętać wszystko, co się zdarzyło. Zamknął oczy. Cokolwiek się z nim stanie, będzie pamiętał.

Ona także. Chciał się upewnić, że zajmie miejsce W jej wspomnieniach.

- Chodź ze mną.

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Dokąd?

- Do łazienki.

- Znowu? - Śmiejąc się, usiłowała chwycić szlafrok, lecz wcześniej pociągnął ją za sobą.

- Nie musisz się teraz golić. - To dobrze.

- Przecież zaciąłeś się tylko trzy czy cztery razy i to z własnej winy. Po co zużyłeś prawie całą piankę do umycia zębów?

Uśmiechnął się.

- Fakt, wolałbym ją rozsmarować na tobie.

- Jeśli masz jakiś pomysł niekonwencjonalnego wykorzystania pasty do zębów...

- Może później. - Uniósł Libby i włożył do wanny. - Na razie zamierzam wziąć prysznic.

Krzyknęła cicho, gdy poczuła zimną wodę. Zanim zdążyła wziąć odwet lub choćby zaprotestować, wszedł do wanny.

Po chwili Libby dostała strumieniem ciepłej wody w twarz, prychnęła, zaczęła głośno krzyczeć. Nagle spostrzegła, że utonęła w długim, gorącym pocałunku. Ta sytuacja stanowiła dla niej nowość. Para w powietrzu, śliska skóra, namydlone dłonie.

Gdy ją wreszcie puścił, a potem owinął ręcznikiem, uginały się pod nią kolana. Równie oszołomiony, oparł czoło o jej czoło.



- Myślę - powiedział - że jeśli chcemy jeszcze coś zrobić, cokolwiek, lepiej wyjdźmy z domu.

- Racja. - Zdziwiła się, że ma jeszcze siłę się roześmiać. - Naturalnie.

Późnym popołudniem stali znów przy statku Cala. Z północy nadciągnęły chmury, przyniosły chłód. Zapinając kurtkę, Libby wmawiała sobie, że wcale nie jest jej zimno. Jednak chłód tkwił w niej samej, nie płynął z zewnątrz.

- Patrzę na to, wiem, że to naprawdę istnieje, a nadal nie mogę zrozumieć.

Cal skinął głową. Opuścił go dobry nastrój.

- Mam to samo wrażenie, kiedy patrzę na twój dom. - Czuł ból w skroniach, spowodowany prawdopodobnie napięciem. - Nie chcę cię dłużej zatrzymywać, wiem, że masz dużo pracy. Mogłabyś jednak poczekać, aż sprawdzę skuter?

- Tak. - Miała nadzieję, że zatrzyma ją na cały dzień. Żeby ukryć rozczarowanie, uśmiechnęła się do niego. - Właściwie chciałabym go zobaczyć.

- Zaraz wracam.

Otworzył luk i zniknął w środku pojazdu.

Wkrótce zrobi to samo, tylko że potem już nie wróci, pomyślała Libby. Musiała się na to przygotować. Dziwne, rano wydawało się jej, że Cal wyznał jej miłość. Nie, to nie mogło wydarzyć się naprawdę. Nie mógł tego powiedzieć. Nie zakochał się w niej tak głęboko, tak nieprzytomnie, jak ona w nim.

Tak, kochała go i chciała zrobić wszystko co w jej mocy, żeby mu pomóc. Przeżyła piękny dzień, potem najwspanialszą noc swego życia. Uśmiechając się, spojrzała na zachmurzone niebo. Wieczorem spadnie deszcz, pomyślała. Nie szkodzi.

Gdy usłyszała niski, metaliczny pomruk, spojrzała znów na statek. Otworzył się inny luk, towarowy, uznała po chwili namysłu. Westchnęła na widok Cala, który wyjechał na małym skuterze o opływowych kształtach. Pojazd unosił się dwadzieścia centymetrów nad ziemią i wydawał dziwny szum, nie jak zwykły skuter czy motocykl. Miał dwa koła i siodełko, lecz właściwie przypominał wygiętą ku górze rurę zakończoną kierownicą.

Cal podjechał do niej z fasonem. Zatrzymał skuter i wskazał go dumnie, jak dziesięciolatek demonstrujący nowy rower.

- Chcesz się przejechać?

Spojrzała nieufnie na małe wskaźniki i guziczki na tablicy pod kierownicą. Całość wyglądała jak zabawka.

- Nie wiem.

- Chodź, Libby. - Pragnął, by dzieliła z nim przyjemność jazdy. - Spodoba ci się. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Spojrzała na niego, na skuter unoszący się nad pokrywającym ziemię igliwem. Wprawdzie maszyna była mała, lecz wąskie, czarne siodło wydawało się wystarczająco szerokie dla dwóch osób. Korpus błyszczał metalicznym błękitem. Wygląda nieszkodliwie, uznała po chwili. Nie wiedziała tylko, jak coś tak małego może mieć tyle mocy. Wzruszyła ramionami i usiadła za Calem.

- Trzymaj się - rzucił, głównie dlatego, że chciał poczuć jej ciało.

Siła wibracji przestraszyła ją, choć wiedziała, że to głupie. Cal również wyglądał na początku nieszkodliwie, przypomniała sobie.

- Hornblower, czy nie powinniśmy mieć kasków albo...

Słowa utonęły w hałasie, gdy przyspieszył.

Mogła krzyknąć, lecz zamiast tego zacisnęła powieki i chwyciła Cala tak mocno, że się roześmiał. Czuł, jak bije jej serce, tak szybko i mocno, jak w nocy. Zręcznie okrążył statek, potem ruszył wzdłuż zbocza.

Prędkość. Zawsze ją lubił. Czuł, jak powietrze omiata mu twarz, i przyspieszył jeszcze bardziej. Wzywało go niebo, jego pierwsza i niezmienna miłość. Oparł się jednak pragnieniu wzbicia się wyżej z obawy, że przestraszy Libby. Leciał więc przez las, omijał drzewa, przeskakiwał nad skałami i strumieniami. Spłoszył jakiegoś ptaka, który odleciał, protestując głośnym krakaniem. Cal poczuł, że Libby trzyma się go już mniej kurczowo, że oderwała twarz od jego pleców.

- No i co o tym myślisz? - zapytał triumfalnie. Już prawie mogła odetchnąć. Otworzyła ostrożnie jedno oko. Przełknęła ślinę.

- Myślę, że z pewnością cię zamorduję. Gdy tylko się zatrzymasz.

- Rozluźnij się.

Skręcił ostro w prawo, potem w lewo, żeby ominąć kępę drzew.

Łatwo powiedzieć, pomyślała. Kolejne spojrzenie upewniło ją, że lecą dwa metry nad ziemią. Chciała już twardo zażądać, żeby się zatrzymał, lecz wtedy nagle zrozumiała... Leciała.

Nie w wielkim samolocie kilometry nad ziemią, lecz swobodnie, lekko. Czują wiatr na twarzy, we włosach, chłoneła zapachy przedwiośnia. Żadnego ryku silnika, który by przeszkadzał. Latali po lesie jak ptaki.

Gdy skuter zawisł w powietrzu, Cal odwrócił się - spojrzał na Libby.

- Chcesz żebym opadł na ziemię? - zapytał.

- Nie, lećmy w górę.

Roześmiała się i odrzuciła głowę. Czują już, że niebo może fascynować.

Odwrócił się i pocałował ją.

- Jak wysoko?

- A jak można?

- Nie wiem, ale chyba nie powinniśmy próbować. Jeśli wzlecimy nad drzewa, ktoś może nas zobaczyć.

Miał rację, oczywiście. Odgarnęła włosy z twarzy, zastanawiając się, dlaczego przy Calu zawsze traci rozsądek.

- No, to do wierzchołków drzew. Tylko raz - poprosiła.

Czuł, że go obejmuje.

Nigdy tego nie zapomni. Nieważne, ile razy będzie tak jeszcze latał. Ilekroć wzniesie się nad ziemię, przypomni sobie Libby. Śmiała się, a ten dźwięk pieścił jego uszy. Żałował tylko, że nie widział jej twarzy, gdy się wznosili. To było jak kochanie się z nią, czyste i radosne.

Poskromił chęć poszybowania wysoko, zatrzymał się na wysokości kilkunastu metrów. W dole widzieli cienki strumyczek i mały wodospad zasilany teraz roztopami. Słońce przebiło się przez chmury, połyskiwało wśród drzew.

Przez chwilę wpatrywali się w niebo, wypowiadali życzenia...

Potem Cal zwolnił i zaczęli opadać, lekko i bezgłośnie. Libby czuła, jak wiatr igra w jej włosach. Pomyślała o Piotrusiu Panu i czarodziejskim pyle. Wreszcie osiedli na ziemi koło statku.

- W porządku.

Gdy się do niej odwrócił, Libby poczuła, że chłód znikł.

- Wspaniale, mogłabym tak latać przez cały dzień. Wziął ją za rękę.

- Cieszę się, że ci się podobało.

Już po wszystkim, pomyślała Libby, czując pod stopami twardy grunt. Miała jednak jeszcze jedno wspaniałe wspomnienie.

- Podobało? Kocham to! Nie będę cię nawet pytać, jak to działa. Wątpię, czy bym zrozumiała, no i wiedza zepsułaby mi przyjemność. - Trzymając go za rękę, spojrzała na statek. Jej uczucia wobec tego pojazdu były trudne do zdefiniowania. Statek przywiózł jej Cala, teraz go zabierze. - No dobrze, zabieraj się do pracy.

Cal toczył ze sobą wewnętrzną walkę.

- Wrócę mniej więcej o zmroku.

- Dobrze. - Puściła go, włożyła rękę do kieszeni. Trafisz?

- Jestem dobrym nawigatorem.

- Oczywiście. - Ptaki, które wystraszyli, zaczęły znów śpiewać. Czas mijał. - No cóż, chyba już pojedę.

Widział, że Libby się ociąga, on sam zresztą też. To głupie, powiedział sobie. Spotkamy się za kilka godzin.

- Mogłabyś ze mną zostać - szepnął - ale wtedy chyba niewiele bym zdziałał.

Odczuwała pokusę, by zapomnieć o zdrowym rozsądku. Mogłaby wejść z Calem do statku, odwracać jego uwagę, trzymać go z daleka od komputera... przedłużyć wszystko, choćby o kilka godzin. To nie byłoby w porządku, zreflektowała się.

- Ja także powinnam się wreszcie zabrać do pracy - oświadczyła.

- Dobrze. - Pocałował ją - W takim razie do zobaczenia wieczorem.

Stał w otwartym luku, patrzył, jak Libby odjeżdża. Gdy jednak dotarła do szczytu wzniesienia, by wkrótce za nim zniknąć, nie odwróciła się.

Libby poświęciła większość dnia na opisywanie zdarzeń ostatniego tygodnia. Wyjaśniając, w jaki sposób Cal się tu znalazł, cytowała jego słowa, jego teorię. Dodawała do tego własne spostrzeżenia. Potem odtworzyła wszystkie wydarzenia od czasu, gdy zobaczyła na niebie błysk, do momentu pozostawienia Cala przy statku.

Ta część pracy była najprostsza, zwykły opis faktów. Libby miała doskonałą pamięć. Wiedziała, że gdy zostanie sama, okaże się to zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem. Na razie jednak przywołała na pomoc cały swój obiektywizm i sumiennie relacjonowała fakty, tak jak w swej pracy doktorskiej.

Gdy skończyła, przeczytała całość dwukrotnie, wprowadzając poprawki i uzupełnienia. Umiała pisać sprawozdania. Gdy Cal będzie relacjonował zdarzenia naukowcom swych czasów, może skorzysta z jej spostrzeżeń i wniosków.

To była fantastyczna opowieść, fantastyczna w dosłownym znaczeniu. Możliwe, że w czasach Cala zabrzmiałoby to równie nieprawdopodobnie. Jak zareagują ludzie, gdy opowie im swoją przygodę? - Przypadkowy odkrywca, pomyślała z uśmiechem. No cóż, Kolumb odkrył Nowy Świat, gdy chciał dotrzeć do Indii.

Spodobała się jej myśl, że potraktują go jak bohatera, że jego nazwisko trafi do szkolnych podręczników.

Wygląda zresztą jak bohater, pomyślała. Wysoki i silny, z bandażem na głowie i policzkami pokrytymi zarostem. Potem się ogolił, dla mnie, przypomniała sobie z zadowoleniem.

A może był zwykłym człowiekiem swych czasów, kimś, kto wykonuje swą pracę jak inni, narzeka, kiedy musi wstąpić wcześnie, czasem pije zbyt dużo albo zapomina o rachunkach. Nie jest bogaczem, pomyślała. Caleb Hornblower to zwykły człowiek, który przypadkiem został kimś nadzwyczajnym.

Dla niej nie będzie nigdy zwykłym mężczyzną. Będzie tym jedynym.

Czy uda się jej pokochać kogoś innego? - Nie, pomyślała z przekonaniem, bez cienia wątpliwości. Odda się pracy i wspomnieniom. Na pewno już się nie zakocha. Zawsze, już od dziecka wierzyła, że jest jej pisany tylko jeden mężczyzna. Może dlatego łatwo jej przychodziło unikanie romansów, koncentrowanie się na pracy. Nie lubiła popełniać błędów. Uśmiechnęła się. Tak, błędów wystrzegała się jak ognia. W życiu osobistym i w pracy. To dlatego studiowała wszystko tak dogłębnie, rozważała wszystkie za i przeciw.

Oplaciło się, pomyślała z uśmiechem. Zamknęła plik, otworzyła inny, zawierający kolejny rozdział jej pracy. Jak na swój wiek osiągnęła bardzo dużo, lecz nie zamierzała osiadać na laurach.

Długo czekała na pierwszego mężczyznę, jednak oplaciło się. Miłość do Cala nie jest błędem. Zadowolona, poprawiła okulary na nosie i zagłębiła się w pracy.

Znalazł ją kilka godzin później, bez reszty pochłoniętą pisaniem. Na biurku stała zapalona lampka, światło padało na dłoń Libby.

Silne i zręczne, pomyślał. Chyba po matce artystce. Smukłe palce, krótko obcięte paznokcie bez śladu lakieru. Dostrzegł bladą bliznę u podstawy kciuka, którą zauważył już wcześniej. Chciał zapytać, skąd się wzięła.

Był zmęczony, nie fizycznie, a psychicznie. Teraz jednak, na widok Libby, ożywił się.

Gdy pracował, udawało mu się jakoś o niej nie myśleć. Dzięki temu osiągnął pewne postępy. Nie wiedział jednak na pewno, co powinien zrobić, by wrócić do domu. Ważył szanse, kalkulował ryzyko. Teraz, gdy patrzył na Libby, nałożyła się na to myśl o tym, co przyjdzie mu poświęcić.

Znał ją od niedawna. Musiał, koniecznie musiał sobie o tym przypominać. Jego życie nie upływało tutaj, z nią. Miał własny dom, tożsamość. Miał rodzinę, którą kochał bardziej, niż to sobie dotąd uświadamiał. Miał pracę.

Stał i patrzył na Libby. Mijały minuty, chłonał każdy jej oddech, każdy gest. Sposób, w jaki odrzuciła włosy na szyję, w jaki palce znieruchomiały, gdy przestała pisać. Kiedy wreszcie wypowiedział jej imię, w jego głosie brzmiało napięcie.

- Libby.

Zaskoczona odwróciła się szybko i spojrzała na niego. Z tyłu, za Calem, w korytarzu panowała już ciemność. Widziała tylko jego sylwetkę, gdy stał oparty niedbale o framugę. Poczucie miłości niemal ją dławiło.

- Och, nie słyszałam, jak wchodziłeś.

- To dlatego, że jesteś pochłonięta pracą.

- Chyba tak. - Dostrzegła jego spojrzenie i zmarszczyła brwi. - Co u ciebie? - Wszystko dobrze?

- Tak.

- Wyglądasz na zmartwionego. Coś się nie udało?

- Nie. - Poglaskał ją po twarzy, spojrzał łagodniej.

- Nie.

- Obliczenia?

- W trakcie. - Ma jedwabistą skórę, pomyślał.

- W gruncie rzeczy osiągnąłem większy postęp, niż się spodziewałem.

Wydało się mu, że dostrzegł w jej oczach jakiś cień. Głos Libby zabrzmiał jednak żywo i zachęcająco.

- To dobrze. Wróciłeś skuterem?

- Aha, zostawiłem go za szopą.

No jasne, pomyślała, trudno, żeby nim wjechał tu, na górę. Chciała poprosić, by znów zabrał ją na przejażdżkę, teraz, gdy wschodził księżyc. Wzmógł się wiatr, co zwiastowało nadejście deszczu. Byłoby cudownie. Cal wyglądał jednak na zmęczonego i zmartwionego.

- Na pewno po tym wszystkim jesteś głodny.

- Rozejrzała się, jakby przedtem nie zdawała sobie sprawy z ciemności. - Nie wiedziałam, że zrobiło się tak późno. Zejdę na dół i coś przyrządzę.

- To może poczekać. - Wziął ją za rękę i pociągnął, by wstała. - Zejdziemy później i razem coś przygotujemy. Podobasz mi się w okularach.

Roześmiała się i sięgnęła, by je zdjąć. Chwycił jej rękę, tak że teraz trzymał już obie.

- Nie, nie zdejmuj. - Nachylił się i pocałował ją. Lekko, jakby na próbę. Smakowała tak samo. Dzięki Bogu. Napięcie ustąpiło. - W okularach wyglądasz... mądrze i poważnie.

Choć serce już biło jej szybciej, uśmiechnęła się spokojnie.

- Bo jestem mądra i poważna.

- Tak, pewnie. Twój wygląd sprawia, że chciałbym się przekonać, czy zawsze zachowujesz się rozważnie.

Całował ją tak, że niemal straciła oddech.

- Libby?

- Tak?

- Co możesz mi opowiedzieć o czarownikach z Nowej Gwinei?

- Nic. - Przyłgnęła do niego, cicho jęknęła. - W ogóle nic. Całuj mnie, Caleb.

- Przecież to robię.

- Dotykaj mnie.

- Dobrze.

Doprowadzał ją do granic wytrzymałości samym tylko dotykiem dłoni. Potem zaczął ją rozbierać. Zdjął flanelową koszulę, dzinsy.

Zacząła mu zdejmować sweter. Dziwiło ją że pożądanie może się zaostrzać, rosnać, by wreszcie przewyższyć to, które czuła za pierwszym razem. Teraz wiedziała już, co może jej ofiarować Cal. Wodziła rękoma po jego plecach, oddychała coraz szybciej. Chciała się z nim kochać, rozpaczliwie.

Bardzo szybko się uczy, pomyślał Cal. Dotyk jej dłoni, z pozoru niewinny, rozgrzewał go do białości. Chciał poprosić, by dała mu przez chwilę odetchnąć, pozwoliła odzyskać samokontrolę. Było już jednak za późno, o wiele za późno.

Opadli na łóżko.

Teraz wszystko przebiegało inaczej. Żadnych delikatnych, drażniących zmysły ruchów. Gwałtowność, desperacki bieg ku spełnieniu. Przetaczali się po łóżku, zatapiaли w sobie coraz głębiej. Całowali się, nie czuli, że wbijają sobie paznokcie głęboko w skórę.

Chmury się zagęściły, rozpętała się burza. Libby czuła, jak przyroda niemal niewolniczo naśladuje to, co dzieje się w sypialni. Pioruny i ulewny deszcz współgrały z dziką namiętnością kochanków.

Zobaczył jej oczy, ciemnozłote, jak stara moneta. Uniosła się nad nim, wygięła ciało w łuk, błyskawica otoczyła jej włosy poświata.

Pomyślał, że umarłby dla niej. Pomyślał, że bez niej umrze. Przyjęła go, całkowicie, do końca. W tej samej chwili chwycili się za ręce.

Od tego momentu przestał myśleć.

Trzymał ją mocno, jeszcze długo potem, gdy wyczerpani opadli na pościel. Próbował sobie przypomnieć, co zrobił, co ona zrobiła, jednak pamiętał jedynie wszechogarniającą rozkosz, w której rozmyły się poszczególne ruchy, zachowania. Bał się, że może ją skrzywdził, że teraz, gdy ochłonęła, odepchnie go, że zlekceważy to, co do niej czuł.

- Libby? - Nie odpowiedziała, tylko mocniej się do niego przytuliła. - Przepraszam.

Otworzyła oczy. Nawet ten drobny ruch okazał się niemal ponad siły. Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Postanowiła je po prostu zignorować.

- Tak.

- Tak. Nie wiem, co mi się stało. Nigdy jeszcze nie potraktowałem żadnej kobiety tak brutalnie.

- Nie?

Nie mógł zobaczyć uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz.

- Nie. - Ostrożnie uniósł jej głowę. - Chciałem wszystko zrobić dla ciebie, ale... - Zobaczył błysk w jej oczach. Nie łez, śmiechu. - Uśmiechasz się - stwierdził niemal z oburzeniem.

- Jak... jak jeszcze bardziej mógłbyś to zrobić dla mnie? - zainteresowała się.



- Myślałem, że cię bolało, że jakoś cię skrzywdziłem. - Obrócił ją na plecy i przyjrzał się jej twarzy. Nadal się uśmiechała. Jej oczy pociemniały, kryła się w nich jakaś odwieczna tajemnica, niedostępna mężczyznom. - Widzę, że nie... - zakończył nieporadnie.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Przeciągnęła się jak kotka w promieniach słońca.  
- Co jeszcze możesz mi zaoferować?

- No cóż... - Spojrzał na zmiętą pościel, potem na podłogę. Podniósł okulary, które w pewnym momencie tam spadły. Uśmiechnął się.

- Załóż je, to ci pokażę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Libby siedziała nad drugą filiżanką kawy. Nie chciało się jej wstać i zabrać do pracy. Zastanawiała się, czy trudności ze skupieniem się przy komputerze mają coś wspólnego z tym, że się zakochała. Również Cal nie kwapił się do wyjścia, wyraźnie zwlekał. Siedział naprzeciw niej, zjadając powoli resztki jej śniadania, choć skończył już swoje, znacznie większe.

Chodzi o coś więcej, pomyślała nagle. Znów, jak poprzedniego dnia, wydawał się zasepiony. W nocy i rano dwukrotnie próbował jej coś powiedzieć, była tego pewna. Coś, obawiała się, czego nie chciałyby usłyszeć.

Pragnęła znaleźć jakiś sposób, żeby go pocieszyć, ułatwić powrót do domu. Miłość, pomyślała z westchnieniem, potrafi człowieka oglupić.

Deszcz padał przez całą noc. Teraz od czasu do czasu pokazywało się słońce, choć chmury wciąż zasnuwały niebo, a przy gruncie wiły się smugi mgły. Dobry dzień na gnuśne spędzenie czasu, pomyślała. Spacery po lesie, leniwe kochanie się w ciepłym łóżku. Takie nastawienie nie pomoże Calowi w powrocie do domu, zmitygowała się.

- Chyba powinieneś się już zbierać - zauważyła tonem dalekim od entuzjazmu.

- Aha. - Wolałby zostać w domu, ignorować rzeczywistość. Wstał jednak, pocałował Libby na pożegnanie i ruszył w kierunku drzwi. Gdy je otworzył, usłyszeli śpiew ptaków. - Chyba po południu zrobię sobie przerwę, może wpadnę na obiad. Mam już trochę dość tego jedzenia ze statku.

Wolałaby, żeby powiedział, że chce ją zobaczyć, dobre jednak i to.

- W porządku. - Dzień wydał się jej piękniejszy. - Jeśli nie zastaniesz mnie w kuchni, to znaczy, że pracuję na górze.

Taki normalny ranek, pomyślała Libby, zamykając za Calem drzwi. Pocałunek, plany dotyczące wspólnego obiadu. To dobrze, uznała, że w tej zwariowanej sytuacji nie brak takich momentów.

Pracowała do popołudnia, wypila za dużo kawy. Nie chciała wyciągać żadnych wniosków z faktu, że rano Cal wydawał się cichy, zamyślony. Oboje mieli zbyt dużo na głowie. Zresztą, przypomniała sobie, Cal niedługo wróci. Uznała, że czas przygotować coś do zjedzenia. Zaległości w pracy nadrobi z łatwością, gdy jego już nie będzie. Gdy zeszła na dół, usłyszała, że pod dom zajeżdża samochód.

Goście? Tutaj nigdy nikt nie przyjeżdżał. Zdziwiona i zaniepokojona otworzyła drzwi.

- Och, mój Boże! - Zdziwieniu towarzyszyła teraz i radość przemieszana z przerażeniem.

- Mamo! Tato! Wyszli z małej, poobijanej półciężarówki.

- Liberty.

Caroline Stone przywitała córkę gardłowym śmiechem i teatralnym rozchyleniem ramion. Podobnie jak Libby, miała na sobie dzinsy i wyciągnięty sweter, tyle że piękny, własnej roboty. Miała też dwa czarne kolczyki - w tym samym uchu - i błyszczący naszyjnik z turmalinów.

Libby pocałowała ją w policzek.

- Mamo! Co tu robicie?

- Ja w każdym razie kiedyś tu mieszkałam - przypomniała Caroline.

William stał z tyłu, uśmiechał się. Widział, dwie z trzech najważniejszych kobiet swego życia. Choć należały do różnych pokoleń, zauważył z dumą, że jego żona wygląda na niewiele starszą od córki. Były do siebie dość podobne i często brano je za siostry.

- A ja? - - zapytał. Uściskał Libby i pocałował ją w policzek. - Moja dziecina. Naukowiec.

- I mój tata, dyrektor. Obruszył się tylko trochę.

Libby przyglądała się mu z uśmiechem. Włosy, zbyt ' długie jak na człowieka interesu, zaczęły siwe pasma, podobnie jak brodę. Pielęgnacją włosów i brody zajmował się teraz fryzjer z francuskim akcentem i to była właściwie jedyna różnica. William Stone pozostał tym, kim był.

Wysoki wzrost, długie nogi i ręce sprawiały, że wyglądał trochę nieporadnie. Miał szczupłą twarz, nieco zapadnięte policzki. Do tego szare oczy o szczerym spojrzeniu.

- A więc? - Libby okręciła się z wdziękiem. - Jak mnie widzicie?

- Nie najgorzej. - Objął ramieniem Caroline. - Wykonaliśmy niezłą robotę przy pierwszej dwójce, Caro.

- Dwójce? - zdziwiła się Libby.

- Ty i Sunbeam, kochanie. - Wyjaśniła Caroline, podchodząc do samochodu. - Może wniesiemy do domu zapasy?

- Ale ja.. - Libby przygryzła wargę. Patrzyła, jak rodzice wyciągają bagaże. Dużo pakunków. Zostaną tu zatem dłużej. Musi im... coś powiedzieć. Wzięła od ojca dwie ciężkie, brązowe torby. - Chciałam... chyba powinnam wam powiedzieć, że nie jestem sama.

- To miło - odparł obojętnym tonem William, wyciągając kolejną torbę. Zastanawiał się, czy jego żona znalazła chipsy, które schował ukradkiem pod innymi produktami. Oczywiście, pomyślał, zawsze wszystko znajduje. - Lubimy poznawać twoich przyjaciół, dziecino.

- Tak, wiem, ale tym razem...

- Caro, zostaw tę torbę, jest zbyt ciężka.

- Tato. - Nie widząc innego wyjścia, zagroziła ojcu drogę. Usłyszała, że matka wraca po następną porcję bagaży. - Naprawdę powinnam to wyjaśnić. - Ale co? Jak? \_ myślała w panice.

- Słucham cię, Libby. - Odstawił pakunki. - To chyba tofu - zauważył.

- Chodzi o Caleba.

To wreszcie przykuło jego uwagę.

Caleba?

- Hornblowera. Caleb Hornblower. On jest... tutaj - brnęła - ze mną.

William uniósł lekko brew.

- Doprawdy?

Człowiek, o którym była mowa, zaparkował skuter za szopą i ruszył w kierunku domu. Dlaczego nie zrobić sobie po południu przerwy? - myślał. Zresztą, komputer ciężko pracuje niezależnie od mojej obecności. Przeprowadziłem już większość poważniejszych napraw. Za dzień, najwyżej dwa statek będzie gotów do lotu.

Cal chciał spędzić trochę więcej czasu z piękną, ekscytującą kobietą i uważał, że ma do tego prawo. Nie jestem w niej zakochany, dodał szybko w myślach. Aha, a Słońce krąży wokół Ziemi, zaszydził.

Zaklął pod nosem i wszedł przez otwarte tylne drzwi. Już sam widok Libby sprawił, że się uśmiechnął. Zwłaszcza widok wypiętego zgrabnego tyłeczka, gdy pochylona dziewczyna szukała czegoś w lodówce. Rozradowany podszedł cicho, żeby ją zaskoczyć, niespodziewanie chwycić z tyłu za biodra.

Zrealizował ten zamiar ze słowami:

- Sam nie wiem, z której strony lubię cię najbardziej, kochanie.

- Caleb!

Okrzyku nie wydała zaskoczona kobieta, którą złapał za pupę. Dobiegł go od drzwi kuchni. Caleb zobaczył Libby, która, obładowana papierowymi torbami, właśnie zastygła w progu. Obok niej stał wysoki mężczyzna spoglądający na niego z wyraźnym niesmakiem.

Caleb powoli odwrócił głowę. Jego wzrok padł na bardzo atrakcyjną, choć nieco starsza od Libby kobietę. No, niezupełnie tego się spodziewał.

- Dzień dobry - przywitał się z uśmiechem. - Jesteś przyjaciółką Libby?

- Tak. - Patrzyła na niego ze szczerym zdumieniem. - Muszę być.

- Może odsunąłby się pan od mojej żony - zainteresował William - tak żeby mogła zamknąć lodówkę.

- Przepraszam. - Szybko zrobił krok w tył. - Myślałem, że to Libby.

- Czy ma pan w zwyczaj u chwytać moją córkę za...

- Tato - przerwała mu Libby, rzucając torby na stół. Niezbyt obiecujący początek, pomyślała. - To jest Caleb Hornblower. On... chwilowo tu mieszka. Cal, to moi rodzice, William i Caroline Stone.

Wspaniale. Cal poczuł się, jakby ktoś przed chwilą zdzielił go w głowę wyjątkowo ciężkim przedmiotem. Postanowił jednak robić dobrą minę do złej gry.

- Miło mi państwa poznać. - Uznał, że najbezpieczniej będzie włożyć ręce do kieszeni. - Libby jest do pani bardzo podobna.

- Tak, już mi to mówiono. - Caroline uśmiechnęła się do niego. - Choć nigdy w taki bezpośredni sposób. - Chciała mu pomóc wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Wyciągnęła do niego rękę. - Will, postaw wreszcie te torby i przywitaj się z przyjacielem Libby - zakomenderowała.

William przyjrzał się mężczyźnie. Przystojny, silny, spokojne spojrzenie. Czas pokaże, co to za jeden, uznał.

- Pan Hornblower prawda ?

William zauważył z zadowoleniem, że uścisk dłoni gościa Libby jest zdecydowany i mocny.

- Tak. - Nikt nie przyglądał się mu tak uważnie od czasu, gdy przyjmowano go do MSK.

- Chyba powinienem ponownie przeprosić ?

- Raz wystarczy - odparł William, choć bez przekonania.

- Właśnie miałam robić obiad - poinformowała Libby, uznając, że warto zmienić temat.

- Dobra myśl. - Caroline wyjęła z torby kalafior. Przy okazji znalazła frytki i słoik parówek, przeschumowane przez męża. - Z tym, że ja się tym zajmę. William, pomożesz mi?

- Ale ja...

- Zrób herbatę.

- Uwielbiam herbatę! - wykrzyknęła Libby, wiedząc, że tym można zawsze rozbroić ojca.

Wzięła Cala za rękę. - Zaraz wracamy - poinformowała.

Gdy weszli do saloniku, zapytała:

- Co zrobimy?

- Z czym?

Westchnęła zniecierpliwiona, ciągnąc go w stronę kominka.

- Muszę im przecież coś powiedzieć, a trudno żebym wyjaśniła, że przyleciałeś statkiem kosmicznym z dwudziestego trzeciego wieku.

- No tak.

- A nigdy im nie skłamałam. Nie mogłabym.

Podszedł i ujął ją pod brodę.

- Opuszczenie kilku szczegółów nie jest właściwie kłamstwem.

- Szczegółów? Takich jak statek kosmiczny?

- Tak, to jeden z nich.

Zamknęła oczy. Na pewno będzie się z tego śmiała, tyle że za pięć, dziesięć lat.

- Hornblower, sytuacja jest już wystarczająco niezręczna, nawet bez opowiadania o takich fantastycznych, jakby wyspanych z palca wydarzeniach.

- Jaka sytuacja?

Nie miała już do niego siły.

- To moi rodzice - wyjaśniła - ich dom, a ty i ja jesteśmy...

Wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Kochankami - uzupełnił.

- Czy mógłbyś mówić ciszej? Położył ręce na jej ramionach.

- Libby, oni przecież wiedzą. Po tym, jak przed chwilą potraktowałem twoją matkę...

- A co do tego...

- Myślałem, że to ty.

- Wiem. A jednak...

- Libby, zorientowałem się, że nie przywitałem twoich rodziców w najbardziej tradycyjny sposób. Chyba jednak z całej czwórki to ja byłem najbardziej zaskoczony.

Zachichotała.

- Chyba tak.

- Na pewno. Powinniśmy więc po prostu zrobić następny krok.

- Jaki?

- Obiad.

- Hornblower. - Z westchnieniem oparła głowę o jego pierś. Niestety, to także w nim lubiła, tę zdolność do cieszenia się najprostszymi przyjemnościami.

- Chciałabym, żeby wreszcie do ciebie dotarło, że sytuacja jest bardzo delikatna. Co zrobimy? - Chwilę odczekała. - Jeśli zapytasz „z czym?”, to cię palnę.

- Mocno powiedziane. Proponuję więc natychmiast przystąpić do działania.

Pocałował ją, mocno, głęboko. Poddała się temu. Usłyszała wymowne kasznięcie. Odskoczyła od Cala, odwróciła się i spojrzała na ojca.

- Ach...

- Twoja matka mówi, że jedzenie gotowe. William jeszcze raz zmierzył wzrokiem Cala i wycofał się do kuchni.

- Chyba się do mnie przyzwyczajają - mruknął Caleb.

W kuchni William spojrzał ponuro na żonę.

- Ten facet zawsze trzyma ręce na jednej z moich kobiet.

- Jednej z twoich kobiet - powtórzyła Caroline i roześmiała się. - Uwierz mi, Will - podrzuciła głową, aż zadźwięczały kolczyki - on ma bardzo miłe ręce.

- Szukasz kłopotów? - zapytał z groźną miną i przyciągnął ją do siebie.

- Zawsze. - Pocałowała go, mocno i prowokacyjnie, potem odwróciła się do drzwi. - Wejdźcie, siadajcie - poprosiła, uśmiechając się równie promiennie, jak Cal. - Właśnie zrobiłam sałatkę.

Na utkanym przez siebie obrusie ustawiła cztery miseczki. Na środku stołu, w wielkiej salaterce piętrzyła się sałatka z jarzyn i ziół, z zadziwiającym dodatkiem zielonych bananów oraz pszenicznych grzanek.

- A więc, Cal - Caroline przysunęła mu miskę - jesteś naukowcem?

- Nie, jestem pilotem - odpowiedział w tym samym momencie, w którym Libby rzuciła pospiesznie:

- Jest kierowcą ciężarówki.

- Chodzi o przewóz towarów - wyjaśnił Cal, nakładając sobie sałatkę. - Libby żartuje, że jestem jakby kierowcą podniebnej ciężarówki.

- Latasz?

William bębnił długimi, chudymi palcami w blat stołu.

- Tak. Zawsze o tym marzyłem.

- To fascynujące. - Caroline nachyliła się do niego nad stołem. - Sunbeam, nasza druga córka, jest na kursie pilotażu. Może mógłbyś udzielić jej kilku porad.

- Sunny ciągle kończy jakieś kursy - wyjaśniła Libby. - Jest dobra we wszystkim. Nauczyła się już skakać ze spadochronem i uznała, że nadszedł czas na latanie samolotem.

- Pewnie. - Cal spojrzał na Caroline. Caroline Stone, pomyślał nie po raz pierwszy, dwudziestowieczny geniusz. Cal mógłby równie dobrze jeść obiad z Van Goghkiem lub Wolterem. - Świetna sałatka, pani Stone.

- Mów mi Caroline, dziękuję.

Spojrzała na męża. Wiedziała, że wolałby parówki z frytkami i zimne piwo. Przez ponad dwadzieścia lat nie udało się jej zmienić jego upodobań kulinarnych. To nie znaczyło, że przestała próbować.

- Uważam, że prawidłowe odżywianie wpływa dobrze również na umysł - zaczęła. - Niedawno czytałam, że odpowiednia dieta i ćwiczenia to istotne czynniki w walce o przedłużenie życia. Gdyby ludzie o sobie dbali, mogliby żyć średnio ponad sto lat.

Libby zauważyła wyraz twarzy Cala, toteż szybko kopnęła go w kostkę. Chyba nie zamierzał poinformować zebranych, że w jego stuleciu średnia długość życia ludzkiego dawno przekroczyła sto lat...

- Co to za przyjemność żyć tak długo, jedząc wyłącznie liście? - zapytał retorycznie William, potem jednak napotkał spojrzenie żony. - Nie mówiłem o tych - poprawił się szybko. - Te są bardzo dobre.

- Możesz w nagrodę zjeść coś słodkiego na deser. - Caroline nachyliła się i pocałowała go w policzek. Gdy znów podsunęła Calowi miskę, błysnęło sześć pierścieni, które miała na obu dłoniach. - Chcesz jeszcze? - zapytała.

- Tak, dziękuję. - Nabrał drugą porcję. Jego apetyt nie przestawał zdumiewać Libby. - Podziwiam pani dzieła, pani Stone.

- Naprawdę? - Takie pochwały nadal sprawiały jej przyjemność. - Ma pan jakąś moją pracę?

- Nie, dla mnie są niedostępne - odparł, przypominając sobie pancerne szyby w muzeum.



- Skąd pochodzisz, Hornblower? Cal spojrział na ojca Libby.

- Z Filadelfii.

- Twoja praca musi się wiązać z częstymi podróżami.

Cal nawet nie się starał ukryć uśmiechu.

- Bardziej, niż może pan to sobie wyobrazić.

- Masz rodzinę?

- Tak, rodziców i młodszego brata. Są nadal, na Wschodzie.

Wbrew sobie William poczuł do chłopaka sympatię. Chodziło o coś w jego oczach, głosie, gdy mówił o swej rodzinie.

Co za dużo, to niezdrowo, pomyślała Libby. Odsunęła miskę, naląła sobie herbatę z dzbanka i spojrzała na ojca.

- Jeśli masz pod ręką formularz, Cal może go wypełnić. Poznasz również jego datę urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego.

- Mamy humory, co?

- Ja? - obruszyła się.

- Nie przepraszaaj. - Will poklepał jej dłoń. - Każdy ma jakieś wady. Powiedz mi, Cal, którą partię popierasz?

- Tato!

- Żartowałem. - Wyciągnął rękę i przyciągnął Libby, która po chwili usiadła mu na kolanach. - Ona się tu urodziła, chyba wiesz.

- Tak, powiedziała mi.

Cal patrzył na Libby, która zarzuciła ojcu rękę na szyję.

Bawiła się nago przed domem, gdy pracowałem w ogrodzie.

Libby roześmiała się, choć zaczęła udawać, że dusi ojca.

- Potwór.

- Czy mogę go zapytać, co sądzi o Dylanie? Pokręciła głową.

- Nie.

- Bob Dylan czy Dylan Thomas? - zapytał Cal.

- Obaj - zdecydował się Will.

- Dylan Thomas był świetny, ale przygnębiający. Wolę czytać Boba Dylana.

- Czytać?

- Teksty, tato - interweniowała Libby - teksty piosenek. Teraz, gdy znamy już opinię Cala, może mi powiesz, co tu robisz? Zazwyczaj o tej porze doprowadzasz do szaleństwa zarząd swojej spółki.

- Chciałem odwiedzić moją małą dziewczynkę. Pocałowała go w policzek, gdyż wiedziała, że to prawda, przynajmniej częściowo.

- Widzieliśmy się niedawno, gdy wróciłam z wyprawy. Spróbuj czegoś innego.

- Chciałem też, żeby Caro odetchnęła trochę świeżym powietrzem. - Spojrzał zalotnie na żonę. - Uznaliśmy oboje, że skoro ta okolica już dwukrotnie okazała się szczęśliwa, spróbujemy po raz trzeci.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że tutejszy klimat wpłynie korzystnie na stan twojej matki.

- Stan? - Jesteś chora? - Libby zerwała się na nogi i chwyciła Caroline za rękę. - Co się stało?

- Will nie wyraził się jasno. Chciał powiedzieć, że jestem w ciąży.

- W ciąży? - Libby poczuła, że uginają się pod nią kolana. - Ale jak...?

- I ona twierdzi, że jest naukowcem - mruknął Cal, czym zasłużył na pierwsze przychylnie spojrzenie Williama.

- Ale... - Zbyt oszołomiona, by zareagować na uwagę Cala, przerzuciła spojrzenie z matki na ojca, potem znów na matkę. Byli młodzi, niedawno przekroczyli czterdziestkę, w pełni sił. Wiedziała, że dziecko w tym wieku nie jest niczym niezwykłym. Ale to w końcu jej rodzice... - Będziecie mieli dziecko - wykrztusiła. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Spróbuj pogratulować - podsunął jej Will.

- Nie. Tak. To znaczy, muszę usiąść.

Usiadła na podłodze, między ich krzesłami. Uznała, że to nie wystarczy i wzięła trzy głębokie oddechy.

- Jak się czujesz? - zapytała Caroline.

- Jestem trochę skołowana. - Spojrzała na matkę. - A ty?

- Jak osiemnastolatka, z tym, że wybiłam Willowi z głowy pomysł osobistego odebrania porodu tutaj, w domku, tak jak było z tobą i Sunny.

- Kobiety nie przywiązują już wagi do ideałów z lat sześćdziesiątych - poskarżył się Will, choć gdy Caroline uparła się przy porodzie w szpitalu, odczuł jednak ulgę. - Jak podoba ci się nowina, Libby?

Uniosła się na kolana, by ich uściskać.

- Chyba powinniśmy to uczcić.

- Już o tym pomyślałem. - William wstał, podszedł do lodówki i wyjął butelkę. - Sok jabłkowy z bąbelkami - wyjaśnił.

Korek wystrzelił tak donośnie, jak z butelki szampana. Wznosili toasty za siebie, za dziecko, nieobecną Sunny, za przeszłość i przyszłość. To także się nie zmieniło, pomyślał Cal. Radość z poczęcia i narodzin dziecka.

Sam nigdy jeszcze nie myślał na serio o założeniu rodziny. Sądził, że we właściwym czasie i z właściwą kobietą wszystko samo się ułoży. Teraz wyobraził sobie, jak by to było, gdyby on i Libby świętowali poczęcie ich dziecka.

Niebezpieczne myśli, nierealne. Miał najwyżej kilka dni, a rodzinie trzeba poświęcić całe życie. Widok rodziców Libby przypominał mu jego matkę i ojca. Czy patrzą w niebo, zastanawiając się, gdzie się podziewa ich syn, co się z nim stało - Gdyby chociaż mógł dać im znać, że jest cały i zdrowy.

- Cal?

- Co? - Przepraszam.

- Powiedziałaś, że powinniśmy rozpalić ogień.

- Jasne.

- Bardzo lubię siedzieć przy ogniu. - Caroline wzięła Williama pod rękę. - Tak się cieszę, że spędzimy tu jedną noc.

- Noc? - - powtórzyła Libby.

- Wpadliśmy tylko po drodze do Carmel - odpowiedziała Caroline. Decyzję podjęła przed chwilą. Znacząco ścisnęła rękę męża, zanim zdążył się odezwać. - Marzyłam o wyprawie wzdłuż wybrzeża.

- Tak naprawdę to marzyła o hamburgerze - odezwał się William. - Wtedy właśnie zorientowałem się, że jest w ciąży.

- Mnie, ciężarnej, należy się popołudniowa drzemka - oświadczyła Caroline, uśmiechając się do męża.

- Może mnie odprowadzisz?

- Chyba ja też się prześpię. - Objął ją ramieniem. Gdy wyszli z saloniku i ruszyli po schodach na górę, zapytał: - Carmel Dlaczego właśnie tam?

- Dlatego, że tutaj z pewnością brak miejsca dla czworga, tępaku.

- Może, ale nadal nie wiem, czy mi się podoba, że Libby z nim jest.

- Jej się to podoba.

Gdy weszli do sypialni, Caroline ogarnęły wspomnienia. Spędzonych tu nocy i ranków. Kochali się w tym łóżku, kłócili o politykę, obmyślali sposoby ocalenia świata i chronienia ludzkości przed nią samą. Śmiała się tu, płakała. Tu rodziła dzieci. Usiadła na krawędzi łóżka i pogładziła pościel.

Will podszedł do okna.

Uśmiechnęła się do jego pleców. Przypomniała go sobie, gdy miał osiemnaście lat. Był jeszcze chudszy, miał głowę pełną ideałów i wspaniały charakter. Właściwie niewiele się zmienił. Zawsze oboje kochali ten dom. Najpierw sami byli dziećmi, potem mieli dzieci. Choć z czasem ich sytuacja życiowa radykalnie się zmieniła, nigdy nie zatracili poczucia przynależności do tego miejsca. Nie zapomnieli, kim są i kim byli. Rozumiała Willa, słyszała jego myśli, jakby rozbrzmiewały w jej własnej głowie.

- Pilot, samolot transportowy - mruknął Will. - I co to u diabła za nazwisko? Hornblower... W nim jest coś dziwnego, Caro. Nie wiem co, ale coś się nie zgadza.

- Nie ufasz Liberty?

- Ufam, oczywiście. - Odwrócił się obrażony. - Chodzi o niego. Jemu nie ufam.

- Skądś to znam. Aha, to samo powiedział kiedyś mój ojciec o tobie.

- Nie znał się na ludziach.

- Mężczyźni na ogół przeżywają takie rozterki, gdy ich córki dokonują wyboru partnera życiowego. Pamiętam, jak tłumaczyłeś mojemu ojcu, że ja sama wiem najlepiej, z kim będę szczęśliwa. Kiedy to było? Wtedy gdy wyrzucił cię po raz pierwszy z domu? - A może po raz drugi.

- Chyba przy obu tych okazjach. - Musiał się uśmiechnąć. - Powiedział, że za sześć miesięcy ode mnie odejdiesz, a ja skończę, sprzedając stokrotki na rogu ulicy. Wykiwaliśmy go, prawda?

- To było prawie dwadzieścia pięć lat temu.

- Nieważne. Naprawdę cię nie niepokoi, że oni są tutaj razem'?

- To znaczy, że są kochankami?

- Tak. To w końcu nasze dziecko.

- Pamiętam, jak mi kiedyś wyjaśniałeś, że uprawianie miłości jest najbardziej naturalnym wyrazem uczuć i zaufania pomiędzy dwojgiem ludzi. Mówiłeś, i że ograniczenia dotyczące seksu powinny zostać zniesione, jeśli chcemy, by na świecie zapanował pokój, a stosunki międzyludzkie opierały się na dobrej woli.

- Nie pamiętam.

- Na pewno pamiętasz. Byliśmy wtedy na tylnym siedzeniu twojego volkswagena. Oddychaliśmy tak gwałtownie, że zaparowały wszystkie szyby.

Uśmiechnął się.

- To znaczy, że cię przekonałem.

- Tak, ale dlatego, że już wcześniej cię wybrałam. Byłeś pierwszym mężczyzną, w którym się zakochałam, Will, wiedziałam więc, że nie robię nic złego. Ten facet na dole jest pierwszą miłością Libby. Ona sama wie, co jest słuszne. - William chciał się sprzeciwić, lecz nie dopuściła go do głosu. - Wychowaliśmy córki tak, by szły za głosem serca. Czy według ciebie popełniliśmy błąd?

- Nie. - Poglaskał ją po twarzy. - Ale jeszcze możemy popełnić.

- On ma łagodne oczy - powiedziała cicho. - Gdy na nią patrzy, widać w nich jego serce.

- Zawsze byłaś przesadnie romantyczna. Dlatego właśnie cię usidliłem.

- I masz mnie nadal.

- Racja. - Bawił się rąbkiem jej swetra. Wiedział, jak łatwo mógłby go jej ściągnąć przez głowę.

- Tak naprawdę to nie chcesz jeszcze spać, prawda - - zapytał.

Roześmiała się i pociągnęła go na łóżko.

- To takie dziwne. - Libby usiadła na trawie nad strumieniem. - Pomyśleć tylko, że moi rodzice będą mieli jeszcze jedno dziecko. Wyglądają na szczęśliwych, prawda?

- Bardzo. - Cal usadowił się obok niej. - Z wyjątkiem tych chwil, w których twój ojciec patrzy na mnie spode łba.

Zaśmiała się i oparła głowę na jego ramieniu.

- Przepraszam. On jest na ogół bardzo przyjacielski.

- Wierzę ci na słowo.

Bawił się źdźbłem trawy. To, czy ojciec Libby go akceptował, nie miało właściwie znaczenia. Wkrótce zniknę z ich życia, pomyślał ponuro.

Podobało się jej tutaj, nad omywającą kamienie wodą. W długiej, miękkiej trawie rosły małe niebieskie kwiatki. W lecie zakwitnie naparstnica. Wysokości człowieka, zwiesi nad strumieniem fioletowe lub białe dzwonki. Będą też lilie i orliki. O zmierzchu jeleń przyjdzie napić się wody, może też zjawi się niedźwiedź, by zapolować na ryby.

Nie chciała myśleć o lecie. Postanowiła cieszyć się chwilą bieżącą, błękitnym niebem i balsamicznym powietrzem. W lesie harcowały wiewiórki. Jej i Sunny udawało się czasami karmić niektóre z ręki.

Gdziekolwiek się znalazła, na odległej wyspie czy też na pustyni, zawsze z rozczuleniem wspominała dzieciństwo.

- To będzie bardzo szczęśliwe dziecko - powiedziała. Uśmiechnęła się nagle. - Pomyśleć tylko, po tylu latach może będę miała braciszka.

Caleb pomyślał o swoim bracie Jacobie.

- Ja zawsze chciałem mieć siostrę - poinformował.

- To bywa wygodne, ale siostra byłaby na pewno ładniejsza od ciebie.

Przewrócił ją na trawę.

- Szkoda, że nie poznałem twojej siostry, Sunbeam. Auu! - krzyknął, gdy Libby go uszczypnęła.

- Skoncentruj się na mnie. Przyglądał się jej przez chwilę.

- Później będę musiał na jakiś czas pojechać do statku.

Starła się nie okazać smutku. Tak dobrze byłoby udawać, że nie ma żadnego statku ani żadnego później.

- Nie zdążyłam zapytać, jak ci idzie? Dobrze, pomyślał. To znaczy, za szybko.

- Okaze się, kiedy sprawdzę, co zrobił komputer. Czy możesz przeprosić rodziców, gdybym nie wrócił, zanim się obudzą?

- Powiem, że wybrałeś się na medytację. Ojciec będzie zachwycony.

- Dobrze. A więc wieczorem, przed wyjazdem, skoncentruję się na tobie.

- Raczej rzeczywiście pomedytujesz. Dzisiaj śpisz na kanapie.

- W takim razie... Osunął się na nią.

W nocy, gdy ogień przygasł, a dom pogrążył się w ciszy, Cal siedział samotnie w saloniku, całkowicie ubrany. Wiedział już, jak wrócić. Wiedział przynajmniej, jak się tu dostał i jak odwrócić ten proces.

Dokona jeszcze kilku napraw, właściwie niepotrzebnych, i będzie gotów do drogi. Technicznie, nie emocjonalnie. Jeszcze nigdy nie dręczyły go tak sprzeczne uczucia.

Jeśli Libby poprosi, by został... Boże, jeśli to zrobi, przechyli szalę. Ona jednak nie poprosi, pomyślał. Ja też nie mogę prosić, żeby wyruszyła ze mną.

Może kiedy wróci, kiedy przywiezie do swojego świata nowe dane, naukowcy opracują jakąś bezpieczniejszą metodę podróżowania w czasie. Może będzie mógł tu wrócić?

Patrzył na ogień. Nie ma co marzyć. Libby odważnie stawia czoło faktom, on też powinien to zrobić.

Myślał, że usłyszał na schodach jej kroki. Okazało się jednak, że to William.

- Kłopoty z zaśnięciem? - zapytał ojciec Libby.

- Aha. Pan też nie może zasnąć?

- Nie, po prostu lubię ten dom w nocy. - Ponieważ kochał córkę, postanowił się zmusić jeśli nie do przyjacielskiego, to przynajmniej do poprawnego zachowania. - Cisza, ciemność. - Podszedł do kominka i wrzucił nowe polano do ognia. - Nie myślałem, że będę mieszkał gdziekolwiek indziej.

- A ja nie wyobrażałem sobie nawet życia w takim miejscu i tego, jak trudno będzie mi stąd wyjechać.

- Do Filadelfii długa droga.

- Bardzo długa.

William usłyszał w głosie Cala smutek. Wyjął z szafki brandy i dwa kieliszki.

- Napijesz się?

- Aha, dziękuję.

William usiadł w fotelu i wyciągnął nogi.

- Siedziałem tu dawniej po nocach i zastanawiałem się nad sensem życia.

- Znalazł go pan?

- Niekiedy znajdowałem, niekiedy nie.

Wszystko było prostsze, kiedy jedynej troski przysparzał mu pokój światowy i sprawiedliwość społeczna. Teraz zbliżył się do średniego wieku, chociaż jeszcze niedawno to

wydawało się bardzo odległe. Przypomnił sobie, jak był młody, znacznie młodszy od siedzącego naprzeciw gościa. Miał głowę w chmurach i był zakochany.

- Kochacie się z Libby? - zapytał nagle.

- Sam sobie zadawałem to pytanie.

William wypił łyk brandy. Spodobała mu się ta odpowiedź, świadcząca o rozterkach i poważnym stosunku do związku z Libby.

- I znalazłeś odpowiedź?

- Tak, niewygodną. William skinął głową.

- Zanim poznałem Caro, chciałem wstąpić do Korpusu Pokoju albo do tybetańskiego klasztoru. Właśnie ukończyła liceum. Jej ojciec zamierzał mnie zastrzelić.

Cal uśmiechnął się, spróbował brandy.

- Dziś po południu był taki moment, kiedy cieszyłem się, że nie ma pan broni.

- Jestem pacyfistą, taka myśl tylko przemknęła mi przez głowę - zapewnił William. - A ojciec Caro długo nosił się z takim zamiarem. Nie mogę się doczekać, kiedy mu powiem, że Caro jest znów w ciąży.

- Libby ma nadzieję na braciszka.

- Powiedziała to? - Uśmiechnął się. - To moja pierworodna. Każde dziecko to cud, ale pierwsze...

- Libby jest cudem. Odmieniła moje życie. William spojrzał na niego ostrzej. Hornblower może nie wiedzieć, czy się z Libby kochają, lecz trudno mieć co do tego wątpliwości, pomyślał.

- Caro bardzo cię lubi - poinformował. - Umie jakoś zaglądać ludziom w duszę. Ja chcę tylko powiedzieć, że Libby nie jest taka silna, na jaką wygląda. Uważaj na nią.

Wstał, żeby nie zacząć prawić kazań.

- Prześpij się trochę - poradził. - Caro będzie rano hałasowała, przygotowując ciastka z pszenicy albo potrawę z jogurtu i kiwi. - Powiedział to z żalem. Zawsze wołał jajecznicę na bekonie. - Zdobyłeś u niej punkty, pochłaniając dziś tę sałatkę.

- Była doskonała.

- Nic dziwnego, że Caro tak bardzo cię lubi. - Zatrzymał się u podnóża schodów. - Wiesz, mam taki sam sweter jak ty.

- Naprawdę? - Cal nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Jaki ten świat jest mały.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Wiedziałam, że wcześniej wstaniesz. Libby wyszła przed dom do matki.

- Nie tak wcześnie - westchnęła Caroline zła na siebie, że przegapiła wschód słońca. -  
Ostatnio długo się zwlekam z łóżka.

- Masz poranne mdłości?

- Nie. - Matka z uśmiechem objęła Libby. - Chyba cała trójka moich dzieci postanowiła mi tego zaoszczędzić. Podziękowałam ci już kiedyś za to?

- Nie.

- No cóż, podziękuję teraz. - Pocałowała Libby w policzek, dostrzegła cienie pod jej oczami. - Przejdziemy się? - zapytała.

- Tak, chętnie. Ruszyły wolnym krokiem. Wszystko jest takie samo, myślała Libby. Drzewa, niebo, cichy teraz dom. A przecież tyle się zmieniło. Oparła na chwilę głowę na ramieniu matki.

- Pamiętasz, jak dawniej tak spacerowałyśmy, ty, Sunny i ja?

- Pamiętam spacerować z tobą. - Zaśmiała się, gdy weszły do chłodnego, zielonego tunelu z gałęzi. - Sunny nigdy nie spacerowała. Gdy tylko nauczyła się stać, zawsze gdzieś pędziła. Spacerować mogłyśmy my obie, tak jak teraz.

A jakie będzie to nowe dziecko - - zastanowiła się Caroline z dreszczem oczekiwania.

- Zbierałyśmy kwiaty albo jagody, żeby tata myślał, że robiłyśmy coś pożytecznego.

- Chyba obaj nasi mężczyźni dzisiaj trochę zaspali. - Libby nie odpowiedziała. Caroline poczekała, aż jej uwaga przestanie brzmieć jak pytanie, straci na znaczeniu. W poszyciu szeleściły jakieś małe zwierzątka, w powietrzu śpiewały ptaki. - Lubię twojego przyjaciela, Libby - dodała.

- Cieszę się. Chciałam, żebyś go polubiła. Pochyliła się i zerwała gałązkę. Idąc, obdzierała ją z kory. Caroline doskonale wiedziała, że takie zachowanie córki jest objawem zdenerwowania. Sunny natychmiast wyraziłaby je w jakiś gwałtowny sposób, ale Libby, jej cicha, rozsądna Libby, ukrywała takie uczucia przed innymi.

- Ważniejsze, żebyś ty go lubiła.

- Lubię, bardzo. - Libby zorientowała się nagle, co robi i odrzuciła gałązkę. - Jest zabawny i silny. Chwile, które z nim tu spędziłam, były cudowne. Nawet nie przypuszczałam, że poznam kogoś, przy kim będę się tak dobrze czuć.

- Ale nie uśmiechasz się, gdy to mówisz. - Caroline wzięła córkę pod brodę. - Dlaczego?

- Te... te chwile... one się skończą.

- Nie rozumiem. Dlaczego? Skoro go kochasz...

- Kocham - przyznała cicho. - Bardzo go kocham.

- A zatem?

Libby wzięła głęboki oddech. To niemożliwe do wyjaśnienia, pomyślała.

- On musi wrócić, do swojej rodziny.

- Do Filadelfii?

- Tak. - Uśmiechnęła się słabo. - Do Filadelfii.

- Nie rozumiem, co to ma do... - Caroline urwała, położyła dłoń na ramieniu córki. - Och, dziecino, on ma żonę?

- Nie. - Roześmiałyby się, zobaczyła jednak w oczach matki głęboką troskę. - Nie, nic z tych rzeczy. Caleb nigdy by tak nie postąpił. To bardzo trudno wyjaśnić, ale mogę ci powiedzieć, że już od początku wiedzieliśmy, jak to będzie. Cal wróci tam, gdzie jest jego miejsce, a ja... ja muszę tu zostać.

- Kilka tysięcy kilometrów nie ma znaczenia, jeśli dwoje ludzi chce być razem.

- Niekiedy... odległość jest znacznie większa, niż się wydaje. Nie martw się. - Pocałowała ją w policzek. - Mogę uczciwie powiedzieć, że nie zamieniłabym czasu spędzonego z Calebem na nic innego. Gdy byłam mała, w domu wisiał plakat z takim napisem. Pamiętasz? Jeśli coś masz, pozwól temu odejść. Jeśli nie wróci, nie było naprawdę twoje.

- Nigdy mi się nie podobał ten plakat. Tym razem Libby się roześmiała.

- Zerwijmy trochę kwiatów.

Kilka godzin później Libby patrzyła, jak odjeżdżają. Ojciec za kierownicą, matka machała ręką, dopóki domek nie zniknął jej z oczu.

- Lubię twoich rodziców.

Odwróciła się do Cala, objęła go za szyję.

- Oni też cię lubią. Pocałował ją szybko.

- Twoja matka może tak.

- Ojciec również.

- Gdybym miał rok czy dwa, pewnie udałoby mi się sprawić, że wreszcie by mnie polubił.

- Dziś już na ciebie nie naskakiwał.

- Rzeczywiście. Może tylko trochę się bocył. Co zamierzasz im powiedzieć?

- O czym?

- O tym, dlaczego się rozstaliśmy.

- Powiem, że musiałeś pojechać do domu. Postarała się, by odpowiedź zabrzmiała lekko i obojętnie. Tak obojętnie, że Cal niemal zaklął.

- Tak po prostu?

Teraz głos jej już trochę zadrżał.

- Nie będą mi prawić kazań. Najlepiej, jeśli powiem prawdę.

- To znaczyć?

Czy rzeczywiście chciał to utrudnić? Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Sprawy się nie ułożyły, ty wróciłeś do swojego życia, a ja do swojego.

- Aha, tak chyba będzie najlepiej. Bez zamieszania, bez żalu.

Zirytowana włożyła ręce do kieszeni.

- Masz jakiś lepszy pomysł.

- Nie. Twój jest za to po prostu znakomity. - Odsunął się od niej, zły na siebie i zły na nią. - Muszę polecieć do statku.

- Wiem. Ja chyba pojedę do miasta. Kupię aparat i parę innych rzeczy. Jeśli wrócę wystarczająco wcześnie, przyjadę sprawdzić, jak ci idzie.

- Doskonale.

Choroba, to nie może być dla niej takie łatwe, skoro ja jestem właściwie rozdarty na pół, pomyślał. Zanim zdążył tego pożałować, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Mocno, niemal brutalnie.

Libby starała się nie stracić panowania nad sobą. Nie mogła, nie chciała dać mu tego, czego żądał. Chciał jej bezwarunkowej kapitulacji. Nigdy o to nie prosił, nie przypuszczała też, że będzie się tego tak zdecydowanie domagał.

Czuła jego ręce, przesuwające się władczo po jej ciele. Powinna zaprotestować. Czuła coś, co ją naprawdę przerażało, czego wcale nie pragnęła. Pocałunek odebrała jak karę, do tego bardzo dotkliwą.

- Caleb... - zaczęła, chwytając oddech, gdy wreszcie ją puścił.

- Powinno ci to dać do myślenia. Po tych słowach odwrócił się.

Oślupiała, patrzyła, jak odchodzi. Przycisnęła dłoń do warg. Gdy uspokoiła już oddech, dał o sobie znać jej charakter. W porządku, pomyśli o tym. Wpadła do domu, z hukiem zatrzaskała za sobą drzwi. Wkrótce potem równie energicznie wyszła i wsiadła do landrowera.

Wszystko przebiegało doskonale. Caleb był wściekły. Jeśli chodzi o kwestie techniczne, mógł wystartować w ciągu dwudziestu czterech godzin. Statek był już właściwie gotowy do drogi, w odróżnieniu od pilota. O to właśnie chodziło.

Ona jest z pewnością przygotowana na pożegnanie, pomyślał, spawając drobne rozdarcie wewnętrznej powłoki. Teraz prawdopodobnie jest w mieście. Kupuje aparat, żeby zrobić kilka pamiątkowych zdjęć, zanim pomacha mi na pożegnanie. Wyłączył laser i sprawdził spaw.

Dlaczego ona jest w tej sprawie taka praktyczna?

Bo w ogóle jest praktyczna, odpowiedział sobie, zdejmując ochronną maskę. Między innymi to właśnie mu się w niej podobało. Praktyczna, ciepła, inteligentna, nieśmiała. Pamiętał, jak wyglądały jej oczy, kiedy powiedział po raz pierwszy, że jej pragnie. Takie duże i przelężnione...

A gdy jej dotknął, zadrżała. Była miękka, tak niewiarygodnie miękka. Zaklął, umieścił laser w schowku na narzędzia, wrzucił tam maskę i zatrzaskał pokrywę. Nie mógł sobie wyobrazić mężczyzny, który oparłby się tym oczom, skórze albo pełnym, zmysłowym ustom.

To tylko pogarsza sprawę, przyznał, przeszukując statek. Może Libby wcześniej nie zwracała na to uwagi, może zagłębiła się za bardzo w swoich książkach i badaniach. Pewnego dnia ta zasłona opadnie, Libby rozejrzy się wokół siebie i stwierdzi, że większość mężczyzn jej pożąda. Mężczyźni natomiast chętnie składają obietnice, pomyślał ze złością, nawet jeśli nie mają zamiaru ich dotrzymać.

Chyba nie zdawała sobie nawet sprawy ze swojej mocy. On jednak otworzył dla niej te drzwi. Otworzył? Z hukiem wyrwał z zawiasów. Teraz inni mężczyźni skorzystają z ognia, który on rozniecił.

Tej myśli Cal nie mógł znieść. Przyznał się do tego przed samym sobą. Nie zniesie, trafi do takiego pokoju bez klamek, o jakim mówiła Libby. Ktoś inny miałby ją pieścić? Całować? Rozbierać?

Dowlóknął się do kabiny. Zaczął to wszystko porządkować w myślach. To znaczy, rozrzucić rzeczy po kabinie.

Był samolubny i nieuczciwy. I nie dbał o Libby. Musi się pogodzić z faktem, że Libby będzie miała własne życie, a w tym życiu kochanka albo nawet wielu kochanków. Na tę myśl bezwiednie zacisnął zęby. Potem pewnie wyjdzie za mąż i urodzi dzieci. Powinien się z tym pogodzić. Trudno jednak, żeby mu się to podobało.

Kopnął w kąt but, potem wbił ręce w kieszenie i spojrzął na zdjęcie swojej rodziny. Rodzice... Przypatrywał się rysom ich twarzy, jak nigdy przedtem. Minęły trzy, nie, cztery miesiące, od czasu gdy ich ostatnio widział. Jeśli nie liczyć wieków.

Wyglądali na atrakcyjnych, silnych ludzi, choć ojciec na zdjęciu nie wiadomo dlaczego miał spojrzenie winowajcy. Zawsze wydawali się tak zadowoleni, tak pewni siebie i tego, czego chcieli.

Miał nos po matce. Zaintrygowany Caleb nachylił się nad zdjęciem. Dziwne, nigdy przedtem tego nie zauważył. Najwidoczniej matka nie miała zastrzeżeń do kształtu swojego nosa, nie zmieniła go.

Jacob także jest do niej podobny, uznał, przypatrując się bratu na fotografii. Z tym że on odziedziczył po matce również temperament. Cal pamiętał, jak matka mówiła, że J.T, jak go nazywano, częściej się o coś spiera niż oddycha.

Cal natomiast był o wiele spokojniejszy, tak jak ojciec. Choć akurat teraz wcale nie odczuwał spokoju.

Z westchnieniem usiadł na łóżku.

- Spodobałaby się wam - powiedział do zdjęcia. - Chciałbym, żebyście mogli ją poznać.

Uświadomił sobie, że do tej pory jeszcze nie chciał nikogo przedstawić swoim rodzicom.

Zwlekał, robił uniki. Wiedział o tym. Powinien był wyruszyć znacznie wcześniej. Trąc dłońmi twarz, Cal przyznał, że marnował czas na jałowe rozważania. Powinien już wcześniej wylecieć. Pozostawała jeszcze sprawa materiałów, które miała zgromadzić Libby... jeśli Libby się w ogóle do niego odezwie.

To, co jej zrobił rano przed wyjściem... W porządku, uznał, wyciągając się na łóżku. Niech będzie zła, byle tylko nie zachęcała go z uśmiechem do drogi. Spojrzał na zegarek. Powinna wrócić za parę godzin.

Teraz zamierzał się zdrzemnąć. Należało mu się to po długiej, bezsennej nocy, jaką spędził na kanapie. Włączył kasetę usypiającą i zamknął oczy.

Kretyn, myślała Libby, ściskając kurczowo kierownicę w drodze powrotnej do domu. Zarozumiała kretyn, sprecyzowała. Lepiej będzie dla niego, jeśli przedstawi jakieś wyjaśnienie. Dlaczego pocałował ją z taką wściekłością?

Chciał jej dać do myślenia.

No cóż, myślała, pokonując zakręty wyboistej drogi. Jeszcze teraz czuła wściekłość. I jeszcze teraz nie mogła w tym odnaleźć żadnego sensu. Libby miała w Portlandzie sąsiadkę, która mawiała, że mężczyźni na ogół zachowują się bez sensu.

Wjechała na kamień, próbując ponownie rozwikłać zagadkę Caleba Hornblowera.

Być może miało to coś wspólnego z wizytą jej rodziców. Był jednak smutny, zanim przyjechali. Smutny, ale nie zły, przypomniała sobie. Po południu kochali się przecież nad strumieniem, powoli, łagodnie. Potem, przy kolacji może wydawał się lekko zdystansowany, lecz to naturalne. Trudno jest rozmawiać z ludźmi, w towarzystwie których trzeba uważać na każde słowo.

Poczuła do niego sympatię, a przecież powinna być bardzo zła.

Nie miał powodu, by wyładowywać na niej frustrację. Czyż nie starała się mu pomóc? Cierpiała, a mimo to robiła, co mogła, by wrócił tam, skąd przybył.

Miała też swoje życie. Powinna dokończyć pracę i zaplanować następne badania w terenie, a zamiast tego traciła czas na zakupy. Aparat fotograficzny, ciasteczka owsiane. Ostatni raz, przyrzekła sobie, lecz już po chwili zorientowała się, że nie musi podejmować takich postanowień. Chce czy nie, to i tak ostatni raz.

Zatrzymała samochód w miejscu, w którym wąska droga przechodziła w ścieżkę. Nie zamierzała właściwie jechać do Caleba. Przez całą drogę powtarzała sobie, że wróci do domu i zabierze się do pracy. A jednak tu przyjechała, jakoś tak wyszło.

Wyjęła nowy polaroid z torby na zakupy. Wypakowała aparat z pudełka, założyła jeden z kupionych filmów. Potem wzięła jeszcze torebkę ciasteczek.

Ze szczytu wzniesienia spojrzała na statek. Ogromny i cichy, spoczywał na skałach i obalonych drzewach jak dziwne, przyczajone zwierzę. Celowo skupiła się na nim, a nie na pracującym w środku mężczyźnie.

Transportowiec przyszłości, pomyślała. Dalekobieżny autobus lub ciężarówka. Pasażerowie na Marsa, Merkurego i Wenus proszeni są na pokład. Oferujemy również ekspresowe przeloty na Plutona i Andromedę. Westchnęła i zrobiła dwa zdjęcia. Usiadła, patrząc na powstające odbitki. Pięćdziesiąt lat temu, zadumała się, takie natychmiastowe uzyskiwanie odbitek było możliwe jedynie w powieściach science fiction. Przeniosła spojrzenie na statek. Na pewno Cal związał się jak w ukropie. Pracował szybko, zbyt szybko.

Otworzyła torbę i wyjęła ciasteczko.

Oczywiście, nie będzie mogła nikomu pokazać tych zdjęć. Jedno włoży do pojemnika, drugie zachowa dla siebie. Chciała, żeby całą dokumentację znaleźli naukowcy, żeby zapoznali się z fotografiami i sprawozdaniem, które napisała.

Włożyła fotografie do kieszeni, przewiesiła aparat przez ramię i ruszyła w dół zbocza.

Gdy doszła do luku, uniosła rękę, a potem zaczęła się śmiać. Czy należy pukać do drzwi statku kosmicznego? - Może to i głupie, jednak zapukała. Jakiś ptak poderwał się z ziemi, usiadł na pniu zwalonego drzewa. Teraz intensywnie wpatrywał się w Libby.

- Wiem, że to dziwne - powiedziała do niego. - Tylko pamiętaj, zatrzymaj to dla siebie, nikomu ani słowa.

Rzuciła w kierunku ptaka ciasteczko, potem znów zapukała.

- Dobra, Hornblower, otwieraj. Czuję się tu jak idiotka.

Pukała, waliła pięścią, krzyczała. Potem straciła cierpliwość i wymierzyła drzwicom silnego kopniaka. Wściekła także z powodu bólu w stopie, postanowiła już wracać, gdy nagle do niej dotarło, że Cal może jej nie słyszeć.

Znów podeszła. Poszukała urządzenia, którym Caleb otwierał luk. Zajęło jej to dziesięć minut. Gdy drzwi ustąpiły, jak furia wpadła do środka.

- Posłuchaj, Hornblower, ja...

Nie było go na mostku. Odgarnęła włosy. Dlaczego nie może go znaleźć akurat wtedy, kiedy ma ochotę na niego nawrzeszczyć?

Zasłona pozostawała otwarta. Z zewnątrz nie można było przez nią zajrzeć, jednak teraz przed Libby rozpościerał się wspaniały, panoramiczny widok. Podeszła do panelu sterowania.

Jakie to uczucie, myślała, siedzieć w tym fotelu, prowadzić taką wielką i potężną maszynę. Spojrzała na przełączniki. Nawet kobieta stąpająca twardo po ziemi mogła sobie łatwo wyobrazić dziką, nieograniczoną wolność, jaką dają podróże w przestrzeni kosmicznej. Planety, kolory i światła. Migotanie dalekich gwiazd, blask księżyców.

Spojrzała na komputer. Rozejrzała się niespokojnie i nachyliła.

- Komputer?

- Pracuję.

Podskoczyła, tłumiąc nerwowy chichot. Chciała zadać dwa pytania, z tym że naprawdę interesowała ją odpowiedź na tylko jedno z nich.

- Komputer, w jakim stadium są obliczenia do podróży powrotnej do dwudziestego trzeciego wieku? Odpowiedz.

- Obliczenia zakończone. Wskaźnik prawdopodobieństwa sformułowany. Czynniki ryzyka, trajektoria, moc ciągu, orbita i prędkość znalezione. Czy przedstawić wyniki?

- Nie.

A więc skończył. Wiedziała to właściwie, choć próbowała sobie wmówić, że mają dla siebie jeszcze kilka dni. Cał jej nie powiedział, ale chyba rozumiała dlaczego. Nie chciał jej zranić, wiedział, na pewno wiedział, jak się czuje. Przejrzał ją. Starał się postępować jak najdelikatniej.

Chciałaby się z tego cieszyć. Chciałaby...

- Komputer - powiedziała po chwili.

- Gotów.

- Kim jest Caleb Hornblower?

- Hornblower, Caleb, kapitan MSK Urodzony 2 lutego, syn Katriny Hardesty Hornblower i Byrama Edwarda Hornblowera. Miejsce urodzenia Filadelfia, Pensylwania. Absolwent Wilson Freemont Memoriał Academy. Uczęszczał na Uniwersytet Princeton, zrezygnował przed ukończeniem. Wstąpił do MSK. Służył sześć lat i siedem miesięcy. Szczegółowy przebieg służby wojskowej...

Libby wysłuchiwała opisu kariery wojskowej Cala. Pochwała za pochwałą, jednocześnie nagana za naganą. Jako pilot był bez zarzutu. Sprawy dyscyplinarne, to co innego. Nie mogła powstrzymać się przed szerokim uśmiechem.

- Zaszeregowanie kredytowe 5.8 - kontynuował komputer.



- Stop.

Libby westchnęła. Nie interesowała jej wiarygodność kredytowa Cala. I tak już wdarła się zbyt głęboko w jego prywatność. Wszystkie inne odpowiedzi musi uzyskać od niego samego. I to szybko.

Wstała i wyruszyła na poszukiwania.

Jej uwagę przykuła muzyka. Zrazu dobiegała z daleka. To coś klasycznego. Ciekawe, kto skomponował ten utwór?

Znalazła Cala śpiącego w kabinie. Muzyka wypełniała pomieszczenie, brzmiała łagodnie i kusząco. Libby poczuła, że musi się położyć koło Cala, poczekać, aż on się obudzi, potem kochać się z nim. Powoli i czule.

Otrząsnęła się. To ta muzyka, uznała. Jednocześnie uspokajająca i pobudzająca zmysły. Dokładnie taka, jaki mógłby być pocałunek Cala. Nie powinna się temu poddawać, nie wolno jej zapominać, że jest na Caleba bardzo zła.

Zrobiła mu jednak zdjęcie, gdy spał. Potem wsunęła je, niemal ukradkiem, do kieszeni.

Oparła się o framugę, uniosła podbródek. Wyzywająco i buńczucznie.

- A więc to tak pracujesz.

Choć powiedziała to głośno, nie obudził się. Miała ochotę potrząsnąć nim, lecz wpadła na lepszy pomysł. Włożyła dwa palce do ust i przeraźliwie gwizdnęła, tak jak nauczyła ją Sunny.

Zerwał się z okrzykiem:

- Czerwony alarm!

Potem zobaczył ją w drzwiach. Opadł na poduszkę i przetarł ręką oczy.

Miał sen. Mknął przez rozświetloną galaktykę. Libby była przy nim, obejmowała go, widział w jej oczach fascynację lotem.

Potem coś się stało. Wskaźniki zaczęły błyskać, rozległy się dzwonki. Słyszał zgrzyt metalu, statek zanurkował. Cal nie wiedział, co zrobić. Nagle poraziła go myśl, że nie będzie potrafił ocalić Libby.

A teraz tu stała, jakby nigdy nic, podczas gdy jemu serce wciąż waliło z przerażenia. Zdziorna, gotowa do sprzeczeki.

- Po co to do diabła zrobiłaś?

Wyglądał, jakby się czegoś bał. Przynajmniej miała taką nadzieję, bo jej zamiarem było go przestraszyć.

- Uznałam, że w ten sposób najszybciej cię obudzę. Szanuj się bardziej, Hornblower, jeśli będziesz tak ciężko pracował, zapadniesz na zdrowiu.

- Zrobiłem sobie przerwę. - Żałował, że nie może się napić mocnego likieru z Antellis. -  
W nocy źle spałem.

- Niedobrze.

Przyglądając się mu, wyjęła z torebki ciasteczko.

- Ta kanapa jest niewygodna.

- Aha. Pewnie dlatego wstałeś z niej lewą nogą. Powoli, demonstracyjnie odgryzała małą kawałek ciasteczka. Chciała, żeby nabrał ochoty najedzenia.

Nabrał, ale na nią.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- To takie powiedzenie.

- Słyszałem je.

Wiedział, że odpowiedział dziwnie zduszonym głosem, nie mógł jednak nic na to poradzić. Wsunęła język, by dotknąć okruszka w kącie ust. Cał niemal jęknął.

- Wstałem prawą nogą.

- No cóż, widocznie jesteś z natury gburowaty. Może uda ci się kiedyś nad tym zapanować.

- Nie jestem gburowaty - odpowiedział przez ściśnięte gardło.

- Nie? No to arogancki. To bliższe prawdy?

Jej uśmiech miał go zaniepokoić, podziałał jednak zupełnie inaczej.

Próbował nie zwracać uwagi na Libby i na własne, nieco krepujące reakcje. Spojrzał na zegarek.

- Spędziłaś w mieście dużo czasu.

- To mój czas, Hornblower. Zmarszczył brwi.

- Chcesz się kłócić?

- Ja? - Wyglądała teraz jak uosobienie niewinności. - Dlaczego, Calebs? Poznałem moich rodziców i wiesz, że wszyscy jesteśmy pacyfistami. Zamiast kołysanek słuchałam piosenek folkowych.

Wymruczał swoje zdanie na ten temat, krótkie słowo, które Libby uważała za jak najbardziej współczesne. Zaintrygowana, przechyliła głowę.

- A więc nadal tak się odpowiada, kiedy nie można wymyślić niczego inteligentnego - zauważyła. - To dobrze, że pewne tradycyjne zwroty przetrwały.

Powoli wstał. Nie podszedł do niej, jeszcze nie. Musiał się najpierw opanować, by nie uderzyć jej w ten uniesiony arogancko podbródek. Dziwne, nigdy nie zauważył u niej tej zadziorności. Ani wyzywającego spojrzenia.

Najgorsze było to, że jednocześnie emanowało z niej ciepło.

- Nie przeciągaj struny, mała. Muszę cię ostrzec, że ja nie pochodzę ze szczególnie pokojowo usposobionej rodziny.

- No cóż... - Starannie wybrała drugie ciasteczko.

- Ale mnie wystraszyłeś, aż cała się trzęsę. - Zwinęła torbę i rzuciła nią w Cala, lecz pochwycił ją w powietrzu, przy okazji gniotąc pozostałe w środku ciasteczka.

- Nie wiem, co ty tam sobie myślisz, Hornblower, ale mam ważniejsze sprawy na głowie niż twoje humory. Jeśli chcesz, baw się dalej w nadąsanego chłopczyka. Ja wracam do pracy.

Zanim się odwróciła, chwycił ją za ramiona i przycisnął do ściany.

- Chcesz wiedzieć, co myśleć Po co te wygłupy, Libby?

- Nic mnie to nie obchodzi. - Nadal trzymała głowę wysoko, choć zaschło jej w ustach. No cóż, zawsze wolała ustąpić, niż trwać przy swoim zdaniu. Od dziecka nie znosiła konfliktów. Czasami wynikało to z łagodnego charakteru, jednak częściej z tchórzostwa. Wzięła głęboki oddech. - Guzik mnie obchodzi.

- A powinno. - Chwycił ją za włosy, powoli odchylił jej głowę do tyłu. - Czy uważasz, że uczucia mężczyzny do kobiety są zawsze pełne czułości i delikatności?

- Nie jestem głupia.

Chciała się wyrwać. Nie bała się go, po prostu ją irytował.

- Nie, nie jesteś. - Patrzyli sobie w oczy, prawie porażeni furją. Cal czuł, że coś w nim się przełamało, że pękła ostatnia nić łącząca go z cywilizowaną częścią jego natury. - Może nadszedł czas, żebym nauczył cię naprawdę wszystkiego...

- Nie musisz mnie niczego uczyć.

- To prawda, będą inni, którzy cię nauczą, czyż nie? - Zalała go opętańcza zazdrość. - Niech cię szlag trafi. I ich wszystkich, każdego z nich z osobna. Myśl o tym. Zawsze, kiedy ktoś cię dotknie. Jutro, za dziesięć lat, będziesz żałowała, że to nie ja. Dopilnuję, żeby tak się stało.

Pociągnął ją na łóżko, zanim skończył mówić.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Walczyła z nim. Nie chciała, by wziął ją w gniewie, bez względu na to, jak bardzo go kochała. Muzyka sączyła się z głośników, spokojna i piękna. Brutalnie rozpinął guziki koszuli Libby.

Nie odezwała się. Nie chciała prosić, by przestał, nie chciała płakać, choć to by go z pewnością otrzeźwiło. Starła się tylko wydostać z zasięgu jego bezlitosnych rąk. Rzuciła się, odpychała go, toczyła cichą wojnę z reakcją własnego ciała, które pragnęło czego innego niż jej serce.

Znienawidzi go za to. Ta myśl niemal ją załamała. Jeśli mu się uda, odejdą w niepamięć wszystkie inne wspomnienia, pozostanie tylko to. Wspomnienie gwałtu i dominacji. Nie mogła na to pozwolić. Teraz broniła przed tym ich oboje.

Znał ją aż za dobrze. Każdą krągłość ciała, każde uderzenie pulsu. Z furją przytrzymał jedną dłonią obie jej ręce za głową. Całował ją w szyję, szukając wolną ręką najbardziej wrażliwych miejsc. Słyszał jej jęk, gdy zalewała ją kolejna fala niechcianej rozkoszy. Nagle stężała, wygięła się w łuk. Poczł, że zadygotała, a potem opadła bez sił, wstrząsana zdławionym płaczem. Zanim zacisnęła usta, zobaczył, jak bardzo drżą jej wargi.

Poczł wszechogarniający żal, poczucie winy. Nie miał prawa, nikt nie miał prawa użyć takich wspaniałych doznań jako broni. Chciał zranić Libby, zmuszając ją, by sama zaczęła dążyć do jak najszybszego poddania się jego woli. I zranił, to mu się udało. Jednak przy okazji też bardzo ucierpiał. Bardziej, niż mógłby przypuszczać.

- Libby. - Miała zamknięte oczy i tylko pokręciła głową. Cał stoczył się z niej i wbił wzrok w sufit. - Nie mam żadnego usprawiedliwienia - dodał. - Nic nie usprawiedliwia sposobu, w jaki cię potraktowałem.

Udało się jej przełknąć ślinę, wstrzymać łzy. To jej ulżyło. Mogła już otworzyć oczy i normalnie oddychać.

- Może i nie ma - odpowiedziała - ale nic nie dzieje się bez przyczyny. Chciałabym ją poznać.

Przez dłuższy czas nie odpowiadał. Leżeli obok siebie. Mógłby podać wiele przyczyn: niewyspanie, przepracowanie, niepokój o powodzenie lotu. Wszystkie byłyby prawdziwe - do

pewnego stopnia. Nie złożyłyby się jednak na prawdę. Wiedział, że Libby przywiązuje wielką wagę do uczciwości.

- Zależy mi na tobie - zaczął powoli. - Nie jest łatwo znieść myśl, że już cię nie zobaczę. Wiem, że każde z nas ma swoje życie - dodał, zanim mogła mu przerwać - swoje miejsce na ziemi. Może postępujemy słusznie, jednak ja nie umiem się pogodzić z tym, że to wszystko jest dla ciebie takie łatwe.

- Nie jest.

Wiedział, że jest samolubny, lecz to wyznanie Libby przyniosło mu ulgę. Ujął jej dłoń.

- Poza tym jestem zazdrosny.

- Dlaczego? O co?

- O mężczyzn, których poznasz, w których się zakochasz. O tych, którzy pokochają ciebie.

- Ale...

- Nie, nie przerywaj. Po prostu pozwól mi się wypowiedzieć. Wiem, że to co teraz mówię, nie jest racjonalne. Tu nie chodzi jednak o rozum, lecz o moje odczucia, Libby, muszę się z nimi jakoś uporać. Zawsze, kiedy wyobrażam sobie, że ktoś dotknie cię tak, jak ja cię dotykałem, prawie wariuję.

- I z tego powodu jesteś na mnie zły? - Odwróciła głowę, żeby mu się przyjrzeć. - Z powodu moich przyszłych romansów, które powstały w twojej wyobraźni?

- Świetnie to ujęłaś. Dzięki temu wiem, jak idiotycznie brzmią moje argumenty.

- Nie miałam takiego zamiaru.

- Wiesz, nawet widzę tego twojego faceta - powiedział. - Ma dwa metry wzrostu i jest zbudowany jak jeden z tych greckich bogów.

- Adonis - sprecyzowała z uśmiechem. - Na twoim miejscu obstawiałabym Adonisa.

- Zamknij się. Blondyn, takie trochę zmierzwione włosy, silnie zarysowana szczęka, z dołkiem w podbródku.

- Jak Kirk Douglass. Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Znasz faceta odpowiadającego temu opisowi?

- zapytał.

- Tylko z widzenia.

Ponieważ poczuła, że burza minęła, pocałowała Cala w ramię.

- W każdym razie, jest też inteligentny i to kolejny powód, dla którego naprawdę go nienawidzę. Jest doktorem, nie lekarzem, ale filozofem. Może omawiać z tobą godzinami kwestię tradycyjnych związków erotycznych w prymitywnych wspólnotach szczepowych. I gra na fortepianie.

- Rany, to robi wrażenie.

- Jest bogaty - kontynuował masochistycznie Cal.

- Zaszeregowanie kredytowe 9.2. Zabiera cię do Paryża i kocha się z tobą w pokoju z widokiem na Sekwanę. Potem daje ci w prezencie diament wielkości pięści.

- Rzeczywiście nieźle. - Przez chwilę myślała o tym diamencie. - Czytuje wiersze?

- Nawet sam je pisze.

- Och, mój Boże - przyłożyła rękę do serca - kiedy mam go poznać? Muszę się jakoś przygotować.

Uniósł się, żeby na nią spojrzeć. Zobaczył w jej oczach rozbawienie, nie łyzy.

- Widzę, że to ci się spodobało, prawda?

- Tak. - Uniosła dłoń do jego twarzy. - Chyba czułbyś się lepiej, gdybym obiecała, że wstąpię do klasztoru.

- Niech będzie. - Uniósł jej dłoń i pocałował.

- Możesz mi to dać na piśmie?

- Zastanowię się. - Jej oczy znów były spokojne, głębokie i czyste. Cal stał się sobą, mężczyzną, którego mogła kochać i potrafiła zrozumieć. - Już się nie kłócimy?

- Na to wygląda. Tak mi przykro, Libby, zachowałem się jak wieprz.

- Nie jestem pewna, czy wiem, o które słowo ci chodzi, ale chyba masz rację.

Pocałował ją, lekko, przepraszająco. Przytrzymała jego głowę, przedłużyła pocałunek.

- Cal?

- Mmm?

- Jak się nazywa ten facet? Masz jego numer telefonu? Auu! - Wyrwała się. - Ugryzłeś mnie!

- Fakt.

- To ty go wymyśliłeś - przypomniała - nie ja.

- Niby tak. Wiesz, dla równowagi mogę ci opowiedzieć, co jeszcze sobie wyobrażałem.

Dotknął jej piersi.

- Opowiedz.

- Gdybym ja zabrał cię do Paryża, spędzilibyśmy trzy pierwsze dni w hotelu i ani razu nie wyszlibyśmy z łóżka. - Pieścił ją, przestając tylko po to, by rozbudzić jej oczekiwanie. - Pilibyśmy szampana, butelka po butelce i jedli dania o egzotycznych nazwach i smakach. Poznałbym do końca każdy centymetr twojego ciała, każdy por skóry. W jakimś dużym, miękkim łóżku docieralibyśmy do miejsc, w których nikt jeszcze nie był. A potem...

- Cal...

Całował jej piersi, niespiesznie i zmysłowo.

- Potem byśmy się ubrali. Ty w coś cienkiego i białego, co odsłaniałoby ramiona, opadając miękkimi fałdami na biodra. W coś takiego, że każdy mężczyzna, który by cię zobaczył, chciałby mnie zamordować.

- Nawet ich nie dostrzegam - westchnęła. - Widziałabym tylko ciebie.

- Na niebie są gwiazdy, miliony gwiazd. Czujesz zapach Paryża, zapach bogactwa, ale również rzeki i kwiatów. Spacerujemy, oglądasz te wszystkie niesamowite światła i wspaniałe, stare domy. Zatrzymujemy się w kawiarni, siedzimy przy stoliku na dworze, pod parasolem, pijemy wino. Potem wracamy, żeby znowu się kochać, całymi godzinami.

- Nie potrzebujemy do tego Paryża - zauważyła.

- Rzeczywiście.

Położył się na niej, ujął jej głowę dłońmi. Uśmiechała się, miała na wpół przymknięte oczy. Chciał to zapamiętać, tę chwilę, w której nie było niczego, oprócz ukochanej kobiety.

- Och, Boże, Libby, pragnę cię.

To właśnie chciała usłyszeć. Objęła go.

Czuła jego rękę, jego ciało. Ona także bardzo go pragnęła.

Jęknęła dziko, odepchnęła go. Zrywała ubranie, z niego, z siebie, byle jak, byle prędzej. Usiadła na nim, słyszała, jak Cal szybko oddycha i to podnieciło ją jeszcze bardziej.

Władza upajała Libby. Okazała się bardziej skuteczna od najsilniejszego afrodyzjaku. Libby wiedziała, jak sprawić, by Cal dygotał, by czuł ból, szeptał jej imię. Nie spodziewała się nigdy, że tak łatwo, nie wysilając się zbytnio, jest w stanie doprowadzić mężczyznę do szaleństwa.

Pięknego mężczyznę. Widziała go, czuła całą sobą, dłońmi. Był silny, choć jego twarde mięśnie drżały, gdy dotykała ich delikatnie opuszkami palców.

Chciał sprawić, żeby zapamiętała go na zawsze. Teraz jednak to on jęczał, zatracając się w rozkoszy, której źródłem była Libby. To on zapamięta te chwile na zawsze. Muzyka, którą zawsze lubił, wypełniała mu głowę. Wiedział, że będzie mu przypominać Libby, ilekroć ją usłyszy.

Zwolniła, poszukała ustami jego ust. Całowała go powoli, gorąco, zatapiała się w nim. Potem się śmiała, odsuwała, ponownie doprowadzając go do szaleństwa.

Nie był w stanie zachować nawet najmniejszej kontroli nad swymi reakcjami. Powtarzał tylko jej imię, raz po raz.

Zamknęła się nad nim jak wilgotny aksamit. Dźwięk, który wydała, był tylko odrobinę głośniejszym jękiem, lecz brzmiał w nim triumf. Zatopiona we własnej rozkoszy, zaczęła się poruszać szybciej, najszybciej, jak umiała.

Przemierzał przestrzeń kosmiczną, odbył podróż w czasie, nic jednak nie mogło się równać z tym, co czuł teraz. Na oślep szukał jej dłoni, napotykał śliskie, spocone ciało. Gdy wreszcie ich dłonie się splotły, oboje osiągnęli szczyt.

Przytuliła się do niego, zapadła w błogostan. Odczuwała pełną harmonię. Ciała, umysłu, serca. Zastanawiała się, jak długo dwoje ludzi może leżeć razem w łóżku, bez jedzenia i picia. Całą wieczność. Uśmiechnęła się do siebie. Prawie w to uwierzyła.

- Moi rodzice mają kota - poinformowała leniwie. - Grubego kota imieniem Stokrotka. On nie ma ani grama ambicji.

- Nie kotkę? - Kot rodzaju męskiego nazywa się Stokrotka?

- Przecież poznałeś moich rodziców.

- Racja.

- W każdym razie, po południu leży zawsze na parapecie. Przez całe popołudnie. Teraz wiem, co wtedy czuje. - Wyprostowała się, tylko trochę, by nie tracić za dużo energii. - Lubię twoje łóżko, Hornblower.

- Ja też coraz bardziej za nim przepadam. Przez chwilę leżeli cicho.

- Ta muzyka - odezwała się Libby. Słyszała ją, słodką, tak romantyczną, że niemal ocierającą się o kicz. - Nie poznaję jej, a powinnam.

- Salvadore Simeon.

- Czy to współczesny kompozytor?

- To zależy od punktu widzenia. Koniec dwudziestego pierwszego wieku.



- Muzyka klasyczna i latający skuter. Interesująca kombinacja.

- Doprawdy?

- Tak, bardzo interesująca. Wiem również, że uwielbiasz teleturnieje i seriale.

- To tylko w celach poznawczych. - Uśmiechnął się, gdy usiadła. - Chciałbym móc opowiedzieć inteligentnie o wszystkich popularnych w dwudziestym wieku formach rozrywki. - Zamyślił się. - Ciekawe, czy w telewizji przechowują archiwalne programy? Chciałbym się dowiedzieć, czy Blake'owi i Evie udało się, pomimo knowań Dorian. Jest jeszcze problem, kto wrobił Justina w morderstwo tego Carltona Slade'a. Ja uważam, że Vanessa. Słodka twarzyczka, ale serce zimne jak lód.

- Widzę, że złapali cię na haczyk. - Podciągnęła kolana i uśmiechnęła się. - A u was nie ma oper mydlanych?

- Są tylko ja nie mam czasu oglądać. Zawsze sądziłem, że są dla dompracowników.

- Dompracownicy - powtórzyła, gdyż spodobało się jej to określenie. - Nie zadałam ci tylu ważnych pytań. - Oparła brodę na kolanach. - Gdy wrócimy, musimy dokończyć opisywanie wszystkiego, co ci się przydarzyło.

- Wszystkiego? - zapytał z uśmiechem.

- Wszystkiego istotnego - przywołała go do porządku. - Zrobimy to, włożymy zapiski do pojemnika, a ty opowiesz mi o przyszłości.

- Aha. - Wstał z łóżka. Może to dobrze, że w najbliższych godzinach będą zajęci. Sięgnął po spodnie i zauważył na podłodze polaroid. - Co to jest? - zapytał.

- Aparat fotograficzny, taki specjalny. Możesz mieć zdjęcie po dziesięciu sekundach.

- Tak?

Rozbawiony, obracał aparat w rękach. Dostał coś takiego na dziesiąte urodziny, tyle że jego aparat mieścił się w dłoni. Mierzył też temperaturę i odtwarzał muzykę.

- Znow masz na twarzy ten wyraz wyższości, Hornblower.

- Przepraszam. Jak to działa? Ten guzik?

- Tak, ten. Nie! - Było już jednak za późno. Sfotografował ją nagą. - Mordowano już mężczyzn za drobniejsze wykroczenia - poinformowała go.

- Myślałem, że mieliśmy zrobić zdjęcia - zauważył.

- Nie jestem ubrana.

- Aha, to dobrze. To zaledwie dwuwymiarowa fotografia, ale jakże seksowna.

Libby wyciągnęła rękę po zdjęcie.

- Chcesz zobaczyć? - Trzymał fotografię poza jej zasięgiem, lecz tak, by mogła obejrzeć.

Siedziała na niej, obejmując rękoma kolana. - Boże, uwielbiam, kiedy się rumienisz, Libby.

- Wcale się nie rumienię.

Ubrała się, tłumiąc śmiech. Cal odłożył jednak aparat i znów ją rozebrał.

Gdy opuścili statek, drzewa rzucały już długie cienie. Cal zaproponował, by załadowali skuter do landrowera i razem wrócili do domu.

- Dobry pomysł - zauważyła Libby, tylko nie ma go czym przywiązać.

- Nie ma potrzeby.

Cal nacisnął guziczek pod siodełkiem i wyciągnął dwie taśmy zakończone hakami. Libby wychyliła się z samochodu, zerkając ciekawie.

- Pomogę ci go podnieść. - Chwyliła skuter i zdmuchnęła włosy z oczu. - No, zaczynamy.

- Dobrze, ale nie powinnaś dźwigać.

- Masz pojęcie, ile sprzętu już w życiu załadowałam?

Uśmiechnął się do niej.

- Nie.

- Całe tony. Zaczynamy na trzy. Raz, dwa, trzy!

- Zdumiała się, gdy nagle podnieśli skuter na wysokość ramion. Nie ważył więcej niż dziesięć kilogramów. - Niesamowite.

Cal szybko przymocował skuter. Pozwolisz mi poprowadzić?

- Nie wiem nawet, czy masz prawo jazdy.

- Nie wygłupiaj się. Skoro mogę prowadzić to - wskazał ruchem głowy statek - poradzę sobie z twoim samochodem. Chciałbym spróbować, jak się nim jeździ.

Rzuciła mu kluczyki.

- Pamiętaj tylko, że ten pojazd porusza się po ziemi.

- Zrozumiałem. - Zadowolony jak dziecko, które wreszcie dostało upragnioną zabawkę, usiadł za kierownicą. - Trzeba zmieniać biegi, prawda?

- Tak sądzę.

- Fascynujące. A ten pedał?

- Sprzęgło - wyjaśniła i zaczęła się obawiać o swoje życie.

- Sprzęgło, racja. Odłącza system i wtedy można zmienić bieg. Wyższe biegi do większych prędkości. Taka jest zasada, prawda?

- Tu obok sprzęgła, wiesz, co to jest? - Hamulec. Nie zapominaj o nim, Hornblower, to bardzo ważne urządzenie.

- Nie przejmuj się.

Libby poczuła, że ma spocone dłonie.

- Ostrożnie, dobrze? Teraz spróbuj ruszyć.

Zrobił to tak, że wbiła paznokcie w tapicerkę i zaczęła się modlić. Widziała, że Cal znakomicie się bawi. Był nieco rozczarowany, gdy szlak stał się na chwilę mniej wyboisty.

- Żadna sztuka - rzucił z uśmiechem.

- Patrz, gdzie jedziesz! Och, Boże!

Zasłoniła oczy, żeby nie widzieć pędzących na nich drzew.

- Czy zawsze tak się denerwujesz, kiedy prowadzi ktoś inny? - zapytał, objeżdżając jakiś pień.

- Zaraz cię znienawidzę, jestem tego pewna.

- Rozluźnij się, mała, zrobimy małą rundkę.

- Cal, powinniśmy...

- Pędzić za głosem pragnienia. Tak się mówi?

- Chyba raczej „iść za głosem pragnienia”, ale to nie jest reklama piwa. - Ścisnęła mocniej dłonią pas. - Zresztą, ty możesz sobie pędzić, ale ja wolałabym długie, nudne życie.

Zjechał z usianego skałami stoku jak rasowy rajdowiec.

- Po lataniu to najfajniejsza rzecz, jakiej doświadczyłem. - Spojrzał na nią z ukosa. - No, może jeszcze po czymś innym.

- Cal, żołądek wywraca mi się na drugą stronę, chyba nie chcesz wjechać do... - Woda rozprysła się, tworząc dwie kurtyny po bokach landrowera. - ... strumienia - dokończyła Libby, odgarniając z twarzy mokre włosy.

Mokry tak samo jak ona, wydał okrzyk zadowolenia i znów wjechał do wody. Usłyszała własny śmiech, lecz nagle ponownie poczuła zimny prysznic.

- Wariat z ciebie - zauważyła. - Przynajmniej się z tobą nie nudzę.

- Wiesz, gdyby wprowadzić kilka drobnych modyfikacji, ten pojazd zrobiłby furorę w moich czasach. Nie wiem, dlaczego ich już nie produkują. Gdybym się zjawił z prototypem, moje zaszeregowanie kredytowe sięgnęłoby stratosfery.

- Nie zabierzesz go ze sobą. Mam jeszcze czternaście rat do spłacenia.

- Tak tylko sobie pomyślałem.

Cal mógłby jeździć godzinami. Zauważył jednak, że zrobiło się chłodno, a Libby jest przemoczona. Skręcił w kierunku domu.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytała.

- Jasne, jakieś dwadzieścia stopni na północ od statku. - Poglaskał ją po mokrych włosach. - Mówiłem ci już, że znam się na nawigacji. Wiesz co? W domu weźmiemy gorący prysznic. Potem rozpalimy w kominku i napijemy się brandy. Potem...

Zaklął i wcisnął mocno hamulec. Samochód z piskiem opon zatrzymał się o kilka metrów od czterech osób z plecakami.

- Jezu, o tej porze roku nikt się tu zwykle nie zapuszcza - zmartwiła się Libby.

Plecaki i górskie buty były nowe. Na niektórych pozostały jeszcze nalepki z cenami.

- Jeśli pójdą dalej w tym kierunku, natkną się na statek - zauważył z niepokojem Cal.

Libby opanowała przyływ paniki i zdobyła się na uśmiech.

- Dzień dobry - powitała obcych.

- Cześć. - Wysoki czterdziestolatek oparł się o maskę landrowera. - Jesteście pierwszymi ludźmi, jakich spotkaliśmy od rana.

- Niewielu turystów tu trafia.

- Właśnie dlatego wybraliśmy tę drogę, prawda, Susie? - Poklepał po ramieniu ładną kobietę, która wyglądała na wyczerpaną. Odpowiedziała tylko skinieniem głowy. - Rankin. Jim Rankin. - Podał Calowi rękę i długo nią potrząsał. - To moja żona Susie i chłopaki, Scott i Joe.

- Miło nam państwa poznać. Cal Hornblower. Libby Stone.

- Przejazdzka po lesie, co?

Libby zorientowała się natychmiast, że z całej czwórki entuzjastą wędrówki jest tylko Jim. Trzeba to jakoś wykorzystać.

- Skąd idziecie? - zapytała.

- Z Big Vista. Ładny kemping, ale trochę za duży tłok. Chciałem pokazać żonie i chłopakom prawdziwą dziką przyrodę.

Libby stwierdziła, że chłopcy mają na oko trzynaście i piętnaście lat. Obaj wyglądali, jakby mieli się za chwilę rozpłakać. Biorąc pod uwagę odległość od Big Vista, wcale im się nie dziwiła.

- Kawał drogi - zauważyła.

- Jesteśmy twardzi, prawda, chłopcy? Obaj spojrzeli na niego ponuro.

- Chyba nie zamierzacie iść tą ścieżką? - zapytała Libby.

- Taki mamy zamiar. Chcielibyśmy dotrzeć przed zmierzchem do grani.

Susie jęknęła i schyliła się, żeby rozmasować obolałą łydkę.

- Tędy nie dojdziecie. Dalej jest zamknięty teren. Wyrąb i szkółki. Widzicie przerwę w ścianie lasu?

- Aha, zastanawiałem się, co to jest - odparł Jim.

- Zamknięty teren - powtórzyła Libby bez zmrużenia oka. - Za wejście, a już nie daj Boże biwakowanie grozi pięćset dolarów grzywny - dodała, żeby wzmocnić wymowę tej informacji.

- No cóż, w każdym razie dziękuję, że nas pani ostrzegła.

- Tato, nie możemy pójść do hotelu? - zapytał jeden z chłopców.

- Takiego z basenem - dodał drugi. - I z grammi wideo.

- I z łóżkiem - poparła go matka. - Prawdziwym łóżkiem.

Jim mrugnął znacząco do Cala i Libby.

- O tej porze dzieci zwykle marudzą. Poczekajcie na jutrzejszy wschód słońca - zwrócił się do nich - to wam wszystko wynagrodzi.

- Stąd jest wygodny szlak na zachód. - Libby wstała i pokazała ręką. - Widzicie?

- Aha.

Pewne było, że Jim niechętnie schodzi z obranej raz drogi, ale perspektywa zapłacenia pięćsetdolarowej grzywny podziałała na niego jak zimny prysznic. Libby postanowiła jeszcze bardziej wzmocnić motywację całej rodziny.

- Około sześciu kilometrów stąd jest dobry, pięknie położony kemping. Nie będziecie mieć żadnego problemu z dotarciem tam przed zachodem słońca.

- Możemy was podzucić.

Gdy Cal to zaoferował, zauważył, że żaloszny wyraz twarzy młodszego chłopca przekształcił się w szeroki uśmiech.

- Och nie, dziękujemy - sprzeciwił się Jim. - To niezgodne z duchem przygody.

- Może i nie - Susan poprawiła plecak - ale przynajmniej ocalimy w ten sposób życie. Panie Hornblower, jeśli nas pan tam zawiezie, może pan żądać dowolnej rzeczy...

- Susie...

- Zamknij się, Jim. - Chwyliła mokry rękaw koszuli Cala. - Proszę. Mam na plecach sprzęt za czterysta pięćdziesiąt osiem dolarów. Jest pana.

Śmiejąc się z przymusem, Jim położył rękę na ramieniu żony.

- Susie, uzgodniliśmy...

- Nieważne. - Wzięła głęboki oddech, żeby się opanować i nie zrobić przy obcych ludziach karczemnej awantury. - Ja umieram ze zmęczenia, a chłopcy raz na zawsze zniechęcą się do pieszych wędrówek. Nie chcesz być za to odpowiedzialny, prawda? Jeśli ci na tym zależy, idź dalej na piechotę. My nie damy rady - zakończyła, obejmując synów.

- Susie, skoro tak to przedstawiasz...

- Doskonale. Wsiadajcie.

Stłoczyli się na tylnym siedzeniu landrowera. Po chwili dołączył do nich nadąsany Jim, biorąc młodszego syna na kolana.

- To piękna okolica - powiedziała Libby po wskazaniu Calowi szlaku. - Spodoba się wam, gdy tylko odpoczniecie.

- Na pewno jest tu dużo drzew - zgodziła się Susie, zadowolona, że wreszcie nie musi maszerować. - Mieszkacie tutaj? - zapytała.

- Ja stąd pochodzę - odparła Libby - a Cal jest z Filadelfii.

- Naprawdę? - My też. Jest pan w tej okolicy po raz pierwszy, panie Hornblower?

- Tak, chyba można tak powiedzieć.

- My też. Chcieliśmy pokazać synom część kraju, która nie została jeszcze zanieczyszczona. I pokazaliśmy - mruknęła Susie.

- Tak - zgodził się Jim. - Na pewno zapamiętają tę wycieczkę.

Chłopcy wymienili spojrzenia i zgodnie wywrócili oczami, lecz przezornie nie odpowiedzieli. Woleli nie ryzykować.

- A więc jest pan z Filadelfii. Co pan sądzi o tegorocznych szansach drużyny Phillies?

Cal odpowiedział ostrożnie:

- Zawsze jestem optymistą.

- O to chodzi. - Jim poklepał Cala po ramieniu.

- Jeśli skoncentrują się na grze w środku pola i wystawią lepszego pałkarza, może nawet nieźle wylądują pod koniec sezonu.

Baseball, domyślił się z ulgą Cal. Przynajmniej na ten temat mogę cokolwiek powiedzieć.

- Trudno zgadnąć, jaki będzie ten sezon - odparł - ale myślę, że przez jakieś sto lat nie będziemy wlec się w ogonie.

Jim się roześmiał.

- Długa perspektywa.

Gdy dojechali do polany, pasażerom poprawiły się humory. Chłopcy wyskoczyli i zaczęli gonić królika. Susie wysiadła powoli, wzdychając ciężko.

- Tu jest pięknie. - Spojrzała na zalane zachodzącym słońcem góry. - Nie wiem, jak państwu dziękować. - Zerknęła na męża, który wołał już chłopców, żeby nazbierali chrustu na ognisko. - Ocaliliście mojemu mężowi życie.

- Wyglądał, jakby nie był specjalnie zmęczony - zauważył Cal.

- Bo nie był. To ja zabiłabym go podczas snu.

- Uśmiechnęła się, ściągając plecak. - Teraz już nie muszę, przynajmniej na razie.

Jim podszedł, jowialnie uściskał żonę, tak że Libby obawiała się, czy nie połamie jej żeber.

- Susie, tutaj można oddychać pełną piersią - oznajmił z emfazą.

- Do czasu - mruknęła.

- Nie tak, jak w Filadelfii. Może zjecie państwo z nami kolację? - Nie ma to jak posiłek pod gołym niebem.

- Bardzo prosimy - dodała Susie. - W menu mamy zawsze modną fasolę i hot dogi, o ile nie zzieleniały. Na deser suszone morele.

- Brzmi wspaniale - odparł Cal. Właściwie chciałby zostać. Rodzina Rankinów fascynowała go w równym stopniu, co seriale telewizyjne. - Musimy jednak wracać.

Libby podała rękę Susie, poklepała ją z sympatią po dłoni.

- Tamtym szlakiem, z prawej strony, dojdziecie do Big Vista. To długa droga, ale ładna.

I oddalająca was od statku, dodała w myślach.

- Bardzo dziękujemy. - Jim wygrzebał z plecaka wizytówkę. Po powrocie niech pan do mnie zatelefonuje, Hornblower. Jestem kierownikiem sprzedaży w Biston Motors. Znajdziemy dla pana i pana towarzyszkę zgrabny wozik, nowy albo używany.

- Będę pamiętał.

Wsiadli do landrowera, pomachali Rankinom na pożegnanie i ruszyli.

- Chcesz nowy czy używany? - zapytał Cal, szczerząc zęby do Libby.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Cal sporo myślał o Rankinach. Zapytał Libby, czy są przeciętną amerykańską rodziną. Odparła z rozbawieniem, że gdyby istniało takie zjawisko jak przeciętna rodzina, zapewne zmieściliby się w tej kategorii.

Interesowali go być może dlatego, że dostrzegł w nich pewne podobieństwa do własnej rodziny. Jego ojciec, choć nie przypominał potężnego, jowialnego Rankina, kochał przyrodę, dziewicze lasy i rodzinne wycieczki. Cal i Jacob, jak inni chłopcy, często dąsali się i narzekali. Gdy miarka się przebiegała, do akcji wkraczała matka. Wydawało się, że wzory zachowań w rodzinie przetrwały pomimo upływu wieków. Ta myśl go uspokoiła.

Gdy wrócili do domku, rozpalili ogień i napili się brandy. Potem poszli na górę, żeby dokończyć sprawozdanie.

Potrzebowali trzech egzemplarzy: jednego do pojemnika, jednego dla Cala i jednego dla Libby.

Gdy czytał to, co napisała wcześniej, podziwiał jej styl. Cal nie miał wątpliwości, że naukowcy z jego czasów uznają to opracowanie za wyczerpujące i fascynujące. Pozostała część wyводу składała się właściwie wyłącznie z danych technicznych, które Cal podyktował Libby.

Długo redagowali tekst, dodawali albo usuwali bardziej lub mniej istotne informacje. W przerwach Libby pytała o kwestie społeczne, polityczne i kulturowe. Zmusiła go w ten sposób do przemyślenia wielu spraw, nad którymi nigdy przedtem się nie zastanawiał, traktując je jako oczywiste.

Tak, nadal istniało ubóstwo, lecz opracowano programy zapewniające wszystkim najuboższemu dach nad głową i pożywienie. Zdarzały się konflikty, lecz od stu dwudziestu lat nie było wojny. Politycy nadal się kłócili, ludzie troszczyli się bardzo o niemowlęta. Skarżono się na korki w korytarzach powietrznych. O ile Cal pamiętał, cztery czy może nawet pięć kobiet sprawowało urząd prezydenta USA.

W miarę jak odpowiadał, Libby wymyślała coraz to nowe pytania. W końcu zasnęli spleceni na łóżku, niemal w połowie zdania.

Rano przygotowali pojemnik, to znaczy włożyli do szczelnej stalowej skrzynki, którą Libby kupiła w mieście, wszystko, co uznali za najistotniejsze. Egzemplarz sprawozdania owinęli grubą folią. Libby dodała jedną matę utkaną przez matkę i glinianą miszkę, którą dawno

temu zrobił jej ojciec. Włożyli też do skrzynki gazetę, popularny tygodnik oraz, ponieważ Cal się przy tym upierał, drewnianą łyżkę z szuflady w kuchni. Libby dołożyła jedno z dwóch zdjęć statku, które zrobiła.

- Przydałoby się jeszcze coś - zauważyła.

- Ja chcę to. - Wskazał pastę do zębów. - No i miałem nadzieję na trochę twojej bielizny.

- Pierwsze tak, drugie nie.

- To do celów naukowych - upierał się.

- Nie ma mowy. Damy za to jakieś narzędzia. Prowadzący wykopaliska zawsze bardzo się cieszą z takich znalezisk. - Przeszukała szuflady. Wróciła z korkociągiem, małym młoteczkim i kluczem francuskim. - Wybierz - poprosiła.

Wziął klucz.

- Może jakąś książkę? - zaproponował.

- Oczywiście. - Zaczęła oglądać grzbiety książek na półkach. - Najlepiej popularną powieść. Coś napisanego w tych czasach. Stephen King?

- Czytałem, przerażające.

- Również horror jest ponadczasowy. - Przyniosła książkę i umieściła ją w skrzyneczce. - Będą mogli określić wiek papieru. To uwiarygodni twoją opowieść. Chodź, wyjdziemy przed dom i zrobimy jeszcze kilka zdjęć.

Cal wziął aparat, i to on zaczął fotografować. Zrobił zdjęcia domku, Libby przy landrowerze. Libby roześmiana. I Libby, która na niego krzyczy.

- Wiesz, ile filmu już zużyłeś? - - Rozerwała następne opakowanie. - Wychodzi po dolarze za zdjęcie. Antropologia i etnografia są fascynującymi dziedzinami, ale mało nam płacą.

- Przepraszam. Aha, nie wpadłem na to, żeby zapytać. Jakie masz zaszeregowanie kredytowej.

- Nie mam pojęcia. - Sfotografowała Cala z kciukami w kieszeniach pożyczonych dzinsów. - Nie mamy takiego systemu. No, przynajmniej zaszeregowanie kredytowe znaczy coś innego. W razie potrzeby sprawdza się roczny dochód czy coś w tym rodzaju. Posłuchaj, może zdejmij z samochodu skuter i usiądź na nim przed domem? Takie zestawienie różnych epok.

Zrobił to.

- Libby, nie mogę ci zwrócić tych wszystkich wydatków.

- Nie wygłupiaj się, żartowałam.

- Są jeszcze rzeczy, niematerialne, za które nie mam jak ci się odwdzięczyć.  
- Nic mi nie jesteś winien. - Opuściła aparat i powiedziała, ważąc każde słowo: - Proszę, nie myśl o tym jak o zobowiązaniu. I nie patrz tak na mnie.

- Nie zostało nam wiele czasu.

- Wiem. - Nie zrozumiała tego, co jej dyktował. Zorientowała się jednak, że Cal wyruszy przed wschodem słońca. Nie chciała zepsuć tych chwil, które im zostały. - Spróbowała skierować myśli na inny tor.

- Szkoda, że ten model nie ma samowyzwalacza - zauważyła. - Moglibyśmy sobie zrobić kilka wspólnych zdjęć.

- Poczekaj. - Odszedł na chwilę i wrócił z motyką o długim stylisku. - Usiądź na schodkach - poprosił. Przymocował aparat do siodełka skutera, wycelował obiektyw w Libby. Zadowolony z siebie podbiegł, usiadł obok niej i objął ją ramieniem. - Uśmiech - zakomenderował.

Niepotrzebnie. Już się uśmiechała.

Nacisnęła wyzwalacz trzonkiem narzędzia.

- Bardzo pomysłowe, Hornblower - pochwaliła go.

- Nie ruszaj się.

Wyjął z aparatu pierwsze zdjęcie, usiadł ponownie koło Libby i powtórzył całą operację.

- Jedno dla ciebie, jedno do skrzynki - wyjaśnił, odkładając zdjęcia. - I jedno dla mnie.

Pocałował ją.

- Zapomniałeś o zdjęciu - zauważyła po kilkunastu sekundach.

- Aha, rzeczywiście.

Nie odrywając warg od ust Libby, manipulował motyką.

Potem Libby wzięła pierwszą fotografię i długo się jej przyglądała. Wyglądamy na szczęśliwych, pomyślała. Szczęśliwi, zwykli ludzie. To zdjęcie dużo dla niej znaczyło. Już teraz, potem będzie znaczyć o wiele więcej.

- Chodźmy zakopać pojemnik - zaproponowała. Umieścili skrzynkę z tyłu skutera, tak że Libby siedziała wciśnięta pomiędzy nią a Calą. Gdy dotarli do strumienia, Libby wręczyła Calowi łopatę. Zmarszczył brwi.

- To bardzo prymitywne narzędzie - zauważył. - Jesteś pewna, że nie ma łatwiejszego sposobu?

- Nie w tym stuleciu, Hornblower. - Wskazała ziemię. - Kop.

- Jeśli chcesz, możesz zacząć. Usiadła na ziemi.

- Nie, nie chcę cię pozbawić tej przyjemności. Patrzyła, jak kopie. Jakim narzędziem, zastanawiała się, będzie to odkopywał? Jak się będzie czuł, gdy to otworzy? - Będzie o niej myślał, wiedziała to. I tęsknił. Miała nadzieję, że Cal usiądzie w tym samym miejscu co teraz ona i przeczyta list, który do niego napisała i po kryjomu schowała do skrzynki.

Tylko jedna zapisana strona, lecz Libby włożyła w te słowa całe serce.

Oparła brodę na kolanach, wsłuchując się w szum wody. Odtworzyła w pamięci list.

„Cal, wiem, że będziesz to czytał po powrocie do domu. Chciałabym, żebyś wiedział, jaka jestem szczęśliwa, że cię spotkałam. Nie umiem sobie wyobrazić, jak się tu czujeś, z daleka od wszystkiego, co znałeś i kochałeś. Od rodziny i przyjaciół. Musisz jednak wiedzieć, że z całego serca pragnęłam, byś powrócił tam, gdzie jest twoje miejsce.

Nie znajduję słów, by opisać, jak wspaniale było mi z tobą i jak wiele to dla mnie znaczyło. Tak bardzo cię kocham, Caleb. Nie będzie dnia, w którym o tobie nie pomyślę. Nie będę jednak nieszczęśliwa. Proszę, wspominaj mnie tylko w taki sposób. To, co podarowałeś mi w ciągu tych kilku dni, przewyższa wszystko, co mogłam sobie wyobrazić, wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam. Zawsze gdy spojrzę na niebo, będę widziała ciebie.

Będę nadal studiowała przeszłość, żeby zrozumieć, dlaczego człowiek jest taki, jaki jest. Teraz jednak, gdy cię poznałam, będę widzieć przyszłość w jaśniejszych kolorach.

Bądź szczęśliwy. Mocno wierzę, że tak się stanie. Nie zapomnij o mnie. Chciałam włożyć do skrzynki gałązkę rozmarynu, bałam się jednak, że zamieni się w proszek. Znajdź taką gałązkę i pomyśl o mnie. Módl się za mnie, kochaj, pamiętaj.

Libby”

- Libby?

Cal patrzył na nią wsparty o łopatę.

- Tak?

- Gdzie byłaś?

- Och, nie tak daleko. - Spojrzała na ziemię. - Wiedziałam, że silny mężczyzna, taki jak ty, potrafi wykopać dół.

- Chyba zrobił mi się pęcherz.

- Ojej.

Wstała. Podeszła i pocałowała skórę na jego dłoni, pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

- Teraz możesz się przyglądać, jak będę zakopywała.

- Dobra myśl. - Gdy włożyli skrzynkę do dołu, Cal wręczył Libby łopatę. Spojrzała na nią, potem na pokazną stertę ziemi. - Cztery kobiety prezydentami USA? - upewniła się.

Rozprostował obolałe plecy.

- Może nawet pięć.

Libby skinęła głową i zaczęła zasypywać dół.

- Cal.

- Hmm?

Widać było, że rozważał, czy się nie zdrzemnąć po ciężkiej pracy.

- Zadałam ci już wiele pytań. Ważnych, fundamentalnych. Mogłabym cię teraz zapytać o coś bardziej osobistego?

- Spróbuj.

- Opowiesz mi o swojej rodzinie?

- Pytaj?

- Kim oni są, co lubią? - Zrzucała ziemię w stałym rytmie, który podobał się Calowi. - Chciałabym chociaż w ten sposób ich poznać.

- Mój ojciec jest technikiem w laboratorium. Bardzo staranny i solidny, można na nim polegać. W domu lubi uprawiać ogródek, wszystko robi ręcznie. - Wciągnął zapach rozkopanej ziemi i niemal zobaczył ojca pracującego w ogrodzie. - Czasami maluje. Naprawdę, ale to naprawdę złe pejzaże i martwe natury. Wie nawet, że są złe, ale powtarza, że sztuka nie musi być dobra, by wciąż pozostać sztuką. Często grozi, że powiesi w domu jeden ze swoich obrazów. Jest... spokojny. Niemal nigdy nie podnosi głosu. Kiedy jednak mówi, wszyscy słuchają. Jest jak spoiwo trzymające rodzinę razem. - Wyciągnął się na trawie i spojrzał w niebo. - Matka jest, jak ty to ujęłaś? Nabuzowana? - Emanuje energią i intelektem w stopniu nieco przerażającym. Czasami działa na ludzi onieśmielająco i zawsze ją to bawi. Sądzę, że to dlatego, iż w rzeczywistości jest niezwykle łagodna. Ona często podnosi głos, ale potem czuje się winna. W wolnym czasie lubi czytać beletrystykę i literaturę fachową. Jest głównym radcą w Zjednoczonym Ministerstwie Narodów, czyta więc również całe sterty prawniczych dokumentów.

- Czym jest Zjednoczone Ministerstwo Narodów?

- Chyba nazwałabyś to poszerzoną ONZ. Zreformowali to... cholera, nie wiem dokładnie dlaczego.

Myślę, że musieli rozszerzyć zakres działania z powodu powstawania pozaziemskich kolonii i osad.

- Twoja matka zajmuje chyba bardzo prestiżowe stanowisko - zauważyła Libby, dziwnie onieśmielona.

- Tak. Lubi tę pracę. Rodzice poznali się w Dublinie. Matka prowadziła tam praktykę prawniczą, ojciec przyjechał na wakacje. Gdy zaczęli stanowić parę, przenieśli się do Filadelfii.

Libby ubijała ziemię. Słyszała w głosie Cala uczucie, rozumiała je.

- A twój brat? - zapytała.

- Jacob. On jest... impulsywny, w dobrym znaczeniu tego słowa. Odziedziczył umysł po matce, a temperament podobno po dziadku. Z J.T. nigdy nie wiadomo, czy zaraz się uśmiechnie, czy uderzy. Studiował prawo, ale przerzucił się na astrofizykę. Jest sukinsynem - dodał - ale niesłychanie lojalnym wobec najbliższych.

- Lubisz ich? - Gdy Cal na nią spojrział, sprecyzowała pytanie. - Chodzi mi o to, że większość ludzi kocha swą rodzinę, lecz niekoniecznie się z nią przyjaźni. Więc jak, lubisz ich?

- Tak. - Patrzył, jak Libby przywiązuje łopatę do skutera. - Oni też by ciebie polubili.

- Mogłabym ich poznać, gdybyś mnie ze sobą zabrał.

Przygryzła wargę. Nie chciała, żeby te słowa się jej wymknęły. Nie patrzyła na niego. Nie wiedziała nawet, kiedy ta myśl przyszła jej do głowy.

- Libby...

Stał już przy niej, obejmował ją.

- Studiowałam przeszłość. Gdybyś mnie zabrał, mogłabym poznać przyszłość.

Dostrzegł w jej oczach łzy.

- A twoja rodzina?

- Zrozumieliby. Zostawiłabym dla nich list, spróbowałabym wyjaśnić.

- Nie uwierzą ci - powiedział cicho. - Będą cię szukać latami, zastanawiać się, czy jeszcze żyjesz.

Libby, czy nie widzisz, że to właśnie jest najgorsze, że to mnie powstrzymuje? Moi rodzice nie wiedzą, gdzie jestem, co się ze mną stało. Wiem, że czekają na jakąkolwiek wiadomość...

- Sprawię, że zrozumieją. - Słyszała we własnym głosie desperację. - Jeśli będą wiedzieli, że jestem szczęśliwa, że robię to, co chcę robić, uspokoją się.

- Może, gdyby uzyskali stuprocentową pewność. .Nie mogę cię jednak zabrać, Libby.

Opuściła ręce, cofnęła się o krok.

- Tak, oczywiście. Nie wiem, co mi w ogóle przyszło do głowy...

- Cholera, przestań. - Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. - Nie myśl, że nie chcę. Chcę. Gdyby nie było żadnego ryzyka, wrzuciłbym cię do tego cholernego statku, czy byś się zgodziła, czy nie.

- Ryzyka? - Zesztywniała. - Jakiego ryzyka?

- Wciąż nie wynaleziono lekarstwa przeciwko głupocie...

- Nie zbywaj mnie w ten sposób. Jakie ryzyko? Odetchnął głęboko. Chodziło o jedno z obliczeń, które jej podyktował.

- Prawdopodobieństwo znalezienia właściwej krzywej czasu wynosi 76,4.

- Siedemdziesiąt sześć i cztery dziesiąte - powtórzyła. - Nie trzeba geniusza, żeby obliczyć, że prawdopodobieństwo niepowodzenia to 23,6. Co by się wtedy stało?

- Nie wiem. - Mógł się jednak domyślić. Usmażenie się po wciągnięciu przez pole grawitacyjne Słońca wydawało się jedną z mniej bolesnych możliwości. - Nie narażę cię na takie ryzyko, choć chcę, żebyś ze mną poleciała.

Starła się nie wpadać w panikę. Odetchnęła głęboko i poczuła, że powoli się uspokaja.

- Caleb, nie mógłbyś zmniejszyć ryzyka, gdybyś dał sobie więcej czasu?

- Prawdopodobnie. Libby, to nie wchodzi w grę. W każdej chwili ktoś może znaleźć statek. Mieliśmy szczęście, natykając się wczoraj na Rankinów. Jak sądzisz, co się stanie ze mną, z nami, gdy ktoś odkryje prawdę? - Gdyby mnie znaleźli?

- Do prawdziwego sezonu pozostało jeszcze kilka tygodni. Spotyka się tu najwyżej kilkunastu turystów rocznie.

- Wystarczy jeden.

Miał rację, nie było sensu zaprzeczać.

- Nie będę wiedziała. - Dotknęła palcem już ledwo widocznej blizny na czole Cala. - Nie będę wiedziała, czy ci się udało.

- Jestem dobrym pilotem. Zaufaj mi. - Pocałował jej palce. - I będzie mi łatwiej skoncentrować się na zadaniu, jeśli nie będę się o ciebie martwił.

- Trudno kwestionować zdrowy rozsądek. - Zdobyła się na uśmiech. - Wiem, że powinieneś jeszcze sprawdzić instrumenty. Wracam do domu.

- Wkrótce przyjadę.

- Nie musisz się spieszyć. - Sama potrzebowała paru chwil samotności. - Przygotuję pożegnalną kolację. - Ruszyła w kierunku samochodu. Zatrzymała się jednak i rzuciła przez ramię: - Och, Hornblower, zerwij dla mnie trochę kwiatów.

Zerwał całe naręczce. Nie było łatwo je trzymać, prowadząc skuter, jego drogę znaczyło więc różowe i bładoniebieskie kwiecie. Cal uznał, że kwiaty pachną tak jak Libby. Świeżo, oszałamiająco.

Pracując na statku, myślał tylko o jednym. Chciała z nim polecieć. Opuścić dom. Nie tylko dom, poprawił się w myślach, swoje życie.

Może to tylko impuls, coś, co narodziło się pod wpływem chwili?

Przyczyna nie miała znaczenia. Chciał trzymać się tej jednej, słodkiej myśli, że Libby była gotowa z nim polecieć.

Dom pogrążony był w ciemności, jeśli nie liczyć słabego światła w oknie kuchni. Cal odstawił skuter i podniósł z ziemi kilka kwiatów, które upadły mu pod stopy. Może Libby postanowiła się zdrzemnąć? - Albo czekała na niego przy ogniu płonącym na kominku?

Otworzył drzwi i zastał zupełnie inną scenę.

Czekała na niego, lecz w świetle świec. Zapaliła ich dziesiątki. Cal zobaczył stół nakryty na dwie osoby i butelkę szampana w wiaderku. Wokół pachniało świecami, przyprawami i Libby.

Uśmiechnęła się do niego. Poczul, że zapiera mu dech. Miała zaczesane do tyłu włosy, tak że widział długą, piękną linię szyi. Miała na sobie sukienkę w kolorze światła księżyca. Nagie ramiona, dalej materiał układał się miękko na biodrach i udach.

- Pamiętałeś. - Podeszła do niego, wyciągając ręce po kwiaty. - Są dla mnie?

- Co? Tak. - Podał jej kwiaty jak w transie. - Na początku miałem ich więcej.



- I tak jest aż za dużo. - Wstawiła rośliny do przygotowanego wazonu. - Kolacja już prawie gotowa. Mam nadzieję, że będzie ci smakowała.

- Oszłomiłaś mnie, Liberty. Odwróciła się, zobaczyła jego spojrzenie.

- Chciałam, przynajmniej raz. - Ponieważ nie odpowiedział, tylko nadal się na nią gapił, zawstydziła się. - Kupiłam szampana i sukienkę wczoraj w mieście. Pomyślałam, że będzie miło ubrać się dziś wieczór w coś bardziej odświętnego.

- Boję się, że jeśli się poruszę, znikniesz.

- Nie. - Wyciągnęła do niego rękę. Gdy ją ujął, ścisnęła jego dłoń. - Zostanę tutaj. Może otworzysz butelkę?

- Chcę cię najpierw pocałować. Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Dobrze, ale tylko raz.

Jedli kolację. Z tym że Libby niepotrzebnie zadała sobie tyle trudu, by ją przygotować. Nie czuli smaku potraw. Szampan także nie miał znaczenia, upili się już samym swoim widokiem.

Po kolacji wzięli ze stołu świece, które jeszcze się nie dopaliły, i zanieśli je do sypialni.

Kochali się w ich świetle. Mijały godziny, lecz oni tego nie zauważali. Gdy świece zgasły, nadal się do siebie przytulali.

Potem, choć żadne z nich nie wypowiedziało tego na głos, wiedzieli już, że to ostatni raz. Zrobili to, najdelikatniej, najbardziej czule. Gdy skończyli, Libby przytuliła się do Cala i modliła o sen. Nie zniosłaby pożegnania. Nie chciała patrzeć, jak Cal odchodzi.

Caleb leżał nieruchomo, zupełnie rozbudzony, dopóki pokoju nie rozjaśniły pierwsze promienie świtu. Cieszył się, że Libby śpi. Nie byłby w stanie wypowiedzieć słów pożegnania.

Wstał. Starając się o niczym nie myśleć, włożył skafander.

Nie chciał jej obudzić. Dotknął tylko lekko jej włosów i po cichu wyszedł z sypialni. Libby otworzyła oczy później, gdy usłyszała skrzypnięcie drzwi wejściowych. Wtuliła twarz w poduszkę i zapłakała.

Statek był już przygotowany, wszystko zapięte na ostatni guzik. Cal siedział na mostku, widział nadchodzący świt. Ważne było, by wystartować przed wschodem słońca; takie założenie leżało u podstaw wszystkich obliczeń. Pozostawał margines błędu. Życie Cala zależało właśnie od tego marginesu.

Powrócił jednak myślami do Libby. Dlaczego nie wiedział, że rozstanie będzie tak bardzo boleć? - Musiał jednak wystartować. Jego życie, jego czas, nie należały do niej, do jej epoki. Nie miało sensu ponowne roztrząsanie tego, o czym rozmyślał już dziesiątki razy.

Siedział nieruchomo, niewiele sobie robiąc z upływu cennych sekund.

- Rozpaczynam procedurę przed standardowym lotem orbitalnym.  
- Tak - odpowiedział komputerowi. Instrumenty zaczęły ożywać. W sposób, który stał się już jego drugą naturą, Cał przygotowywał się do lotu. Spojrzał na ekran.

- Wszystkie systemy gotowe. Zapłon zostanie włączony na komendę.

- W porządku. Rozpocząć odliczanie.

- Rozpaczynam. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć...

Stojąc w drzwiach kuchni, Libby usłyszała dudnienie. Niecierpliwie otarła łzy i spojrzała w kierunku statku. Zobaczyła błysk. Jakby błyskawicę przemykającą przez niebo. Potem znów zapadła cisza.

Zadrzała. Chciałaby wierzyć, że to z powodu porannego chłodu. Przecież miała na sobie tylko krótki, niebieski szlafrok.

- Doleć bezpiecznie - powiedziała, a potem zaczęła szlochać.

Życie toczy się dalej, tłumaczyła sobie w duchu. Ptaki zaczynają śpiewać, słońce zaraz wyjdzie zza góry.

Chciała umrzeć.

Nonsens. Trzęsąc się, postawiła czajnik na palniku kuchenki. Musi wypić herbatę i pozmywać. Potem zabrać się wreszcie do pracy.

Będzie pracować, póki zdoła, do kresu sił. Potem od razu zaśnie. Następnego dnia znów się obudzi i zasiądzie do pracy. Powstanie najlepsza cholerna praca doktorancka, jaką widział świat. Później wyruszy w podróż.

I będzie tęskniła. Tęskniła aż do dnia, w którym umrze.

Gdy woda się zagotowała, Libby zrobiła herbatę. Postawiła ją na stole w kuchni, usiadła. Po chwili odsunęła kubek, oparła głowę o stół i znów zapłakała.

- Libby.

Wstała tak gwałtownie, że przewróciła krzesło. Był tutaj. Stał w drzwiach kuchni. Miał w oczach zmęczenie i coś jeszcze, coś ważniejszego. Wpatrywała się w niego. Nie, to tylko przewidzenie...

- Calebs.

- Dlaczego płaczesz?

Słyszała jego głos. Oszołomiona, przycisnęła dłoń do ucha.

- Calebs - powtórzyła. - Przecież cię nie ma.

- Płakałaś od chwili, gdy wyszedłem? Dotknął palcem jej wilgotnego policzka.

Czuła ten dotyk. Był realny. Skoro zwariowała, to trudno. Może to i lepiej”?

- Nie rozumiem. Jak możesz tu być?

- Najpierw ja cię o coś zapytam, tylko o jedno. Kochasz mnie?

- Ja... muszę usiąść.

- Nie. - Przytrzymał ją za ramię. - Żądam odpowiedzi. Kochasz mnie?

- Tak. Tylko kretyń mógłby zadać takie pytanie. Uśmiechnął się, lecz nadal trzymał ją mocno, tak że musiała pozostać na nogach.

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Bo nie chciałam. Wiedziałałam, że musisz odejść. - Przyłożyła dłoń do czoła. - Pozwól mi usiąść.

Puścił ją. Widział, jak stawia krzesło i niepewnie na nie opada.

- Nie śpię - powiedziała bardziej do siebie niż do niego. - Muszę więc mieć halucynacje.

Nachylił się i mocno pocałował ją w usta.

- To też halucynacja? - zapytał. - Nie rozumiesz, że tu jestem?

- Tak - odparła słabym głosem - ale jak się tu dostałeś?

- Przyjechałem na skuterze.

- Nie, chodzi mi o to... - O co mi właściwie chodzi, pomyślała. - Stałam w drzwiach. Słyszałam, jak startujesz. Nawet widziałam błysk na niebie, to musiał być statek.

- Odesłałem go. Steruje nim komputer.

- Odesłałeś - powtórzyła powoli. - Och, mój Boże, Caleb, dlaczego?

- Tylko kretyń mógłby zadać takie pytanie.

- Nie, przecież nie z mojego powodu, nie mogłabym tego udźwignąć, twoja rodzina...

- Nagrałem dla nich dysk. Opowiedziałem im wszystko, to znaczy o wiele więcej, niż napisaliśmy w sprawozdaniu. Dysk jest na pokładzie. Powiedziałem, gdzie jestem i dlaczego muszę tu zostać. Jeśli statek wróci - a beze mnie ma taką samą szansę jak ze mną - oni zrozumieją.

- Nie mogłam cię o to prosić.

- I nie poprosiłaś. - Wziął ją za rękę. - Przecież ty byś ze mną poleciała, prawda?

- Tak.

- Zabrałbym cię, gdybym miał pewność, że oboje to przeżyjemy. Posłuchaj. - Zmusił ją by wstała. - Rozpocząłem odliczanie. Mówiłem sobie, że powinienem wrócić, że jest mnóstwo logicznych powodów. Ale był jeden, tylko jeden powód, żeby zostać. Kocham cię. Moje życie jest tutaj. - Przyciągnął ją bliżej. - Przybyłem do ciebie, oszukując czas, Libby. Nigdy, ale to nigdy nie myśl, że postąpiłem głupio lub nierozważnie, że popełniłem błąd.

Pokręciła głową.

- Boję się, że ty tak kiedyś pomyślisz.

- Nie, Libby. Moje miejsce jest tutaj, przy tobie. Znow poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

- Tak bardzo cię kocham, Caleb. Sprawię, że będziesz szczęśliwy.

- Aha, liczyłem na to. - Pocałował ją. - Musisz się teraz wyspać, tak porządnie.

- Nie, nie chcę.

Roześmiał się. Napięcie ustąpiło do końca. Znajdował się tam, gdzie powinien.

- Zobaczymy. Potem się zastanowimy, jak załatwić pozostałe sprawy.

- Jakie sprawy?

- Małżeństwo, rodzina i tak dalej.

- Nie poprosiłeś mnie o rękę.

- Dojdziemy do tego. W każdym razie, muszę sobie wykombinować jakąś nową tożsamość, znaleźć pracę... Coś z... ze stałym dochodem, tak się mówi?

- Coś, co będzie ci sprawiało radość - poprawiła go.

- To znacznie ważniejsze od stałego dochodu i grupowego ubezpieczenia zdrowotnego.

- Czego?

- Nieważne, zapomnij. - Wtuliła mu głowę w szyję. - Myślę, że tata znajdzie dla ciebie jakieś zajęcie, zobaczysz.

- Nie, chyba nie chcę produkować herbaty. - Tknięty nagłą myślą wyprostował się. - Powiedz mi, jak tu się uzyskuje licencję pilota.